

Krzysztof Kąkolewski Sygnet z Jastrzębciem

KSIĄŻKA I WIEDZA



Krzysztof Kąkolewski
Sygnet z Jastrzębcem

Książka i Wiedza
Warszawa 1988

Wielkie przestrzenie lessowe ciągnące się od Ukrainy przez Podole i Lubelszczyznę kończą się na Górach Świętokrzyskich. Dalej są inne gleby, pogody, inni ludzie. Urodzajne pola długimi pasami podchodzą pod puszcze. Zawracając podczas orki trzeba przebijać się przez krzewy jałowca, jodły i dębczaki. Tu leży wieś Bezwody. Ci, którzy podróżowali po okolicy przed laty, wspominają, że w oddali, zastygły w sinawych mgłach schodzących od puszczy, ukazywał się dwór. Wydawał się płynąć poza czasem i ponad światem. Domostwo o dwuspadowym dachu, dwu ganekach, niezliczonych oknach i przybudówkach stało zwrócone podjazdem do parku, gdzie drzewa były tak ogromne, że trudno było sobie wyobrazić, ile mają lat. Dzikie wino, bluszcz, chmiel, powój i kapryfolium obrastały dwór, wspinały się na drzewa tworząc zwisające girlandy.

Konfiskaty, parcelacje i wyprzedaje spowodowały, że dwór stał się nieproporcjonalnie wielki do powierzchni majątku. Był właścicielom ciężarem. Dwa skrzydła miały na zawsze zamknięte okiennice. Naprawa dachu, jak pagoda nadbudowanego nad domem, kosztowała majątek. Dlatego strych zastawiony był miednicami, garnkami, cebrzykami, głębokimi talerzami, których brakowało, gdy zjawiali się goście. Naczynia te, parując pod przegrzonym dachem, tworzyły duszną atmosferę, przepojoną zapachem lawendy, zbutwiałej bielizny, starych papierów, gnijących jabłek.

Na tym strychu marzył Łukasz. Rodzice dali mu imię jednego z ewangelistów - początkowo miał być Mateuszem - „by świadczył prawdę światu”. Z półokrągłego okienka w dachu widać było górę Opal, Małego Diabła i Przełęcz Pistruna. Za nimi były dalsze góry, nierozpoznawalne, nieznane Łukaszowi, a za nimi bezkresna dal, horyzont jego

życia: miasta, w których będzie mieszkał, kraje, oceany. Miał siedem lat, a jeśli dożyłby dziewięćdziesięciu, trzynaście razy będzie żył tyle co dotąd. Będzie miał trzynaście koni takich jak Teksas, zacznie trzynaście różnych nauk, będzie miał trzynaście żon, będzie mieszkał w trzynastu krajach.

Wcześniej niż inne dzieci zaczął naukę. Cztery razy w tygodniu przyjeżdżał na rowerze kierownik szkoły z Bezwodów i najpierw odbywał lekcje z jego siostrą Stefanią, w zakresie szóstej klasy, a potem z nim przerabiał klasę trzecią. „Mam dwie szkoły - powtarzał kierownik - w jednej stu siedemdziesięciu uczniów, a w drugiej dwoje”.

W tym roku obowiązki Łukasza się podwoiły. U matki zaczął naukę francuskiego, u ojca jazdy konnej i fechtunku. O szóstej rano mył się wraz z ojcem przy studni. Parobek polewał ich wiadrem. Wtedy kobietom nie wolno było wychodzić na podwórze, bo byli nadzy. Jeśli padał deszcz myli się pod rynną, specjalnie wyżej uciętą. W zimie, w mniej mroźne dni nacierali się śniegiem, potem, w koszulach tylko, w bryczesach i wysokich butach, w maskach do treningu stawali naprzeciw siebie, w prawidłowej postawie, w części podwórza z ubitym śniegiem, latem zarośniętej murawą wykoszoną nisko, ze szpadami zakończonymi kulkami i rozpoczynali walkę. Ojciec nie pobłażał synowi, nie dawał mu for, wykorzystując swój wyższy wzrost, wagę, dłuższe ręce.

- Musisz przyzwyczajać się zwyciężać w najcięższych warunkach - mówił ojciec i zadawał cios. - Słuchaj tego, co mówię, ale nie daj odwrócić swojej uwagi słowami - dawał krótki sztych. - Pomyśl sobie, że jesteś swoim przodkiem, chłopczykiem, który żył sześćset lat temu. Szykujesz się do życia. Uważaj! Uważaj! Zadałem ci cios, bo zasłuchałeś się

- krzyczał i zmieniał ton. - Rozumiesz, że od mistrzostwa we władaniu mieczem zależy, czy zachowasz honor, posiadłość, życie. Musisz być najlepszy ze wszystkich, by dożyć późnego wieku, nie zhańbić się, nie ośmieszyć, obronić klejnot

- za każdym słowem następował cios. - Gdy zjawiasz się na gościńcu, wszyscy ściągną wodze, by zjechać ci z drogi. Jeszcze jako chłopczyk męczyłeś ojca, by ciągle z tobą walczył. Trzy godziny od świtu ci poświęca, ale więcej nie może, więc walczysz z jego giermkami, pacholikami, jurgielnikami, każąc im napadać na siebie we dwóch, potem we trzech, a potem w pięciu – następuje pięć pchnięć. - Całe dni, idąc czy jadąc gdzieś, nagle wyciągasz swój mieczyk i zadajesz ciosy niewidzialnemu przeciwnikowi. Ścinasz drzewa. Rozwalasz głązy. Gdy dorastasz, sprowadzają ci mistrza z Florencji. Uczy cię złożzeń tak wyrafinowanych, że przy twojej straszliwej sile razisz wszystkich. - Tu ojciec dotknął kulką jego piersi, zrobił przysiad, powtórnie dotknął z dołu piersi chłopca i wyprostowawszy się robił koliste, zwodnicze ruchy i mówił dalej: - Wieczorem, przy zapalonym kominku w sali rycerskiej odbywasz turniej ze starszymi braćmi. Walą cię jak szaleni, nawet ranią, bo jeszcze nie panują całkowicie nad klingą - tu nastąpiło mocne pchnięcie. - Przepraszam, za mocno. Ale jak obronisz honor siostry - pchnięcie - jeśli przepuszczasz takie pchnięcia? Mogłeś tego uniknąć zastawiając się tak - i ojciec Łukasza pokazał ruch.

Pewnego dnia ojciec niewiele mówił, był nieuważny i rozproszony, widać miał zmartwienia. Łukasz zadał swój pierwszy cios. Zdziwiło go, że ojciec spieszył się, zmarszczył brwi, pomacał się po piersi, jakby był ranny. Nastąpiła seria trafień ze strony chłopca, wtedy ojciec jakby się obraził na niego i przerwał walkę.

Matka rozkładała podręczniki, z których kiedyś sama się uczyła, przed lekcjami z nim. Musiał uczyć się nazw sprzętów, roślin, ptaków. Matka zmuszała go, by na wrywki wołał na widok ptaka: wróbel, sikorka, dzięcioł, sroka, słowik, szczygieł, szpak. Jedyłą nagrodą było, że pozwolono mu rozmawiać z rodzicami przy stole po francusku.

- „Nie zapomnij twojego francuskiego” - krzyknięto za małym Conradem, który miał zostać wielkim pisarzem polskim, w najcięższej chwili jego dzieciństwa, a może i życia.

I choć angielski okazał mu się potrzebniejszy, tobie francuski może przydać się w sposób, którego nie umiesz nawet sobie wyobrazić - powtarzała mu matka.

Matka uczyła się francuskiego od Francuzki, niemłodej kobiety, która przyjeżdżała na lato z Paryża do Polski, do jej domu. Opłacano jej podróż. Nie знаła gramatyki i kazała się dzieciom uczyć jej samodzielnie. Co robiła dawniej? Podejrzewano, że jest „kurtyzana, która straciła majątek na giełdzie”. Po rękach domyślano się, że pracuje fizycznie, ma jakąś pracę sezonową na zimę. Jakiego uczy francuskiego, czy jej akcent, zasób wyrażen są właściwe? Przyjeżdża i wyjeżdża z jaskółkami - mówiono. Kiedy powiedziała, że może zostać w Polsce na zawsze, bo pokochała ten kraj, pozbyto się jej, wsadzając w pociąg. Nie napisała ani oni jej więcej nie zaprosili. W zimie bowiem zamieszkiwała u nich krawcowa, obszywała rodzinę, tuszując braki w garderobie przez nicowanie, przeróbki i poprawianie własnych błędów. Była wierna przebrzmiałej modzie jako jedynemu nakazowi elegancji. Córka tej krawcowej obszywała teraz Bezwody.

Ich mająteczek był oprawą dla ich życia, miejscem, gdzie spędzali szczęśliwe lata, ale nie dawał dochodu. Ukrywano to, bo ojciec Łukasza był wykładowcą w wyższej szkole rolniczej. Jego pensja pozwalała im żyć dostatnio, płacić podatki za Bezwody. Studenci przyjeżdżali tu czasem na seminaria i praktyki. Ojciec Łukasza zagarniał ich do plewienia tytoniu, a po parodniowej harówce urządzał ognisko z pieczeniem kielbasek i dyskusją o przyszłości świata. „Za pięćdziesiąt lat na świecie zacznie się głód i rolnicy położą palec na cynglu” - mawiał.

W tym czasie profesora i obywatela ziemskiego w jednej osobie namówiono, by kandydował do Senatu Rzeczypospolitej. Poniósł porażkę, ale został mu frak uszyty u pierwszorzędnego krawca.

Zawołał Łukasza do kantorku, zwanego gabinetem. Frak wisiał na wieszaku dla interesantów.

- Przymierz - powiedział ojciec do Łukasza.

Siedmioletni chłopiec wyglądał we fraku jak w żałobnym

płaszczu, poły wlokły się za nim. Przejrzał się.

- Jestem krukiem - powiedział.

- Darowuję ci ten frak. Włożysz go, gdy zrobisz dyplom. Szlachectwo, synu, zdobywa się w każdym pokoleniu na nowo. Jeśli przerośniesz tatę, w nagrodę zrobimy ci nowy frak. Będziesz miał budowę przodków. Choć po pożarze domu stryja w 1863 roku nie ocalał żaden portret rodzinny, ale przetrwał do pożaru w 1914 roku siedemnastowieczny pancerz. Sam go widziałem. Miał wgniecenie, może znaczyło ono śmierć dla któregoś Jastrzębca? Płatnerz musiał dużo blachy wykroić na ramiona, piersi i brzuch. Tobie zapowiada się niezłe brzuch - Jastrzębiec wplatał gwarowe słowa i szczyił się, że zna wszystkie - a siła i ciężar w bądziole są ważne dla mężczyzny, dają mu moc w samym środku.

Służba, chłopci z Bezwodów, a nawet niektórzy sąsiedzi współczuli temu chłopcu przeciążonemu nauką, zajęciami, który nigdy nie bawił się z dziećmi, poza starszą o pięć lat siostrą. Nikt bowiem nie znał planów, jakie mieli wobec niego rodzice. Także Łukasz nie wiedział, że jego los był określony, nim się urodził. Miał być dyplomata. Jego rodzice wyrzucali sobie, że nie podróżowali. Nie byli za granicą, poza Krakowem, co po odzyskaniu niepodległości przestało się liczyć. Najpierw nie wyjeżdżali z Polski chcąc się nacieszyć wolnością, potem nie chciało się im, gnębiły ich troski finansowe. Teraz byli pewni, że zwiedzą świat. Ojciec obmyślał Łukaszowi placówki: Paryż^ Buenos Aires, Pekin. Do tego czasu wzrośnie znaczenie Chin. Z Buenos Aires udaliby się w głąb kontynentu, ujrzeliby dżunglę o odcieniu zieloności nie znanym mieszkańcom północy. Jastrzębiec uważał jednak, że miejsce syna będzie w kraju wrogim Polsce, tam jego misja miałaby większe znaczenie. Nie bali się niebezpieczeństwa dla niego. Jastrzębiec uważał, że trzeba iść na spotkanie niebezpieczeństwu, by zderzyć się z nim, kiedy się chce, a nie kiedy samo nadejdzie. Zawołanie ich rodu było wyryte na sygnecie: „*Vinctus, sed non victus*” - „W okowach, lecz

niezwyciężony”. Ojciec czasem pozwalał nosić pierścień Łukaszowi na dużym palcu, nie pozwalając mu wychodzić z nim z gabinetu. Był to siedemnastowieczny sygnet z krwawnikiem w kształcie pieczęci, nawet z lakiem pozostałym z pieczętowania.

Na siostrę Łukasza spadł obowiązek pilnowania jego manier. Stefania w wieku dwunastu lat była dokładnym odbiciem wyobrażeń rodziców, jaka powinna być „mała panienska”. Ciasno zaplecione warkocze, bez kokardek, białe bluzeczki, białe skarpeteczki, opalenizna. Wolno jej było biegać, szaleć, wchodzić na najwyższe drzewa, dosiadać konia, pod warunkiem, że na zawołanie rodziców będzie przemieniać się w istotę zdyscyplinowaną, opanowaną, zachowującą się jak osoba dorosła. Bez przerwy doskonalili jej sposób bycia i dyskutowali z nią przeróżne warianty zachowań właściwych i niewłaściwych, pozwalając się wciągać Stefanii w analizowanie postępowania swoich znajomych. Dając Stelami miarę zjawisk takich jak dobre maniery, opanowanie i piękno formy, rodzice ofiarowali jej niebezpieczne poczucie przewagi nad niedoskonałymi. Te omówienia były robione niby dla jej dobra, ale Stefania wyczuwała, że rodzicom sprawiają przyjemność, którą przed nią ukrywali. Stała się arbitrem bezlitosnym i pełnym wymagań. Gdy zjawiali się goście, dostrzegali jej spojrzenie, czujne, czyhające na najmniejszy błąd w ich zachowaniu.

- Mamo - mówiła Stefania - Jeśli pani Troszczyńska przyjechała przedstawić nam swoją synową...

- Nie, córko, „nam”, a twoim rodzicom - przerwała jej Jastrzębcowa.

- Przepraszam, mamusiu, więc jeśli przyjechała przedstawić wam swoją synową, dlaczego powiedziała wchodząc: „To są właśnie państwo Jastrzębcowie, a to moja nowa córka”? Powinna zachować odwrotną kolejność.

- Może chciała dać do zrozumienia - oczywiście, to byłby wypadek wyjątkowy - że dużo synowej o nas mówiła i mimo że wyłamała się ze sztywnych przyjętych form, to było miłe i na miejscu.

- Ale, mamusiu, ta młoda pani wiedziała, dokąd przyjechała i kogo zastanie we dworze państwa Jastrzębców. W dodatku byliśmy sami. Ja podejrzewam, mamo, że pani Troszczyńska jest niezadowolona z synowej i przestraszona, że odkryjecie jej wady, aż straciła głowę.

- A szczególnie martwi się, co ty powiesz o niej?

- Mam nadzieję, że nie przyszła jej taka myśl do głowy. W twojej uwadze jest nagana pod moim adresem, jakby w moim zachowaniu było coś tak niewłaściwego, że osoby postronne dostrzegłyby nadmierną uwagę z mojej strony.

- Dziecko, za mała jesteś, by zwracano na ciebie uwagę. Pamiętaj, okazywanie komuś, że się jest dobrze wychowanym, jest szczytem złych manier.

Gdy sąsiad Pędowski wszedł do saloniku Jastrzębców, pełnego gości, i zmierzał prosto do pani Jastrzębcowej, ją najpierw i, jak się okazało, tylko ją witając, a w chwilę potem wpadł Łukasz też biegnąc do matki w jakiejś sprawie, Stefania krzyknęła:

- Łukasz! Wróć do sieni. Zamknij za sobą drzwi. Potem wejdź drugi raz, ukłoń się wszystkim i dopiero możesz podejść do matki.

Matka pochyliła się do niej: - Dałaś nauczkę Pędowskiemu?... Ale, co najgorsze, nie miałaś racji. Wymysły twojej nadgorliwości skrępowałyby wszelką swobodę.

Stefania wyłapywała banały, niedorzeczności, powtarzanie tych samych opowieści i ośmielała się czasem powiedzieć: „Ta historia za każdym razem, gdy ją pan opowiada, jest równie pasjonująca”. Tylko chłopci z Bezwodów byli nietykalni. Za przedrzeźnianie jednego z nich Stefania dostała lanie. Za uwagę zwróconą staremu chłopu musiała za karę pocałować go w rękę. Chłop wyrywał rękę, błagał Jastrzębców, by mu tego oszczędzili, ale Stefania wykonała polecenie. Pozostało jej na całe życie wspomnienie kwaskowatego smaku starczej skóry, pachnącej mlekiem, potem i tytoniem. Jeszcze większej ochronie podlegała służba. W Bezwodach był jej nadmiar, trzymanej, jak się

mówiło, „z litości”. Dwie służące, Janinka i Józefka, nie miały żadnych określonych funkcji, „były przy dzieciach i pani”, ale nie były pokojówkami i niańkami, bo na to nie miały kwalifikacji. Rozbierały dzieci do snu, ale ubierać ich im nie pozwolono, bo, jak mówiła pani Jastrzębcowa, „nie wiadomo, jakie czasy nadejdą”. Stefania budziła się czasem w I nocy i wołała Janinkę, by podała jej nocnik. Raz służąca nie mogła zwalczyć snu i tylko odpowiadała ze swojego po-koiku: „już, panienko”, „już idę”, „tylko sekundczkę” i usypiała. Stefania ją zwymyślała. Za karę była pozbawiona pomocy Janinki i Józefki przez miesiąc. W tajemnicy i chciały jej usługiwać, ale Stefania powiedziała: „Tak kazała mamusia, a ja jej słucham we wszystkim”. Gdy minął miesiąc, pani Jastrzębcowa wzięła Stefanię na rozmowę.

- Wobec osób stojących niżej od ciebie, służby, musisz być uprzedzająco grzeczna, sprawiedliwa, wręcz doskonała, ponieważ miarą naszego sposobu bycia jest stosunek do osób zależnych od nas. Nie chodzi o przykład, jaki im dajemy, oni o to nie dbają, ale to jest szczelina, przez którą możesz zajrzeć do naszej duszy. Każde grubiaństwo wobec słabszego nas obnaża. W tobie jest wiele zła, boję się, że ja tu zawiniłam. Najpierw ukrywaj je i nie pozwól mu się nigdy ujawnić, aż obumrze. - Zawahała się i dodała: - Ale może być zło, które, dławione, przeżre nas całych.

Otwartość, prawdomówność, okazywanie swoich wahań, niewiedzy, powodowały, że dzieci wierzyły rodzicom bezgranicznie. Nie znały bliżej nikogo innego i zostały wprowadzone w błąd. Uważały, że taki jest świat, że wszyscy kierują się tymi samymi zasadami. Choć mowa była o niebezpieczeństwach, odwadze, oddzieleni od świata przez rodziców, służbę, wieś, pola i lasy, jakby jeszcze się nie narodzili, znaj -; dowali się jeszcze w brzuchu, macicy świata, widząc i słysząc go oczyma matki.

Pełne pogodzenie ze służącymi przyszło, gdy Stefanii doszły lekcje tańca i rytmiki. Miała je z innymi panienkami w sąsiedztwie, w bogatym dworze Sobieszczańskich. Szalała potem na podwórzu, zamęczając Janinkę i Józefkę, by z nią

tańczyły. Ale one nie znały tang.

Stefania zaczęła gimnazjum, nauczyciel dojeżdżał z miasteczka powiatowego S. na trzy dni w tygodniu, nocował, jadł, pił i dostawał pensję.

Wojna zaczęła się w Bezwodach niezauważalnie: w połowie września zjawili się uciekinier z Warszawy, polonista i anglista. Niemcy dotarli tu w dniu kapitulacji Warszawy. W październiku gość otrzymał złą wiadomość. Spytał, czy może zostać w Bezwodach. Sprowadził książki z zakresu matematyki, fizyki, chemii i biologii, uczył się całe dnie i potem przekazywał te wiadomości Stefanii. Bezwody były za małe, by Niemcom opłacało się osadzać w nich komisarza. Zastępca Landwirtha do spraw rolnych Gelber przyjeżdżał z powiatowego miasta S., krytykował słabość gospodarki i straszył Jastrzębca, że odbierze mu koncesję na uprawę tytoniu. Dopiero bogaty gospodarz Karski powiedział Jastrzębcowi, że Gelbera nic ma się co krępować, ale dać mu pełną bryczkę, ile się zmieści, to zaraz pojedzie. Wojna spowodowała, że między Jastrzębcem a Kurskim doszło do bliższych kontaktów. Wyszło, że Kurski jest równie bogaty jak dziedzic. Musieli się naradzać, podejmować się w imieniu wsi pertraktacji z Gelberem. Ze starym Kurskim czasem przychodził jego najstarszy syn Staszek. Nie wchodził w obręb zabudowań dworskich, tylko stawał za płotem, opierał się ramionami o końce sztachet, kładł brodę na dłoniach i tak tkwił godzinami, oczekując, aż pojawi się Stefania. Czasem nie zjawiała się, a czasem nie zwracając uwagi czy nie uświadamiając sobie jego obecności wykonywała samotnie kroki tanga i bostona lub ciągnęła Janinkę lub Józefkę, by tańczyły z nią walca. Nie zwróciło jej uwagi, że dziewczyny przy Staszku nie chcą tańczyć i odmawiają panience, wyrrywają się, nawet ośmielają się walczyć. Darowała Janince lustreczko, pozostawione przed wojną w czasie odwiedzin przez daleką kuzynkę, by powiedziała, dlaczego, ale Janinka nie poddała się.

- Panienska wie dobrze, chce mnie tylko zawstydzić i wys-

miać.

W Bezwodach istniał ścisły rytuał zalotów. Najpierw chłopak szedł przez wieś i zatrzymywał się przy tym lub owym płocie zagrody, gdzie była młoda dziewczyna. Przywoływał ją, jeśli podeszła, porozmawiał i szedł dalej. Gdy zaczynał się zatrzymywać przy jednym, to znaczyło wiele. Stawał, patrzył, a jeśli dziewczyna mu sprzyjała, od czasu do czasu odrywała się od zajęć na podwórku, podchodziła do płotu i rozmawiała z nim. Po pewnym czasie chłopak zaczynał zatrzymywać się przy furtce, ale nie wchodził. Ona po drugiej stronie - i poświęcała mu więcej czasu niż przy płocie. Trwało to dotąd, dopóki rodzice nie zaprosili chłopca na podwórze. To był początek oficjalnych konkurów. Drugą fazą było wychodzenie z chłopcem poza obejście. Szli od wsi w dół, do płynącej zakolami rzeczki Warkocz. Stawali na mostku, obok siebie; najczęściej woda była tematem ich rozmów, jej uciekanie, niestałość, odpływ. Jeśli przekroczyli połowę mostku i poszli za rzekę, w górę, w kierunku lasu, to znaczyło, że ślub wyznaczony i zapowiedzi już spadają z ambony. Nie wolno było przekroczyć granicy lasu. Ale były tam kawałki ugorów, które nie liczyły się jako las, a były zarośnięte tarninami, głogiem i dziką różą. Chłopiec brał dziewczynę na ręce i drąc ubranie, kalecząc się o kolce, wnosił w te chaszczce.

Stefania o tym nie miała pojęcia. Zaczęła się martwić, że Staszki Kurskiemu może być przykro, że stoi za płotem. Omijając etap furtki, sama podeszła i poprosiła go na podwórze, podała rękę i spytała, czy na coś czeka, może na ojca, a jeśli tak, to niech usiądzie na ławce. Staszka Kurskie- go zaskoczyło, że od razu został wprowadzony na podwórze. Uznał za wyrefinowaną kokieterię pytanie, które mu zadała, a napomknienie o ojcu za wyraźną aluzję. Dziwiło go, że rodzice nie wychodzą, nie pilnują panienki i nie prowadzą z nim rozmowy. Wydało mu się to nieobyčajne, wręcz gorszące. Poczul pogardę dla państwa, którzy nie dbali o córkę. Cóż jednak winna córka - myślał - skoro rodzice jej nie wychowali? Postanowił ukryć to przed

swoimi rodzicami. - A może tak mnie kocha, z natury jest odważna i postępuje z pańska - kombinował. Opowiedział jej, że skończył szkołę podoficerską i teraz właściwie ukrywa się, bo nie poszedł do niewoli, a Niemcy mają listę wszystkich elewów. Zwierzył się Stefaniu, że rodzice chcieli, by był księdzem, ale on kocha wojsko. W niedomówieniu, które wydało się młodemu Kurskiemu wieloznaczne, pozostała sprawa celibatu.

Wreszcie poszedł, ale nazajutrz o tej samej porze znów był nie pytając o pozwolenie, wszedł na podwórze, siadł na ławce i czekał na Stefanię. Trwało to długo, aż Stefania bojąc się, by nie okazać się niegrzeczna, wyszła do niego. Wizyty młodzieńca nudziły ją i coraz bardziej drażniły. Zabierał jej dużo czasu i gdy nie zjawiała się szybko, stawał się drażliwy, aż się jąkał. Mówił zawile i górnolotnie, operując aluzjami niezrozumiałymi dla niej. Gdy prosiła, by powtórzył jaśniej jakąś myśl, rezygnował, machał ręką i patrzył na nią z urazą. Wspominał o nie znanych Stefaniu ludziach, nie wyjaśniając, kim są, widać w przekonaniu, że Stefania zna ich dobrze. Pierwszy raz spotkała człowieka, który swoje zapatrywania i sposób myślenia przypisywał innym i był przekonany, że wszyscy wiedzą to samo co on. Czasem podnosił głos i tonem kaznodziei mówił, czego Bóg wymaga: posłuszeństwa sobie i jednych ludzi drugim, a przede wszystkim żony mężowi, żołnierzy dowódcy.

- Panie Staszku, ale pan troszkę bredzi - powiedziała.

- Panno Stefciu, gdyby nie to, jak panią szanuję, skarciłbym pannę za takie słowa.

Spurpurowiała. „Boże, ile moja matka miała racji. Jak dla takich ludzi trzeba być grzecznym. Inaczej nie wiadomo, w co można się wplątać”.

- Przepraszam pana, nie opanowałam się i byłam niegrzeczna. Matka miałaby mi to bardzo za złe.

- Musi mnie pani bardzo przeprosić.

- Bardzo, bardzo pana przepraszam.

- Ale bardzo. Niech pani mnie pocałuje.

Zobaczywszy jej przerażoną minę dodał:

- To ja panią pocałuję.

Stefania nie wiedziała, że Staszek uważał się za bogacza i obliczał, że jest bogatszy od Jastrzębców. Wojna szybko i Kurskich wynosiła w górę. Młody Kurski był pewien, że Stefania wie to wszystko i że jej zachowanie jest podyktowane tą wiedzą.

Kiedy stary Kurski zatrzymał pana Jastrzębca jadącego bryczką, jego ukłon był arcydziełem dyplomacji. Ostentacyjnie unizony przy spojrzeniu pewnym siebie, twardym i wyzywającym. Jastrzębiec ściągnął konia, ale nie zszedł z bryczki, mimo że z tym sąsiadem musiał się najbardziej liczyć. Chodziły wieści, że Kurski chce wyjść z wojny milionerem. Kurski zapytał go, kiedy mógłby do niego zajść w pewnej sprawie. Jastrzębiec uznał chęć sprzedanego umówienia się za dowód szacunku ze strony Kurskiego, rozpromienił się.

- Po co się specjalnie umawiać? Mam akurat czas, możemy to omówić zaraz - powiedział Jastrzębiec i zsiadł z bryczki. Niejedno już omawiali w ten sposób. Kurski spurpurowiał ze wstydu. „Przecież on musi wiedzieć, o co idzie. Tak mu więc spieszo, prze do sprawy i chce tu córkę jak kurwę wypuścić za męża na miedzy?”

- Mnie by ubliżyło, gdybym na polu miał to omówić - odrzekł.

Jastrzębiec zmarszczył brwi i zaniepokojony powiedział:

- Tym bardziej chciałbym prędko wiedzieć, o co chodzi, a że szanownego pana chętnie widzę u siebie, więc jutro, o pół do szóstej.

Była to godzina sprzed wojny jeszcze. Chłopi nie mieli zegarków, a o tej godzinie w kościele bili na Anioł Pański. Kurski zmarszczył się, odebrał to jako aluzję.

- Mam zegarek i będę, jak pan powiedział.

Zdziwienie i zaskoczenie Jastrzębca na widok Kurskiego, który prowadził żonę, musiało być tak wielkie, że zostało dostrzeżone przez Kurskiego. Wiadomo było, że gdy do Kurskiego przychodzili ludzie w interesach, nie wychodziła do nich pracując w chlewie, owczarni i oborze. Ze względu

na obecność Kurskiej zaprosił ich do saloniku. To dodało odwagi Kurskiemu, mimo to omijał główny temat, męcząc niecierpliwego Jastrzębca. Kurski mówił, że jakkolwiek będzie po wojnie rząd, przeprowadzi parcelację, by zjednać chłopów. Dobrze więc będzie, jeśli pan Jastrzębiec wydzieli z majątku część, na przykład jako posag córki. Już Jastrzębiec miał mu przerwać rozzłoszczony, że Kurski wtrąca się w jego sprawy, i powiedział, że jego córka to prawie dziecko, ma przed sobą uniwersytet, świat i tam wybierze męża, ale pohamował się i odrzekł:

- Mój majątek za mały, żeby go dzielić. Nie wierzę, by był objęty przymusową parcelacją.

Jakieś fatum popychało rozmowę naprzód.

- Pan skromny, to ładnie - pochwalił Kurski, myśląc, że Jastrzębiec zniża się, by dać mu lepszy dostęp do siebie. - No to już znalazłem się blisko sprawy. Czy panienka Stefania ma na uwadze jakieś plany małżeńskie?

- Nie, skądże! - wykrzyknął Jastrzębiec.

Teraz Kurski chciał się cofnąć, tak wydało mu się to gwałtowne zaprzeczenie nie na miejscu, głupie, bezwstydné, zachęcające, ale połączenie z tymi niby-pankami, jak ich nazywał w myśli, było ogromną stawką.

- No więc idzie o to, że mój syn Staszek ma na oku pana córkę Stefanię.

Jastrzębiec spurpurowiał, oczy mu wyszły z orbit, wydawało się, że umrze na miejscu. Popatrzył w bok nieprzytomnie zaczerpnął głęboko powietrza i jak sparaliżowany nie mógł wymówić słowa. Zamknął oczy, by ukryć, co się z nim dzieje. Na chwilę ogarnęła go wściekłość na głupotę córki, jej przerażające oderwanie od świata, ale uświadomił sobie, że otrzymał pierwszy znak od historii, o której zapomniał, żyjąc jakby osiemnasty wiek ciągle trwał.

Milczenie zmyliło Kurskiego. Szybko dodał:

- Wiem, że panienka jest młodzusiénka, trzeba poczekać dwa, trzy lata.

Jastrzębiec otworzył oczy i zobaczył wylupiaste, wytrzeszczone, wbite w niego oczy Kurskiej. Ona lepiej wyczuła,

że pan się rozgniewa. Coś wynikającego z jej nazwiska, coś straszliwie kurzego, drobiowego, zastraszonego, jakby Kurska była kwoką czy jeszcze jajkiem, biło z jej osoby. Uosabiała tak silnie idiotyzm sytuacji, doprowadzone do potworności nieporozumienie, że Jastrzębiec wybuchnął śmiechem. Jeszcze bardziej rozśmieszyła go reakcja Kurskich na jego śmiech. Kurski stanął na równe nogi, brutalnie chwycił żonę za ramię, chyba celowo zadając jej ból, i poderwał, aż krzyknęła. Pchnął ją ku wyjściu. Potknęła się o dywan, potem o próg.

W Kurskim to przeważało.

- Dywany? ...Wysokie progi?... Wyglupił się pan, panie Jastrzębiec. Ten żart się panu nie uda. Zobacz pan... - za-perzył się, zabrakło mu słów. - Zobacz pan, i to niedługo. Nie wiem, za co pan się zemścił nade mną. Ale zemsta za zemstę, a za zemstę zemsta - jeszcze raz pchnął żonę i trzasnął drzwiami.

Pani Jastrzębcowa słyszała śmiech męża, krzyk Kurskiego. Dopytywała się, co się stało: „Kurscy przyszli kupić resztówkę?” Jastrzębiec potwierdził, ochraniając córkę przed wmieszczeniem w tę sprawę, zabrudzeniem jej myślami Kurskich. Stracił na wiele dni humor. Wyczuł, że Kurskiego nie da się przebłagać. Domyślał się, że Staszek jest równie dotknięty. Rozumiał, że ma potężnych wrogów, jego sytuacja w Bezwodach zmieniła się nieodwracalnie. Przepraszanie Kurskiego, pisanie listu, wysyłanie pośrednika w oczach Kurskich byłoby okazaniem słabości. Musiał szykować się do walki z przeciwnikiem, którego nie chciał, którego sam sobie stworzył. W dodatku nie lubił walki. To była jedna z jego tajemnic. Dlatego ciągle zmuszał syna do ćwiczeń szermierczych. Był prawie pewien, że nie boi się, tylko nie znosi zakłócania spokoju, ryzyka, niewiadomej, że jest za niecierpliwy, by czekać na rezultat walki, i że jest coś nie do zrozumienia nawet dla niego samego, w co nikt by nie uwierzył: że walka go nudzi.

Nie nadawał się - wiedział to - do walki, bo nie interesowali go przeciwnicy. Tak samo i teraz zdawał sobie sprawę,

że nie jest w stanie myśleć o Kurskim i jest niezdolny do odtworzenia na podstawie danych, które ma, jakie będzie teraz posunięcie jego nowego wroga, nie mówiąc o planie pokonania go.

Nie sięgał wyobraźnią poza moment, gdy Kurscy wracają i opowiadają Staszku o upokorzeniu, jakiego doznali; jak się naradzają nad zemstą. Nie był tego ciekawy, czy wołał, ile można, jak najdłużej nie wiedzieć tego - jak udawał, że nie widzi przecieku w sieni, gdy trzeba było postanowić, czy dawać nowy dach, czy zabierać z kuchni na strych następną wazę.

Pierwszym aktem zemsty Kurskiego było rozpalenie niewiści w Staszku.

- Byłem, synku, nędzarzem, mama potwierdzi, a może i ty pamiętasz, ale takiej hańby nie przeżyłem. Śmiał się z ciebie, ze mnie, ale przede wszystkim z twojej matki, bo jest prostą kobietą - przeinaczył fakty - ryczał ze śmiechu, gdy potknęła się o dywan.

Kurska nie śmiała prostować. Staszek, żołnierz, podoficer zawodowy - rozplakał się. W bezsilnej rozpaczce wygrażał Jastrzębcom pięścią. Jedynym wnioskiem starego Kurskiego było: pełną parą ku potędze, ku wielkiej forsie, a potem obmyślić plan zemsty. Stach Kurski myślał o krwi, ogniu, pożarze. Jednak nie mógł tego powiedzieć. Przypomniawszy ojcu, że prawie od wojny błaga go, by pozwolił. Ojciec wie, na co, i ojciec nie pozwala. Wtedy bogactwo przyjdzie z dnia na dzień. Można będzie w dzierzawę puścić pola, a nawet zostawić je ugorem.

Kurski stał się bogaty w czasie komasacji. Chłopi w Bezwodach sprzeciwiali się jej, przewidując, że przyniesie im najgorsze. Nie chcieli nawet gadać z geometrą. Nikt nie wynajął mu kwatery. Kurski przyjął go za darmo, karmił i poił. Wziął pożyczkę z banku i całą przepuścił z geometrą. Dostał tyle samo ziemi, co miał łąk, które zamulała rzeka, przeszedł na górę, na najlepszą ziemię. W czasie kryzysu pożyczka pod zastaw gruntów i przejmował pole za polem. Nawet wdowie po swoim bracie zabrał gospodarstwo i oka-

zując łaskę jej i bratankowi, przyjął ich do pracy. W czasie wojny zaczął bić nielegalnie, produkować wędliny i sprzedawać szmuglerom, pędził bimber, a nawet prowadził wyszynk w dawnej suszarni tytoniu. Uprawiał tytoń na kilku hektarach mając pozwolenie na jeden. „Każdy Polak powinien tak robić - mówił - a kto doniesie, kula w łeb”. „A skąd się pan dowie, komu tę kulkę wysłać?” - pytano go. „Sam Niemiec za pieniądze mi zdradzi”. Skupował złoto, dolary, biżuterię na wagę. Okrężną drogą, przez pośredniczkę, Jastrzębcowie sprzedali mu, by nie wiedział, od kogo kupuje, rozsypany sznur pereł.

Staszek ukląkł przed ojcem.

- Ojciec, błagam, pozwól. Chcesz rzucić Jastrzębców na kolana czy nie? Musimy zacząć, nim kto inny się pojawi w okolicy. Jak się spóźnimy, oni mogą nawet nas obrobić - a w każdym razie musielibyśmy ich wyprzeć czy wybić. Póki nasza okolica jest pusta i wręcz prosi, by ją wziąć w łapę, musimy zaznaczyć, kto jest władcą.

Ojciec udawał, że jeszcze się waha, czy wahał się naprawdę. Wreszcie rzekł:

- Tylko musisz mnie słuchać. Możesz pójść do sąsiedniego powiatu i obrobić wyplatę dla hodowców buraków, przywiezioną do cukrowni.

Pożyczył Stachowi rewolwer, który kupił dla swojej obrony jeszcze w czasie komasacji. Staszek miał własny, z którym wrócił ze szkoły podoficerskiej; mieli zakopany karabin. Uszyli sobie biało-czerwone opaski. Kurski zakazał mieszać do sprawy bratanka Ryszarda, bo za wiele wiedząc mógłby upomnieć się o ziemię.

Dwóch młodszych braci Kurskich i trzech parobków, zafanyh na tyle i wtajemniczonych, że mieli prawo po pracy brać z kadzi tyle bimbru, ile wypiją, stanowiło armię Staszka Kurskiego.

Po drodze bez pozwolenia starego Kurskiego odebrali młynarzowi milion złotych i bicz złotych dwudziestorublówek. Ojcu było przykro, handlował z tym człowiekiem, ale pomyślał, z iloma to jeszcze handluje i

wie, co mają. Ufali mu i przy nim sięgali do schowków.

Ojciec zakazał brać Staszewi czegokolwiek ciężkiego, dużego, rozpoznawalnego, widocznego. „Lepiej nic nie przynieść, niż obciążać się”. Tym zmusił go, że nie mógł brać rzeczy, które są na wierzchu, a tylko ukryte, i przez to Staszek musiał ze wszystkich wyduszać, gdzie chowali. Na początku bił po twarzy, głowie, nie wiedział, gdzie są miejsca, że jak naciśnie, to człowiek popuści. Bogactwem dzielił się z ojcem po połowie.

We wsi zauważono, że Kurski, gdy widzi Jastrzębca, nie kłania mu się. Od kiedy istnieje świat, nie było wypadku, by panu się ktoś nie uklonił. Kimże jest Kurski, że może sobie na to pozwolić? Co zaszło między Jastrzębcem a Kurskim? Zobaczyli nowego Kurskiego. Zaczęli zastanawiać się, jak się dzieje, że Niemcy zostawiają Kurskiego w spokoju. Kupił bryczkę, zaprzęgał ją w dwa konie. W górzystej okolicy nie liczyła się wielkość pojazdu, tylko siła koni. Jeździł co tydzień do powiatu, leciał przez lasy, rozparty na siedzeniu krytym brązowym sztruksem, dostosowanym do ciemnej barwy lakieru. Drogi leśne były lepiej utrzymane niż publiczne. Ale od kilku miesięcy patrole niemieckie stawały przy wyjeździe z lasu, legitymowały i rewidowały tych, co bez obaw korzystali z przejazdu lasem. Pod siedzeniem w worku z sianem Kurski miał mniejszy worek z ubitymi mocno okupacyjnymi pieniędzmi. Jego największym kłopotem było pozbywanie się ich i znajdowanie źródeł na dolary. Ostatnio trafił na starszą kobietę, która choć brała więcej, co miesiąc mogła dostarczyć trzysta dolarów. Była tak sprytna, że nie można było domyślić się, czy wyprzedaje własny kapitał przez dozowanie ukrywając, ile ma, czy jest handlarką, uzależnioną od źródła swoich zakupów. Przed wyjazdem podzielił się swoją myślą ze Staszkiem, który odrzekł:

- Sam tata mówił, by w okolicy nikogo nie ruszać. Jeśli jest handlarz, to kupuje od innego handlarza, który ma bezpośredni kontakt ze źródłem; nawet gdybyśmy wydusili, kto to, byłoby za dużo kręcenia się po S., musielibyśmy

pójść w to drugie miejsce. To wielka niewiadoma, co to za miejsce. Dlatego niech tata płaci jakiś czas, aż tata zauważy coś bardziej konkretnego, wtedy obiecuję te dolary za darmo ojcu.

Nie wezmę swojej połowy, ale skoro ojciec pozwoli mi raz skoczyć na naszym terenie, to ja poproszę dla siebie drugi raz, choć to i ojca sprawa.

- Wiem, co masz na myśli, synu, i wcale się nie cieszę. Zgnieciemy go jednym palcem, piechotą albo na klęczkach będzie opuszczał Bezwody, ale gdy dojdziemy do pieniędzy. A twoim celem jest zemsta. Przyznaj się: z tą myślą zebrałeś ludzi, by straszyć Jastrzębców, a potem ich dobić?

- Ojcze, nie wiem, czy wydam rozkaz ich zabić. Szukam w głowie różnych sposobów.

Kurski w S. zatrzymywał się w domu noclegowym, który był dużym mieszkaniem prywatnym przy rynku. W podwórzu była stajnia. Pokoje szły w amfiladzie, na końcu był najlepszy, z jednym tylko łóżkiem i tam nocował Kurski; właścicielka przynosiła mu z restauracji kolację i pół litra wódki. Zasadą Kurskiego było nie pokazywać się w miejscach publicznych. Wtedy człowiek się rzuca w oczy i mówi się o nim.

Przed godziną policyjną wyszedł z domu noclegowego i klucząc po miasteczku i ciągle się oglądając, wszedł do kamienicy przylegającej do budynku żandarmerii, gdzie mieszkał zastępca Landwirta, Gelber. Ten dom cieszył się złą opinią, mieszkali tam urzędnicy niemieccy i volksdeutsche. Podobno ściany między siedzibą żandarmerii a domem mieszkalnym były wybite i korytarze obu budynków łączyły się, w razie niebezpieczeństwa mieszkańcy tego domu mogli uciec do budynku żandarmerii.

Gelber nie miał ochrony i otwierał sam, ale miał dwa wizjery, jeden w głównych drzwiach i drugi z boku, w kuchennych, z których było widać, czy ktoś nie stoi na schodach.

Kurski wypłacał Gelberowi 35 dolarów miesięcznie, co było w Polsce w czasie drugiej wojny wielką sumą. Za to korzystał z pełnej ochrony i było to załatwione wysoko w

miejscowym gestapo. Kurski podejrzewał, że u samego Jeaschkego.

Gelber przyjmował go w przedpokoju, na stojąco, nie znosił długich rozmów. Gelber rozumiał po polsku, ale wysławiał się z trudem. Pochodził z Pomorza i na wiosnę 1939 roku przeszedł przyspieszony kurs polskiego. Gelber wyszedł do Kurskiego, mimo ciepłego dnia, w długich kalessonach i podkoszulku, trzymając w ręce parabellum. Trzeźwiał i był o coś wściekły. Kurskiego gryzł niepokój, bo nie był lojalny wobec Gelbera i pozwolił synowi chodzić na napały, więc chciał dziś wciągnąć Gelbera w poważniejszą działalność, przez co zapewniłby ochronę Staszce. Wręczył Gelberowi nadprogramową premię w wysokości pięciu dolarów i spytał, czy ma zaufanych ludzi w żandarmerii czy gestapo, bo mogliby obrobić pod pozorem rewizji babę, która ma wielkie pieniądze w dolarach.

Gelber chwycił za gardło Kurskiego i zaczął nim trząść.

- Żadnych napadów, ani mi się waż, psia świnię. To podlega pod Abwehr. To wywiad. Ty jesteś niebezpieczny człowiek, a nie żaden rolnik. - Uniósł pięć dolarów. - Wynos się! Jeden niewłaściwy ruch i śmierć. Oskarżę cię o próbę korupcji niemieckiego urzędnika. Zapisz numer banknotu.

Kurski, przerażony, wyszedł. Staruszka, pogodna, jakby nie było wojny, grabieży, nieszczęść, drażniła go, jak sam rozdrażnił Gelbera. Tego dnia miała tylko drobne. Cena dolara była tym wyższa, im niższa była wartość nominalna banknotu. Było trudno zmienić setkę, tysiąc dolarówkę.

Dolar u niej kosztował o 25 procent taniej, bo zawsze miała „grube”. Kurski zaś skupował wszystko na po wojnie i wściekł się, że musi dziś więcej płacić. Pomyślał, czy nie udałoby mu się baby przestraszyć i samemu bez niczyjej pomocy coś osiągnąć.

- Wielu ludzi zastanawia się, skąd taka jak pani ma takie sumy?

Kobieta zmieniła się na twarzy. Jej uśmiech znikł, spytała lodowatym głosem, powoli i z namysłem:

- Wielu ludzi, to znaczy kto?

Kurski zmieszał się.

- Ja panią chciałem ostrzec, a pani tak ostro.

- Musi pan powiedzieć, inaczej koniec z handlem.

- Rozmawiałem dziś z zastępcą Landwirta, pytał mnie o to, zaprzeczyłem, żeby coś było wiadomo o pani, i uwierzył mi - brnął głupio, strasznie.

Kobieta miała pełen rezerwy, rzeczowy wyraz twarzy.

- Jak panowie porozumiewali się na mój temat, skoro pan nie zna mojego nazwiska?

Kurski skulił się, bąknął:

- Sam nie wiem. Według miejsca, gdzie pani mieszka.

- Skąd Gelber wie, gdzie mieszkam? - pytała go kobieta takim tonem, jakby go przesłuchiwała.

- Nie wypadało mi pytać, ale przy najbliższym spotkaniu zapytam go i powiem pani.

- Dobrze, niech pan to zrobi - odrzekła kobieta i uspokoiła się. Kurski odetchnął, rozmawiał jeszcze, czuł, że za długo, by zatrzeć złe wrażenie. Gdy wyszedł, postanowił za jednym zamachem ułagodzić całkiem Gelbera. Było dziesięć minut do godziny policyjnej i biegiem prawie dotarł do tego domu. Wartownik w budce przed żandarmerią przyjrzał mu się.

Gelber już spał, służąca Ślāzaczka rozmawiała z nim przez drzwi i powiedziała, że pan zakazał się budzić.

Gelber obudził się rano w' cudownym nastroju. W jadalnym, umeblowanym pożydowskimi meblami i pełnym kwiatów doniczkowych zabranych komu innemu, wypił kubek mocnej kawy ze śmietanką. Do tego lubił chleb z mocno czosnkowaną kielbasą. Służąca przyniosła mu długie buty, wyglansowane na lustro. Trochę było mu w nich za gorąco i pociły się nogi. Wygolony, polany wodą kolońską dobrej marki, z chusteczką w kieszonce marynarki z angielskiej wełny wyszedł na ulicę, by słoneczną stroną przejść do budynku żandarmerii, gdzie trzecie piętro zajmował oddział gestapo. Z zadowoleniem myślał o sobie, że jemu nie grozi zamach ze strony Polaków, a jednak trochę się bał, ale to było przyjemne i wiedział, że bez tego na rodzinnej ziemi

nie doświadczyłby lekkiego dreszczu, który nazywał „szczęściem wojny”. Czuł się jak turysta. Był w Hiszpanii na kilka dni przed wybuchem walk i doznawał podobnego wrażenia, gdy szedł słoneczną stroną ulicy w Barcelonie.

Na końcu korytarza trzeciego piętra mieścił się najważniejszy wydział, serce gestapo-III c. Nawet Gelber nie wiedział dokładnie, co oni robią. Pracował tam starszy referent Jaeschke. Gelber i Jaeschke poznali się już tutaj, w S., i spodobał się sobie, gdy w czasie kilku kolejnych rozmów żaden nie powiedział o swojej wierności Führerowi. Obaj byli członkami partii, ale obaj wiedzieli, że ludzie, którzy takie rzeczy mówią bez powodu, są tchórzami i z góry chcą się odciąć od podejrzenia o nielojalność czy zastraszyć rozmówcę twardą postawą. Obaj szybko poznawali teren, uważając, że to jest podstawą działania, a nie palenie wsi. Jaeschke krył Gelbera, biorąc jedną trzecią sum, które Gelber dostawał.

Gelber wszedł do pokoju Jaeschkego, witając się z nim wziął leżącą na szafce tabliczkę: „Uwaga! Przesłuchanie! Nie wchodzić!” i zawiesił ją na klamce od strony korytarza, po czym zamknął drzwi.

- Mój klient ze wsi Bezwody, bogaty chłop Kurski, namawiał mnie wczoraj na napad. Staruszka sprzedaje mu dolary. Tę staruszkę ci daruję i chyba mi podziękujesz, bo to może być proste dojście do przerzutu dolarów z Londynu. Na Kurskiego za bezczelne łamanie prawa niemieckiego i kontakty z bandami trzeba zrobić najazd, a przedtem wydusić, gdzie co ma.

Omówili szczegóły. Gelber na oficjalnym blankiecie starostwa - zawsze je nosił przy sobie - bez pieczętki, przez co wyglądało jak list prywatny, wypisał wezwanie do Kurskiego, by natychmiast zgłosił się do starostwa.

Kurski dopiero wrócił i konie, nie wyprężnięte, stały na podwórku, gdy zajechał goniec na motocyklu. Kazał Kurskiemu siadać na tylne siodełko: „Pan Gelber czeka w pilnej sprawie”. „Chwyciło. Gdyby było coś złe, aresztowaliby mnie” - pomyślał Kurski.

Po drodze zaczął się bać. Co zrobią staruszce? Będą go mieli w rękę i mogą chcieć więcej takich wiadomości, a to się musi rozejść i wtedy będzie źle.

Goniec zawiózł go przed budynek żandarmerii. „Pan Gelber tu czeka na pana” - wyjaśnił Kurskiego i strażnika jednocześnie. Strażnik wziął kenkartę Kurskiego, sprawdził na liście wezwanych i wpuścił go. Na trzecim piętrze Gelber wyszedł mu naprzeciw.

- Pójdziemy do mojego kolegi i omówimy sprawę tej staruszki - powiedział Gelber.

- Ale ja się wycofuję - powiedział Kurski.

- Do licha, człowieku. To musisz powiedzieć sam mojemu koledze.

Otworzył drzwi pokoju Jaeschkego tak, żeby Kurski nie zobaczył tabliczki z nazwiskiem. Jaeschke nie zareagował na ukłon Kurskiego.

Kurski spytał:

- Mogę usiąść?

- Nie-odrzekł Jaeschke. Przyglądał się Kurskiemu, jakby zastanawiając się, jaką drogę obrać, i odezwał się zyczajnie, spokojnie:

- Mam do ciebie, chłopie, dwa pytania.

Gelber pospiesznie i nieudolnie przełożył te słowa na polski. Kurski, czujny i przyzwyczajony do polszczyzny Gelbera. kiwnął głową usłużnie na znak, że zrozumiał.

- Pytanie numer jeden: adres, nazwisko, imię i inne dane o kobiecie, od której kupowałeś dolary. Pytanie drugie będzie, jak odpowiesz na pierwsze.

Kurski zorientował się, że jest źle. W słowach „kupowałeś dolary” było oskarżenie i za to szło się do Oświęcimia. Także czas przeszły wskazywał nieuchwytnie, że coś jest przesądzone. Kurski spojrzał rozpaczliwie na Gelbera.

- Ale jej nie zrobicie nic złego? - Gelber nie reagując na spojrzenie Kurskiego przełożył jego słowa na niemiecki.

- Nie - wzruszył ramionami Jaeschke. - Po co byśmy mieli ją krzywdzić?

Gelber skrócił w tłumaczeniu te słowa: - Nima mowa.

Kurski przyznał się, że nie zna jej nazwiska, ale podał ulicę, wygląd domu, położenie mieszkania i dodał, że najłatwiej starszkę zastać wcześniej rano i wieczorem przed godziną policyjną.

- Opisz wygląd tej kobiety, ubranie - nakazał Jaeschke. Gdy Kurski wdał się w drobiazgowość, Jaeschke machnął ręką i wstał. Kurski zwrócił się do Gelbera:

- A ja co z tego będę miał?

- Zobaczysz - powiedział Gelber.

Jaeschke wyszedł. Gelber został z Kurskim. Nie odzywał się do Kurskiego. Kurski chciał prosić go, by powiedział, jakie będzie drugie pytanie, ale wiedział, że to beznadziejne. Czuł, że wplątał się w rzecz, której skutki były nieobliczalne. Przestał rozumieć, co się dzieje. Dygotały mu usta, ręce, z oczu płynęły łzy, szczękały mu zęby, przeraziło go, że Gelber to widzi i nie reaguje, i nawet nie każe mu usiąść. Osłabły, oparł się o ścianę. Gelber spojrział z niezadowoleniem, ale nic nie powiedział. Minęła godzina, Kurski pocił się, ślinił, płakał, czuł, że chyba zesiusiał się.

Jaeschke wpadł otwierając drzwi na całą szerokość. Nie mógł, czy nie chciał powstrzymać wściekłości.

- Baba znikła. Wyprowadziła się w nieznanym kierunku.

- Zwrócił się do Kurskiego: - Jesteś oskarżony o współdziałanie z nią. - Zniżył głos do szeptu: - Gdzie przechowujesz dolary?

Gelber przekładając też mówił cicho. Kurski złożył ręce.

- Miało być drugie pytanie. Gotów jestem odpowiedzieć

- zastanawiał się, o kim mówić, co ułagodziłoby gestapowca. Pomyślał o Jastrzębcach.

- Ty nie jesteś tu po to, by pytać! - wrzasnął Jaeschke.

Kurski i Gelber podskoczyli. Gelber nie przetłumaczył tego zdania. Jaeschke wyjął z szuflady biurka białą gumę podobną do policyjnej, tylko dłuższą, potem z innej szuflady, schylając się, wydobył stalowy drut i palnik spirytusowy. Objął tonem nauczyciela przyrody przygotowującego w klasie doświadczenie:

- Ten drut rozżarzamy w palniku do wysokiej temperatury

i wsuwamy w ciało. Może przepalić nawet kiszki.

Gdy Gelber tłumaczył, Jaeschke jeszcze raz sięgnął i wyjął szczypce i dołożył do narzędzi tortur.

- Ta baba naprawdę uciekła? - zapytał szybko po niemiecku Gelber Jaeschkego. Jaeschke kiwnął głową. Zwrócił się do Kurskiego:

- Zawiadamiasz nas, gdy baba uciekła. Jesteś jej przyjacielem. Masz dolary od niej. Są skarbem bandy londyńskiej i ty je przechowujesz. Ten skarb ma nam być wydany. Nawet nie trać czasu na wykręty - mówił prostymi, krótkimi zdaniami Jaeschke, by ułatwić tłumaczenie Gelberowi. - W tym pokoju człowiek, który nie mówi, jest mniej niż trupem, na takim człowieku nam nie zależy.

- Nie mam nic wspólnego z bandami - zaczął Kurski, ale Jaeschke zerwał się, świsnął mu gumą koło głowy. -To jest dorobek całego życia. Zostawcie choć pół...

Jaeschke ruchem, jakby nagle stał się znudzony, zmęczony, wyjął zapalki, zapalił jedną i przytknął do palnika. Zapach siarki i palącego się denaturatu napełnił pokój.

- To jest skrytka w ziemi koło obory. Można dostać się wykopując w gnojowniku dół. Na dnie jest klapka, trzeba ją otworzyć, będzie studzienka. Od studzienki idzie jama obetonowana, równoległa z powierzchnią ziemi. Tam trzeba włożyć rękę, wymacać sznur, pociągnąć. Na końcu sznura jest worek z pieniędzmi.

Gelber i Jaeschke popatrzyli na siebie. Wydało się im to skomplikowane, ale prawdopodobne. Jaeschke wyszedł. Kurski słał się na nogach, Gelber rozwalony na krześle, całkowicie nieruchomy, nie wydawał się nudzić ani niepokoić. Kurskiemu wróciły siły umysłu. Rozumiał wszystko. Wydał sam siebie, rodzinę, majątek. Skarb wezmą dla siebie, więc on nie może przeżyć. W raporcie napiszą, że szukali skarbu londyńskiego, zabili kilku bandytów, ale dolarów nie znaleźli. Miał jeszcze małą iskierkę nadziei. W pośpiechu Jaeschke nie zadał jeszcze jednego pytania. Kurski miał jeden atut w ręce. Od wczoraj wszystko rozwijało się błyskawicznie, wydawało mu się, że przez ten dzień mi-

nęło mu tyle życia co przez dotychczasowe 56 lat. Stał już piątą godzinę i nie cierpiał tak bardzo. Dziwił się cierpliwości Gelbera, który bez ruchu przetrwał ten sam czas. Musiał stojąc usnąć na ułamek sekundy, bo zobaczył obejście i wszystko było w porządku, bez zmian. „Ale miałem straszny sen” - zdołał pomyśleć i obudził się. Gelber miał oczy otwarte i patrzył na niego, bojąc się zobaczyć, że runie i narobi hałasu. „Tam moi wszyscy już nie żyją Już na pewno jest po wszystkim” - myślał Kurski. Wolał, żeby tak było, by już nic nie było do zrobienia. Bo gdyby teraz powiedział, że ma jeszcze jedną skrytkę, czy Gelber powtórzyłby Jaeschkemu?

Jaeschke wszedł do pokoju nie patrząc na Kurskiego. Mieli jakiś znak z Gelberem, bo Gelber tylko spojrzawszy na Jaeschkego westchnął z ulgą. Włosy Jaeschkego, uczesane z przedziałkiem, były mokre, zmieni! też ubranie na bluzę kroju wojskowego, bez dystynkcji. Jaeschke usiadł za biurkiem, a Gelber przesunął się, pochylili się do siebie i ci-cho rozmawiali po niemiecku.

„Teraz mnie zastrzelą” - myślał Kurski. Odgadł, że omawiają jego los, ale nie spodziewał się, że omawiają kwestie formalne. Przepisy policji niemieckiej komplikowały sprawę. By zabić Kurskiego w budynku gestapo, należałoby sporządzić notatkę służbową. Z człowieka, który był powodem akcji, musieli się rozliczyć.

Wreszcie Jaeschke podsumował głośno, by Gelber mógł się zastanowić, czy w rozumowaniu nie ma luk:

- Kobieta ucieka. Aresztujemy tego osobnika. Podaje, gdzie są pieniądze. W czasie walki z bandytami londyńskimi, którzy, być może, ochraniaли melinę - tamci wszyscy giną, wybucha pożar. Pieniędzy nie ma w miejscu wskazanym. Przezornie trzymamy osobnika u siebie. Wieziemy go, by na miejscu wskazał, gdzie jest skrytka. W czasie drogi przez las próbuje ucieczki, Zmuszeni jesteśmy ją udaremnić i to się nam udaje, ale osobnik nie żyje.

Gelber kiwnął głową. Jaeschke wezwał telefonicznie dwu żandarmów. Odezwał się do Kurskiego:

- Jedziesz do domu. Dostaniesz eskortę, byś nie uciekł.

Żadnych niepotrzebnych i gwałtownych ruchów. Na miejscu pokażesz, gdzie masz pieniądze.

Kazał jednemu z żandarmów zrewidować go i odebrać mu wszystko, a drugiemu spisać protokół na maszynie. Wymieniali drobiazgowo: „Grzebień stary, trzy zęby wyłamane...”. Kurski wstydził się grzebienia i zły był na siebie, że nie wziął nowego, i dziwiło go, że w takim momencie myśli o grzebieniu. Zaczął nabierać nadziei: „Widać muszą spisać, bo będę żył i mogę się upomnieć”.

Gelber został. Jaeschke usiadł przy kierownicy. Jechali lasem, bardzo szybko. Policyjny łazik podskakiwał i gdy raz Kurski chwycił się rękawa żandarma, dostał kolbą. „Teraz partyzanci! Zjawcie się” - błagał, nie wiedział kogo: Boga czy partyzantów. Ale Niemcy wbrew temu, co o nich mówiono, nie przejmowali się, że jadą przez las. Nagłe Jaeschke krzyknął do Kurskiego po polsku:

- Robisz pod siebie !

- Nie, panie! - Kurski walnął się ręką w piersi.

- Wyprowadzić zasrańca na kupę - wydał rozkaz żandarmom Jaeschke i w chwili gdy głowa Kurskiego, wyciąganego przez żandarmów z łazika, znalazła się przy głowie Jaeschkego, ten szepnął mu w ucho gorącym oddechem:

- Ucikoj!

Wielka nadzieja i radość rozsadzały pierś Kurskiego, gdy nabrał oddechu i zebrał się do biegu, prosto w młode świerczki. Dwie serie z dwu pistoletów maszynowych uderzyły go od tyłu i rzuciły na twarz.

Jaeschke wygramolił się z samochodu, podszedł do Kurskiego, kazał go przewrócić twarzą do góry. Patrzył nieufnie, jakby bojąc się, by Kurski nie odżył, mimo że miał klatkę piersiową rozerwaną przez wyloty pocisków.

„Kuna” - zastępca komendanta inspektoratu AK w S, do spraw wywiadu i kontrwywiadu, wnosił rower na tylny ganek dworu w Bezwodach, gdy w głębi wsi wybuchała gwałto-

wna strzelanina i po chwili podniósł się w górę wysoki słup ognia. Wszyscy wybiegli na podwórko.

- U kogo? - spytał Jastrzębiec. Nigdy nie nauczył się topografii wsi. - U Serków?

- Nie. U Dulębów - powiedziała Józefka.

- Boże! Cała wieś się pali! Zaraz tu będą - lamentowała Janinka.

Jastrzębiec wziął „Kunę” na bok. - Niech pan się schowa.

- Nie trzeba. Mam legitymację podpisaną przez Gelbera, że jestem inspektorem tytoniowym.

- To chodźmy razem na strych i przez okienko zobaczymy wieś.

- Jednak w razie czego na strychu wolę nie być - odrzekł „Kuna”.

Jastrzębiec poszedł sam. Otworzył dymnik w kształcie półksiężyca i spojrzął na wieś. Widać było jak na dłoni żandarmów, samochody, bydło, które się rozbiegło. Dochodziły glosy, kwik świń i huk pożaru: „Uhuhuhu”. Płonęły zabudowania Kurskiego. Jastrzębiec zszedł na dół. Józefka i Janinka, objęte wespół, lamentowały.

- Spokój. Proszę zachować spokój - powiedział Jastrzębiec. - Palą Kurskich.

- Kurskich?! - wykrzyknął bezwiednie „Kuna” i zmieszał się.

Odciągnął Jastrzębca na koniec podwórka. Zaczął tu dochodzić swąd spalenizny, nasuwający najgorsze myśli.

- Mam jeszcze nadzieję, że to bydło - powiedział Jastrzębiec.

- Ja przyjechałem w sprawie Kurskiego - powiedział „Kuna”. - To rzecz bardzo pilna. A teraz nie wiem, co myśleć. Kurski był niezawodnym nabywcą dolarów. Częściowo mu ufaliśmy, mimo że wiedzieliśmy o jego powiązaniach z Gelberem. Wczoraj wieczorem Kurski ostrzegł punkt sprzedaży dolarów, ale zachowywał się przy tym podejrzanie. W każdym razie powiedział, że Gelber interesuje się osobą, która sprzedaje dolary. Szybko zwinęliśmy to miejsce i dobrze się stało, bo rano było gestapo, otoczyli dom,

wyłamali drzwi, ale nikogo nie znaleźli. Czy więc pana zdaniem spalenie Kurskiego oznacza, że oni sądzą, że nas ostrzegł?

- Nie zdobyłem się na to, żeby przyjechać do pana, i biję się w piersi, ale teraz, gdy sprawa jest tak poważna, muszę to powiedzieć, pod warunkiem, że da mi pan oficierskie słowo honoru, iż nikt nigdy się nie dowie. Podejrzewamy Kurskiego o napady. Banda działająca pod nazwą O.O. - Obrona Ojczyzny, może być z nim powiązana.

- To niemądrze, panie senatorze - uniósł się „Kuna”. - Przecież ta banda ma pana na liście.

- Wątpię w to - odparł Jastrzębiec.

- Pan musi być na liście i u bandytów, i w gestapo, i u nas. Jak pan widzi. Dlaczego mieliby pana ominąć?

- Bo baliby się, że się domyślę, czy może już przypuszczają, że się domyślam.

- Do licha, tym szybciej zechcą pana zlikwidować! Panie senatorze, niech się pan otrząśnie! Pana milczenie było niepatriotyczne. Pan prowadzi własną politykę. Pan nie podporządkowuje się, a karność jest pierwszym wymogiem. Możemy nigdy nie rozwikłać tej zagadki, a na pewno będzie kluczem do wydarzeń, które nastąpią.

- Pan nie zna na tyle tych okolic - bronił się Jastrzębiec. - Tu, żeby powiedzieć coś o sąsiedzie, trzeba myśleć rok, bo do końca życia można żałować. W dodatku ja miałem pewien konflikt, co prawda humorystyczny, z Kurskim.

- I honor nie pozwalał panu mówić nic o nich? Co pan jeszcze wie?

- Raz Kurski powiedział mi, że jak przyjeżdża Gelber, żeby się nie przejmować, tylko napełnić mu bryczkę po brzegi, to on zaraz odjedzie.

- I pan twierdzi, że pan zna okolicę? Tylko to pan wie?

- Jeżeli pan wszystko wie, to po co pan tu przyjeżdża? Żeby mówić mi impertynencje? Jeśli tak, to proszę siadać na rower i opuścić mój teren. - Jastrzębiec unosił się coraz bardziej i świadomość, że zachowuje się idiotycznie, złościła go jeszcze mocniej. - Złożę na pana raport w komendzie

okręgu.

- Proszę - odrzekł spokojnie „Kuna”. - Ale ja muszę wiedzieć więcej o Kurskich. Zaczniemy od tła konfliktu między panem a Kurskim.

- Kurscy - zaczął Jastrzębiec - są ode mnie bogatsi...

- Już nie są - przerwał „Kuna”.

- Boże, rzeczywiście - złapał się za głowę Jastrzębiec. - Boże, Boże... - zamilkł na chwilę, przerażony tym, co sobie uświadomił, i szybkością zmian.

- Kurski był bogatszy od pana... - przypomniał mu „Kuna”.

- ... czułem, że jedyną jego ambicją stało się prześcignięcie mnie we wszystkim, a potem zawładnięcie dworem w Bezwodach legalnie, podstępem czy przemocą. Stanąć na tym miejscu, które w jego wyobrażeniu jest szczytem. Jedno posunięcie zrobił. Poniósł porażkę i doszło do zerwania.

- To jest ten niby humorystyczny konflikt, o którym pan wspomniał? - odezwał się z ironią i ze współczuciem „Kuna”. - Trzeba mieć duże poczucie humoru, a zarazem jest w tym dla pana coś bardzo przykrego, bo odkłada pan moment powiedzenia mi, co się wydarzyło.

- Nie wie o tym ani moja żona, ani dzieci, a przede wszystkim córka, o którą chodziło. Zaproponowali mi małżeństwo swojego najstarszego syna Stanisława z moją córką. Ona nie może się nigdy o tym dowiedzieć.

- Dlaczego ma się nie dowiedzieć? - spytał „Kuna”. - Dla niej lepiej, by wiedziała.

Jastrzębiec przemilczał te słowa.

- Ja na tę propozycję zareagowałem śmiechem. Kurski zrozumiał, że moim celem było obrażenie go. Ich uraza mnie sparaliżowała. Nie mówiłem o nich i zakazałem mówić w domu. Wszystko, co wyszłoby z moich ust, mogłoby być bezwiednym odwetem.

- Bał się pan, że gdyby doszło do ich uszu, mogłoby być przez nich uważane za zemstę?

- Tak - odrzekł bezwiednie Jastrzębiec i zrozumiał, co powiedział. Chwycił się za głowę: - Boże, Boże.

- No, sam pan doszedł do istoty sprawy - rzekł „Kuna” z ulgą. -- Więc teraz bez przeszkód powie mi pan. na jakiej podstawie podejrzewał pan, czy ktoś panu o tym mówił, że Kurski może być powiązany z bandą zero-zero.

- Jest jedna poszlaka. Staszek Kurski, jego dwaj młodszy bracia i trzech pracowników Kurskiego znikają co pewien czas na dwa, trzy dni ze wsi.

- Kto panu o tym mówił?

- Moje służące, Janinka i Józefka. Brat Janinki jest na te dni wynajmowany do pomocy w gospodarstwie Kurskich.

- Czy z tymi służącymi można rozmawiać?

- Lepiej nie. Są bardzo bystre i podejrzliwe. Znają mnie, moją rodzinę, wieś na wylot.

Usłyszeli warkot silników. Widać stąd było między górami fragment drogi w stronę S. Kolumna bud i łazików niemieckich ukazała się i znikła.

- Teraz musimy dowiedzieć się, co zaszło u Kurskich.

- Pójdę tam - zdecydował Jastrzębiec. - I tak muszę. Tak mi wypada - i nie skręcając do domu wyszedł furtką wiodącą na pole, przy której stawał Stach Kurski, i ruszył miedzą w stronę wsi.

Gdy Jastrzębiec wrócił, miał włosy przyprószone popiołem jak w środę popielcową. Był przygarbiony, udręczony jak prawdziwy pokutnik.

- Mój Boże! Do tego nieszczęśnika Kurskiego przyjechał rano goniec na motocyklu. Prawdopodobnie stary do tej chwili nie wrócił. Może ocalał. Wszyscy w domu zabici. Niemcy tak się wściekli, że pozabijali psy, krowy, konie, ludzi - wszystko razem. Przedtem była cisza. Dom był otoczony, a oni kogoś przesłuchiwali albo czegoś szukali. Kto był w domu, wiadomo. Jest trup Kurskiej, najmłodszego syna, to pewne. Jedni twierdzą, że na czele ekipy stał Jaeschke, inni - że sam von Schummansky.

- Ile trwała cisza? - spytał „Kuna”.

- Jedni mówią, że dziesięć minut, inni, że kwadrans.

- Niech pan zwolni służące na dziś wieczór. Pewnie pójdą na wieś. Jeśli coś będą opowiadały, niech pan zapamięta.

- One mogą być bezkrytyczne.

- Tym lepiej - odrzekł „Kuna”, wsiadł na rower, odepchnął się i wykorzystując spadek podwórza wyjechał otwartą bramą i aż do mostku jechał nie pedałując.

Janinka i Józefka wróciły spłakane i przestraszone.

Żandarmi wezwali sołtysa Banię. Kazali mu przyjść z czterema ludźmi. Dowodzący żandarmami cywil rozkazał: - Zabitego bydła nie wolno jeść. Bydło i tych bydlaków polskich wrzucić do gnojówki. Grzebać ich nie wolno.

Sołtys Bania wszystko od ludzi wybłagiwał: by oddawali trochę kontyngentu, by chodzili na szarwark. Teraz też złożył ręce i błagał Niemców, by nie kazali im tego robić.

- Nie masz prawa do próśb. Naruszasz prawo niemieckie wtrącając się do mojej decyzji.

Sołtys Bania złapał się za głowę. Bał się, że na całe życie przyłgnie do niego, że umarłych grzebał w gnojówce. Niemiec machnął ręką, pozwolił oddzielić trupy ludzi, kazał wrzucić je na furmankę i zaraz pogrzebać na cmentarzu. Grabarz, sołtys i trzech pomocników brało udział w pogrzebie Kurskich. Sołtys ukląkł i przeżegnał się. Nie mieli wody święconej ani krzyża. Zaznaczyli trzema kamieniami miejsce.

- Uciekam - powiedziała Józefka.

- Gdzie uciekniesz, głupia? Nie ma uciezki. Wschód, Zachód, morze, nawet powietrze zamknięte. Jak klatka! - powiedziała pani Jastrzębcowa.

Potem Jastrzębcowie rozmawiali szeptem leżąc obok siebie w ogromnych łóżach z orzecha, z rzeźbionymi w wieńce i kupidyny wezłowiami. Od wojny sypialnię przenieśli na dół - w razie czego była szansa uciezki - a także dlatego, że coraz częściej na piętro przeciekało. Rozmawiali aż do momentu, gdy pojawiła się pierwsza oznaka, że świta: lustro wiszące naprzeciw okna pojaśniało. Przestali rozmawiać, ale Jastrzębiec nie usnął. Leżał nieruchomo, a żona towarzyszyła mu, udając, że śpi. Jastrzębiec nie lubił, gdy wiadziano o jego bezsenności. Gdy rozległo się pukanie, tak delikatne, że wydawało się złudzeniem, oboje jednocześnie

podnieśli głowy. Nie mogło być pomyłki, ktoś cicho pukał w szybę. Jastrzębiec wyjął spod materaca nagan, a potem go schował. Podszedł do okna tak, by go nie widziano z zewnątrz. Słyszał, że bandyci czasem tak delikatnie pukają.

- Kto tam? - spytał stłumionym głosem.

- Staszek! Staszek Kurski - rozległo się płaczliwe wołanie.
- Panie dzieźdźicu, chcę się schronić.

Jastrzębiec pomyślał: „Teraz wszystko się zadecyduje. Po tym, co go spotkało, nie mogę go nie wpuścić. Jeśli jest na czele bandy, i tak się wedrą i nikt nie przyjdzie mi z pomocą”. Otworzył okno i dał znak Kurskiemu. Podmurówka była wysoka i musiał wciągać Staszka. Chwycił go za ramiona. Tamtemu obsuwały się nogi po ścianie. Wszedłszy zatonął się i usiadł w fotelu, nie dostrzegając Jastrzębcowej w łóżku. Dopiero po chwili zerwał się, uklonił i powiedział:

- Gdzie to się znalazłem! W sypialni państwa Jastrzębców! Trzeba było, by wszystkich moich wyrznięto, bym tu mógł wejść.

- Opowiadaj! - rozkazał Jastrzębiec.

- W lesie ojciec zabity. Przecięty w pół serią. Matka spalona, siostry spalone. Dwaj młodszy bracia spaleni. Ocalał tylko stryjeczny, Rysiek, bo został na obiad w polu, pilnował koni.

- Znak losu - powiedział Jastrzębiec.

- Ale ja ocalałem, by pomścić ojca-rzekł Staszek. - Nie ma pan wódki?

- Nie wypada... - zaczął Jastrzębiec.

- Przepraszam. Ma pan rację. Nie wypada się upominać o poczęstunek.

- Nie wypada pić w nieszczęściu. To miałem namyśli. Jak ocalałeś?

- Ojciec wysłał mnie w swoich sprawach.

- Wiesz, co było przyczyną waszej tragedii?

- Jeszcze nie wiem, ale dojdę tego i pomszczę. Dlatego Bóg zostawił mnie. Nie mam innego celu w życiu.

- Nie rób tego na własną rękę. Wiesz przecież, że jest organizacja, która ściga takie zbrodnie.

- Panie Jastrzębiec, dziękuję panu, że mnie pan przyjął, ale nie panu do mojej zemsty. Pan idzie swoją drogą, ja swoją i Bóg da, żeby się nie skrzyżowały.

- Umieszczę cię na strychu. Nie uciekaj bez powodu, ale w razie potrzeby skacz przez okienko i na dach. Nikomu się nie pokazuj. Wszystko będę ci przynosił sam. Zaraz dostaniesz coś gorącego. Musimy wejść na górę, nim ktokolwiek się obudzi.

Gdy Jastrzębiec wrócił, Jastrzębcowa zapytała:

- Mój kochany, dlaczego on do nas przyszedł, a nie do kogoś ze wsi?

- Tam nie ufa nikomu. We wsi przyjęto wyniszczenie rodziny jako znak Boży. Boi się nie tego, żeby go wydali Niemcom, ale żeby nie dokończyli ich dzieła. Po tym, co robili Kurscy w czasie komasacji, Bezwody nie były już tymi Bezwodami co przedtem. Jak sięgam pamięcią, przedtem tu nie znano zła. Inna rzecz, że Staszek, jak wszyscy Kurscy, jest nadmiernie podejrzliwy. Mają dużo wyobraźni w jednej dziedzinie: co o nich myślą, mówią, co chcą im zrobić. Po komasacji nieraz żegnali się z życiem. Myślę, że od tamtych czasów w ich domu jest broń.

-A ty nie mogłeś zapobiec temu? Nie pamiętam już...

- Teoretycznie tak. Ale myślano by, że mam w tym korzyść. To zamąciłoby obraz. Kurski mógłby nawet zdobyć stronników. Ja nie miałem i nie mam nic do wsi. Tylko jeśli sami przyjdą i o coś proszą. Pamiętasz, mój ojciec mając osiemdziesiąt lat miał dobrą pamięć. Pamiętał to, co opowiadał mu jego ojciec, a mój dziadek, ze swej młodości, czyli razem to było sto pięćdziesiąt lat. Ojciec mówił, że błędem dawnych pokoleń było wtrącanie się do wsi, oświecanie wsi, pchanie się z tym z zewnątrz. Wieś, gdy się wzbogaci, oświeci się. Wzbogacenie Kurskiego uważałem za wstrząs, który nada przyszłości inny sens.

- Wydałeś się prawie oschły wobec Staszka.

- Nie ufam Kurskim tak samo, jak oni są nieufni.

Wszyscy w całym domu słyszeli kroki na strychu, przytłumione pierwszym piętrem, ale wyraźne. Ktoś chodził tam i

z powrotem, tam i z powrotem. Wiedzieli, że ktoś się ukrywa, ale nie wiedzieli, kto. Strych był zamknięty na klucz. Józefka, Janinka, Stefania i Łukasz chodzili po podwórku i patrzyli w dymnik. Nikt się nie ukazywał w wyciętym w półksiężyc okienku. Łukasz i Stefania przypuszczali, że wrócił ów tajemniczy mężczyzna, który przyjeżdżał na rowerze do ojca.

Jastrzębiec od zjawienia się Stacha bał się wizyty „Kuny”. „Kuna” przyszedł miedzą, od pół. Powiedzieć „Kunie”-to wydać Staszka jako bandytę. Nie powiedzieć - znaczyłoby po surowych napomnieniach „Kuny” zadarcie, a nawet zerwanie z organizacją, znalezienie się w izolacji i pustce. Poza tym Staszek był dla „Kuny” źródłem informacji o ojcu, Gelberze; Staszek, czuwający na strychu, musiał, widzieć „Kunę” prowadzącego rower miedzą. To przesądziło, że nie rozmawiali jak zawsze w rogu podwórza, tylko Jastrzębiec wciągnął go do gabinetu. Pokazał na sufit.

- Jest tu Staszek Kurski. Ukrywa się.

- O la, la! - zawołał „Kuna” ucieszony. - Zaraz będę z nim rozmawiać. W jakiej jest formie? Co mówi?

- O zemście.

-Na kim?

- Daje do zrozumienia, że jeszcze nie wie, i wydaje się szczerzy.

- Stratą ojca się nie przejął, ale stracił swoją bandę. Idę. Niech pan prowadzi.

Na strychu nie było nikogo. Pościel była złożona w kostkę, pewnie zaraz po wstaniu, po wojskowemu. „Kuna” zmartwił się i to zmartwienie okazał bardziej, niż Jastrzębiec by przypuścił.

- Po pierwsze, niedobrze dla organizacji. Okazuje się, że młody Kurski mnie zna i skoro ujrzawszy mnie uciekł, wie, co robię. Po drugie, źle dla pana, że mnie tu widział. Przekonywanie pana na nic się nie zdaje. Trzeba było natychmiast mnie zawiadomić. Spotkalibyśmy się w polu.

- Nie przyszedłby pan sam. Zabralibyście Kurskiego z mojego domu i zabili.

- Przedtem przesłuchalibyśmy go. Wysyłając mnie dziś na strych, dawał pan zbyt dużą szansę Kurskiemu. I tak wybrał pokojową drogę, zamiast próbować mnie zastrzelić. Teraz odtworzy bandę. W obecnych warunkach utrzymują się tylko bandy najkrwawsze. Tak bardzo terroryzują wsie, wieszają, torturują, że nie mamy do nich dostępu. Ofiary przestały przyznawać się, że były napadnięte, bo banda wraca i wyrzyna wszystkich.

- Pan usiłuje zmienić mój sposób myślenia, panie poruczniku.

- Mam z panem kłopoty, panie senatorze.

- Proszę nie nazywać mnie senatorem.

- Dobrze. Zależy mi na informacjach o Gelberze. Zmienił mi pogląd na Gelbera. Gelbera Jaeschke: Gelber może być jego niebezpiecznym informatorem. Wie dużo. Wobec łapownika ludzie nabierają pewności siebie i ufności, sądząc, że mają go w ręku.

Chłopi z Bezwodów przyszli do Jastrzębców po radę, co robić z polem Kurskich. Jastrzębca ciekawiło, czy wiedzą, że Staszek żyje i ukrywał się we dworze. Trzeba plewić tytoń, drugi raz redlic ziemniaki, a zaraz żniwa. Na polach dalej pracował samotny Rysio Kurski, mieszkał w budce do suszenia tytoniu, pod lasem, ale nie chciał o niczym decydować. Wreszcie sąsiedzi postanowili, że obrobiją i zbiorą z pól Kurskich, a przecież Staszek podzielił się z nimi tym, co zebrali.

Gdy żniwa były w pełni, zajechał galopem na swoje pole Staszek Kurski. Jego koń był istnym cudem, rasowy, młody, wypielegnowany. Osadził go i wymachując nahajką krzyczał:

- Taki pogrzeb urządziliście mojej matce, ojcu, braciom?! Złazić, bydlaki, z moich pól! - najeżdżał koniem.

Straszne były te pola jesienią. Zboża leżały zgniłe, szcerniałe, tytoń wycięto do korzeni, nie wiadomo kto, razem z chwastem. Gryka, seradela, wszystko zostało. W czasie wykopków omijano kartofliska Kurskich z daleka, by na nikogo nie padło podejrzenie. Jesień była sucha, gorąca,

wszyscy mówili, że to ostatnia jesień wojny, w pięknej pogodzie upatrywano znaku.

Pewnej nocy dzwony kościelne zbudziły wieś. Łuna, ani od domów, ani od lasu, oświetlała Bezwody. Płonęły wyschłe pola Kurskiego. Ogromny ogień, jak wtedy gdy ich palono, niósł się z lekkim wiatrem i unosił strzypami ku górze. Zajmowały się już płoty, sęki drzewa na podwórzach, dymią strzechy. Setki półnagich mężczyzn i kobiet w koszulach nocnych otoczyło ogień, waliło mokrymi szmatami i odpędzało go z powrotem na pola Kurskich.

Jedenastego listopada 1943 roku o północy Jastrzębcowie nie spali. Mieszkający we dworze nauczyciel-rezydent recytował wiersze polskich romantyków, fragmenty Cezara i Swetoniusza po łacinie, śpiewano pieśni powstańcze z 1863 roku i legionowe, a pani Jastrzębcowa akompaniowała. Józefka i Janinka siedziały na brzeżku kanapki obok siebie, jak bliźniaczki - a były rzeczywiście spokrewnione, bo w Bezwodach wszyscy byli kuzynami - i dodawały do patriotycznego chóru swoje ostre, wysokie falsety wyszkolone w kościelnym chórze:

Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne.
Śpiewa sobie, śpiewa ...

Przez ich śpiew zaczęła przebijać się inna nuta, było to uporczywe, ale niezbyt głośne początkowo pukanie w szybę okna, nisko, jak kiedyś dobijał się nieśmiało Staszek Kurski.

- Cisza! - krzyknął Jastrzębiec.

Wszyscy umilkli i pukanie dało się słyszeć znowu, dalej ciche, za to do wszystkich okien naraz. Z dała dochodziło walenie do drzwi. Jastrzębiec podszedł do lufcika, otworzył go, do środka buchnęła para i zimne powietrze.

- Kto tam jest? - zawołał w ciemność zdławionym głosem. Młody głos, hardy i napastliwy, zawołał:

- Otwierać! Bo podpalimy dwór!

Żona i dzieci rozbiegły się i po chwili wróciły z naganem, dubeltówką i granatem. Łukasz wsunął w rękę ojca nagan, odbezpieczył granat, był gotów cisnąć go przez lufcik. Matka ze strzelbą czekała na rozkaz, by wejść na strych. Jastrzębiec namyślał się, właściwie udawał namysł przed samym sobą, bo decyzję podjął już od pierwszej chwili.

Odszedł od okna. Podniósł pudło fortepianu, wrzucił nagan, kazał włożyć dubeltówkę i granat. Powiedział do Józefki:

- Otwieraj!

Józefka popędziła do sieni, bo napastnicy rąbali siekierami drzwi. Odsunęła sztabę, zasuwę, w ciemności widać było wiele głów. Grupa szturmująca drzwi odsunęła się, by przepuścić dziewiętnastoletniego najwyżej chłopaka w kurtce mundurowej żandarmerii niemieckiej, z biało-czerwonymi chorągiewkami na kołnierzu i dystynkcjami kapitana na naramiennikach. Spod furazerki widać było wysoko podgoloną głowę. Miał zadarty nos, wydatne kości policzkowe. Trzymał na wysokości oczu pistolet P-38 z długim magazynkiem. Wszedłszy do saloniku wodził lufą po wszystkich, celując po kolei w każdą z osób tam zebranych, jakby wybierał, kogo pierwszego zastrzelić. Najbardziej nie podobała mu się mina Łukasza. Dwa razy nakierował na niego lufę, ale zmienił zamiar, opuścił pistolet, który zwił na plecionym sznurze. Za nim weszło ze dwudziestu ludzi, ci, co stanęli w pierwszym szeregu, mieli uniesione karabiny i pistolety maszynowe, gotowe do strzału, palce na cynglach.

Dowódca kazał stanąć rzędem obok siebie Jastrzębcowi, Jastrzębcowej, Łukaszowi, Stefanii, Janince i Józefce, na końcu umieszczając profesora.

- W tej kolejności będziecie likwidowani - zaczął. - Nie! - przerwał i kazał Jastrzębcowej stanąć na pierwszym miejscu, na drugim Stefanii, potem szedł Łukasz, Jastrzębiec i reszta.

Zwrócił się do Jastrzębca:

- Jeśli będziesz milczał, będzie się kolejno wykańczać twoją rodzinę. Będziesz miał czas się namyślić, czy mówić, mm dojdzie do ciebie.

Z szeregów bandy wysunął się wysoki, chudy mężczyzna w długich butach i bryczesach, o włosach układających się czy ułożonych żelazkiem w loki, cywilnej marynarce, przepasanej niemieckim pasem wojskowym; orzeł na klamrze był sklepany. W rękę miał sznur z pętlą, wziął krzesło, stanął na nim, przywiązał pętlę do haka, na którym wisiał świecznik. Zszedł z krzesła, kazał wejść Jastrzębcowej i założyć sobie pętlę na szyję.

- Nie będę przykładając ręki do tego, co chcecie zrobić - powiedziała Jastrzębcowa.

Mężczyzna z lokami wziął drugie krzesło, stanął na nim, założył Jastrzębcowej pętlę na szyję i lekko zaciągnął. Janinka zasłoniła oczy rękami. W tym momencie z tylnego rzędu napastników człowiek z rewolwerem o długiej lufie ruszył w kierunku Janinki.

- Mnie się przyglądasz?... A sobie zasłaniasz pysk, spryciaro? - oderwał jej ręce od twarzy. - Skąd cię znam? - odwrócił głowę ku dowódcy. - Ona zachowuje się podejrzanie.

Dowódca skinął głową. Mężczyzna zbliżył rewolwer do twarzy Janinki:

- Otwieraj usta!

Gdy nie chciała, uderzył ją kolbą w zęby. Krew trysnęła aż na marynarkę. Rozzłościł się:

- Uświłaś mnie!

Wepchnął jej lufę rewolweru między wybite zęby i spytał:

- Znasz mnie?

Janinka miała oczy wytrzeszczone, patrzyła nieprzytomnie, jak zahipnotyzowana, na jego włosy. Rozległ się strzał, Janinka poleciała w tył. Jej twarz spęczniała. Z ust, uszu, oczu płynęła krew jak łzy, po których nie ma pocieszenia.

Rozległ się głos Stefanii:

- Macie nas wymordować, to zaczynajcie od razu.

- Drażnisz mnie - powiedział dowódca i uderzył ją pięścią w twarz.

Stefania nie okazała bólu. Patrzyła nieustraszenie w oczy dowódcy.

Jastrzębcowa krzyknęła z góry:

- Tchórze, jej nie bij!

W jej okrzyku, gdy miała pętlę na szyi, było coś śmiesznego, ale stojąc na krześle, gotowa na śmierć, górowała nad wszystkimi.

- Mamusiu kochana - Stefania przypadła do jej nóg i objęła ją.

Dowódca pokazał jej pistoletem, że ma odejść, i zwrócił się do Jastrzębca:

-Co wiesz o wydania rodziny Kurskich w ręce Niemców?

Jastrzębiec nie mógł się opanować, z oczu wзираła mu rozpacz.

- Nie chcesz, to nie mów, ale ze względu na dzieci... - dowódca przerwał.

- Będę mówił - odezwał się Jastrzębiec. - Kurski prowadził rozległe interesy, skupował dolary. Miał kontakty z Niemcem Gelberem...

- Tego nie mów! - krzyknęła Jastrzębcowa.

- .. .Gelber, prawdopodobnie na zlecenie gestapo, wypytywał go, gdzie kupuje dolary. Gestapo doszło do wniosku, że Kurski ostrzegł tę osobę. Gdy gestapo się tam zjawilo, już tej osoby nie było.

Dowódca nie umiał ukryć, że jest zaskoczony tą odpowiedzią.

- Skąd to wiesz?

Jastrzębiec milczał. Jastrzębcowa krzyknęła:

- Powiedz! Nikogo nie zdekonspirujesz.

- Wiem od człowieka, który przedstawił się jako „Kuna” - wyszeptał Jastrzębiec.

- To nie jest jego nazwisko?

- Nie wiem.

- To szycha z konspiracji?

- Nie mówił o sobie.

- Kręcisz. Trzeba was wszystkich rozwalić. Przedtem musicie zdjąć z siebie złoto, bo później jest kłopot.

Z tylnego szeregu podano mu worek z zamkiem, jakich poczta używa do wyjmowania listów ze skrzynek. Podsunął go Jastrzębcowej. Zdjęła obrączkę, zerkając na męża, jakby to były drugie, przedśmiertne zaślubiny, rzuciła do worka pierścionek, który nosiła jeszcze jej babka. Kazał jej odsunąć rękawy aż do przedramienia. Zegarka nie miała. Przyszła kolej na Stefanię. Miała tylko złoty łańcuszek na szyi, odpinała go, dowódca szarpnął i rozerwał. Jastrzębiec miał sygnet. Dowódca kazał go sobie podać. Przyglądał się rysunkowi wyrytemu na krwawniku, trzymając pierścień daleko od siebie w dwu palcach. Wydawało się, że ma chęć włożyć go na swój palec, ale wołał tego nie robić przy swoich ludziach. Wręczył pierścień skarbnikowi, który cisnął go do worka. Profesor miał złoty zegarek kieszonkowy. Wrzucił go do torby.

Kazali się zaprowadzić Jastrzębcowi do miejsca, gdzie trzyma kosztowności i pieniądze. Czuć było zapach krwi Janinki.

Jastrzębcowa powiedziała do córki:

- Podtrzymaj mnie, chyba mdleję.

Stefania wyszła z szeregu i objęła ją w pól. Matka oparła rękę na jej głowie i nieznacznie pogładziła. Córka przeraziła się, że to pożegnanie.

W sypialni dowódca przyjrzał się sznurkowi starych pereł z dezaprobatą. Ucieszył go rozsypany wielki sznur sztucznych, zalegający dno szkatułki.

Dowódca powiedział cicho do Jastrzębca:

- Ten „Kuna”, gdzie on mieszka?

- Nie wiem.

- Może pan nas z nim skontaktować?

- Jeśli przyjdzie, przekażę mu pana słowa.

- Daję panu tydzień czasu. Nasz komendant wstrzymał rozkaz rozstrzelania was. Chce znać wynik śledztwa. Dlatego przeżyjecie tydzień. Nie wolno wam oddalać się z majątku, bo będzie spalony.

- „Kuna” dowie się, że zabiliście tę dziewczynę.

- Twoja żona ma stryczek na szyi, a ty ośmielasz się grozić? Ostrzeż „Kunę”, by miał się na baczości. Może pozwolimy mu na podporządkowanie się nam-powiedział dowódca, jakby trochę zmieszany.

Wrócił do saloniku.

- Odmarsz! - krzyknął.

Wychodzili, jeden z nich cofał się, mierząc w Jastrzębców z pistoletu maszynowego. Wtedy Łukasz zdobył się na głupi i niebezpieczny odruch: rzucił się do fortepianu, chcąc wyjąć broń. Stefania i Józefka chwyciły go za ręce. Osłaniający grupę patrzył z niepokojem na tę scenę, nie rozumiejąc jej sensu. Potknąwszy się o próg, wyszedł. Józefka rzuciła się z płaczem do Janinki. Dzieci pomogły uwolnić matce szyję z pętli i zejść z krzesła. Jastrzębiec spytał bezsensownie:

- To nie nasz sznur?

- Przynieśli go ze sobą - odrzekła Józefka nad zwłokami Janinki.

- Zdejmij! - nakazał jej Jastrzębiec. - Przyda się na nich.

Kazał jej podać prześcieradło, nakryli Janinkę, po czym

Jastrzębiec przyniósł na tacy karafkę z wódką i kieliszki. Przypomniawszy sobie, jak upominał Staszka Kurskiego, że nie pije się w nieszczęściu. Kieliszki miały więcej niż po sto gramów, były zrobione według dawnych miar. Nalał je do pełna. Józefka wypila, odchylając gwałtownie głowę w tył, resztę wylał za dywan. Jastrzębiec spojrzawszy na syna i zaskoczyło go, że Łukasz jednym haustem, wprawnie wychylił wódkę. Przypomniało mu się, że słyszał, iż do budki tytoniowej Kurskiego przychodzili też młodzi chłopcy, prawie dzieci, niby to w odwiedzinach do najmłodszego Kurskiego, ale potem za gościnę płacili. Stary Kurski podobno uczestniczył w tych libacjach i pił na koszt klientów „jako gość u samego siebie”, i podpytywał młodzież o sprawy rodziców. Potem wykorzystywał ich gadulstwo w interesach. Myśl, że Łukasz mógł wydać się z czymś do Kurskiego, była następnym ciosem. Kiedy Łukasz pił?... za co?... Może za srebrne monety, które zbierał jako dziecko do skarbonki?

Zaczęło świtać. Jastrzębcowa usiadła do fortepianu, zagrała jakiś smutny pasaż. Jastrzębiec nalał wszystkim jeszcze po pół kieliszka. Pochylił się nad Janinką, odchylił prześcieradło i spojrzał na jej twarz.

- Kogo mogła rozpoznać Janinka? - zwrócił się do Józefki.

Ta wzdrygnęła się. Powiedziała:

- Nie wiem, proszę pana. Jak kocham mamę, nie wiem.

Jastrzębiec pomyślał: „Nie ufa mi, bo przekonała się, że pod wpływem groźby wygadałbym wszystko, co wiem”.

Powiedział głośno:

- No, moi drodzy, dzisiejsza noc była tylko o sześć minut krótsza niż najdłuższa noc w roku. Skończył się jeden rozdział w naszym życiu, zaczął drugi.

- Po co tak uroczyście? - skarciła go Jastrzębcowa.

- Moja żono, moja Stefanko - tak mówił do córki - i ty, Łukaszku, pakujcie się. Ładuję fury i odstawiam was do S., wynajmę wam mieszkanie, postaram się o ochronę majątku i wrócę bronić starych śmieci. Co kilka dni będę was odwiedzać. Józefka pojedzie z wami.

- Nie, panie! - zawołała Józefka i przychyliła się do jego nóg. - Ja odchodzę od państwa.

- Rozumiem - powiedział Jastrzębiec, nie patrząc na nią.

- Nie, panie, pan nie wie. Jadę do Niemiec na roboty. Tam może przeżyję. Tu boję się.

- Józefko! Józefka oszalała!

- Nikt nie może mi zabronić - powiedziała.

„Kuna” przysłał trzech spalonych ludzi do ochrony majątku, a tym, komu Jastrzębiec kazał zastępować siebie i dawać baczenie na wszystko, był nauczyciel z Warszawy, który niby był rezydentem, ale naprawdę chyba ukrywał się, nie mówiąc im tego; mało o nim wiedzieli.

Gdy pakowali się, chodził po pokojach, aż wreszcie się odezwał:

- Nie trzeba nic gromadzić. Im więcej się ma, tym bardziej to opóźnia ucieczkę. W Piśmie św. ewangelista Mateusz ostrzega: „Kto na dachu, niechaj nie zstępuje, aby co wziął z domu swego. A kto na roli, niech się nie wraca brać

sukni swojej”.

Gdy mała karawana składająca się z bryki z postawioną budą, w której jechała rodzina Jastrzębców, dwóch wozów z rzeczami i meblami zatrzymała się na rynku w S., Jastrzębiec pobiegł do swojego przyjaciela, dyrektora banku, który na rozkaz organizacji zachował swoje stanowisko, poprosił, by znalazł mu dwupokojowe mieszkanie w S. i do tego czasu zajął się jego rodziną, sam zaś pobiegł na kontakt. Był nim szef kwatermistrzostwa inspektoratu. Jastrzębiec, nie zaprzysiężony, ponieważ nie chciał należeć do żadnej organizacji, dostarczał żywność i udzielał rad w sprawie melin oraz dyslokacji oddziałów na zimę. Gdy kwatermistrz usłyszał, że Jastrzębiec musi się natychmiast widzieć z „Kuną”, powiedział, że nie będzie to możliwe wcześniej niż przed godziną policyjną, o ile „Kuna” jest w mieście.

Miasteczko było przeludnione. Wysiedleńcy z Poznańskiego, uciekinierzy z Warszawy i zza Bugu, niemieckie kwatery i obywatelstwo usuwane z majątków przez niemieckich zarządców zapełnili w S. nawet strychy. Po całodziennych poszukiwaniach dyrektor banku znalazł tylko pokój z kuchnią na poddaszu starej willi na krańcu S., koło tak zwanych Szlakowych Gór.

Jastrzębiec kazał woźnicom pownosić rzeczy i zawrócił do kwatermistrzostwa. „Kuna” czekał od godziny w punkcie kontaktowym na sąsiedniej ulicy. Jastrzębiec znał to mieszkanie sprzed wojny. Mieszkał tam jego znajomy, który znikł w 1940 roku i mówiono, że jest w Anglii. „Kuna” przechadzał się po pustych pokojach. Stał tu tylko tapczan, w oknie żardinierka z kwiatami, które ktoś widać podlewał, bo były pewnie potrzebne do sygnalizowania, i półeczka, na której leżał pierwszy tom „Ogniem i mieczem”.

- Panie „Kuna” - zaczął Jastrzębiec. Zabrakło mu tchu. Nie mógł tego powiedzieć. - Wysypałem nierozpoznanej grupie, która napadła nasz dom ubiegłej nocy, pana pseudonim i to, co mi pan mówił o związku Kurskiego z Gelberem.

-Tylko to pan powiedział?

-Tylko.

- Na pewno?

„Kuna” zawahał się. Otworzył „Ogniem i mieczem”. Może był to klucz do szyfru. Szukał czegoś, aż znalazł. Były to słowa: „Jezu Chryste!”

-Nie ma tu Ewangelii, ale w tej książce napisane jest imię Chrystusa. Niech pan przysięgnie.

Jastrzębiec położył palec na dziesiątej stronie książki i powiedział:

- Przysięgam na imię Boga.

- W porządku. Wobec tego nic się nie stało. Proszę o szczegóły.

- Zabili naszą służącą, gdy jeden z bandytów zaczął podejrzewać, że go rozpoznała. Żonie kazali wejść na krzesło i założyli jej stryczek na szyję. Wtedy to powiedziałem. Zauważyłem, że dowódca okazał zdziwienie, że Kurski był powiązany z Gelberem. Dowódca tej grupy mówił też o jakimś komendancie, który chce się z panem skontaktować. Ale czy to jest fikcyjna postać, nie wiem. Powiedziałem, że przekażę panu jego słowa, jak pan przyjdzie do mnie.

- To było niepotrzebne, że do pana przyjdę. Po co ma znać rzeczywisty sposób naszych kontaktów. To niedobrze dla pana. Ale za późno biadać. Wiem, komu pan to wyśpiewał. Po sposobie działania: sznur, pętla, krzesło, jestem pewien, że to banda „Rosy”. Badaliśmy, czy „Rosa” ma powiązania z NSZ, BCh, PAL, a nawet komunistami. Pytaliśmy przez nasz kontakt pułkownika „Siewierina” z sowieckiej rozwiatki. Odpowiedział, że „Rosa” jest mu nie znany. Możliwe, że to jakiś odprysk, który przeszedł Wisłę z Lubelszczyzny czy nawet Wołynia.

- Mam pewną myśl, może się ośmieszę, ale intuicja podaje mi, że „Rosa” to Staszek Kurski.

- Rozważaliśmy tę możliwość. Jest to o tyle prawdopodobne, że między wybicciem pierwszej bandy Kurskiego w jego zagrodzie a pojawieniem się „Rosy” minęło mniej więcej tyle czasu, by zmontować drugą bandę. Pojawienie się Kurskiego na pięknym koniu na swoim polu potwierdzałoby to

przypuszczenie. Grupa Kurskiego napadała na bogatych chłopów, młyny, bimbrownie, na plebanie, dwory, punkty skupu buraków cukrowych, tajne plantacje tytoniu. Nie było akcji przeciw Niemcom, wybiera na ofiary kogo innego. Banda „Rosy” mierzy wyżej, ale to może wskazywać na ewolucję Kurskiego. Także na ogólne zmiany. Przybrali styl Janosika.

-Janosik dawał biednym.

- Fikcja historyczna. Radość, że rujnował bogaczy, biedakom wystarczyła. Nie przyszło im do głowy oczekiwać więcej.

- Dowódca grupy, która u nas operowała, wygląda na syna wiejskiej rodziny inteligentkiej, na przykład nauczyciela czy syna rządcy. Musiał bywać we dworach, nim stał się bandytą. Wyraża się nienaganną polszczyzną. Młody, dziewiętnaście, dwadzieścia jeden lat. Kiedy brał sygnet, odnosiłem wrażenie, że wiedział, co bierze. Na swój sposób dobrze prowadził akcję i śledztwo. Nie można było wyczuć, czy jest skrepowany rozkazem „Rosy”, by nas nie zabijać, czy przeciwnie, udaje surowość wobec nas, by nie budzić podejrzeń bandy.

- A czy nie chodzi tu tylko o chłopięcy wygląd? Inne rysopisy prawdopodobnie tego samego osobnika tak go określają. Dodawano do tego: może to być dawny kadet, ktoś z przedwojennej szkoły podoficerskiej lub żandarm. Gdyby na czele bandy stał Stach Kurski, to kazałby państwa oszczędzać czy przeciwnie, wymordować za odrzucenie jego propozycji matrymonialnej?

- Nie wiem. Ukrywaliśmy go. Odpląciłby się wymordowaniem nas?

- A druga służąca?

- Szaleje ze strachu.

- Jeśli ta Janinka poznała bandytę, to i ona go poznała.

- Chce uciekać.

- Gdzie?

- Do Niemiec. Na roboty. Uważa, że w ten sposób ujdzie z życiem. Sądzę, że jej rozumowanie jest następujące: ban-

dyta sobie przypomni, że tam gdzie widział Janinkę, widział także ją, i wróci ją zabić.

Nazajutrz o świcie dwie dziewczyny z Dywersji Bojowej i trzech żołnierze z obstawy poszli pod punkt werbunkowy do Niemiec. Wzięli broszury „Świt nad Bawarią”, wydane przez Arbeitsamt w Krakowie, czytali, czekali. Gdy zjawiała się Józefka, zabrali ją trochę siłą, trochę żartując i wyprowadzili w boczną uliczkę. Tam w wilgotny i zimny dzień listopadowy, w jakimś ogródku przesłuchał ją „Kuna”. Siedzieli na ławeczce. Buchała im z ust para.

- Uciekniesz, ale nie do Niemiec. Nim zdążysz wyjechać, rąbną cię, bo wiedzą, że byłaś z Janinką, tam gdzie był ten typ. Albo zabiją cię w Częstochowie, na punkcie zbornym. Zostałabyś niebezpiecznym świadkiem po wojnie. Nie mogłabyś nigdy wrócić. Musisz nam pomóc.

Józefka powiedziała:

-Tak, ale do końca wojny przechowacie mnie?

„Kuna” skinął głową.

- Byłyśmy tam na weselu w lecie 1939. Ten chłopak jej się spodobał, mnie nie. Byłyśmy prawie dziećmi, dziewczynkami. To nasza pierwsza podróż. Był tam na wpół zrujnowany zamek. Jego zarządcą był ktoś, czyj syn był w szkole policyjnej. Mógł to być ten młody chłopak z zadartym nosem.

„Kuna” sam pojechał do tej miejscowości, leżącej blisko Wisły. W wyniku penetracji Oddział Dywersji Bojowej został zmobilizowany i przesunięty do powiatu, gdzie na mocy rozkazu okręgu przywitała ich grupa uderzeniowa kapitana „Jawora” i połączywszy się z nimi, otoczyła zamek. Po błyskawicznej likwidacji straży banda „Rosy”, rozłokowana w piwnicach, została wybita wiązkami granatów.

Gdy na posiedzeniu dowództwa inspektoratu układano meldunek, inspektor słowo „zlikwidowano”, jako wzięte ze słownictwa niemieckiego, zastąpił słowem „rozbito”. „Kuna”, który cierpiał nad akcjami na Polaków jako „zmarnowaną amunicją”, oderwał się:

- Panie inspektorze, szkoda czasu na kłótnie o słowa. Te protokoły będziemy palić w pośpiechu na koniec wojny.

Jego złowróżbne zdanie wprowadziło wszystkich w przynębie.

Gdy Jastrzębcowa z dziećmi znalazła się na poddaszu, w jednym pokoju, sama z dziećmi, zaczęła tęsknić za Bezwodami w sposób nagły i gwałtowny. Wspominała to, co przeżywali wspólnie. Doszła do wniosku, że już można powiedzieć im to, co postanowili z Jastrzębcem zataić.

- Miałaś nigdy nie dowiedzieć się - mówiła do córki - że Staszek Kurski kochał się w tobie: na swój, jemu dostępny sposób.

Stefania rozplakała się. Poczła upokorzenie większe, niż gdy bandyta uderzył ją w twarz. Jakże była głupia, do obrzydliwości, ufnie rozmawiając z Kurskim, starając się być dla niego jak najmilsza, by nie czuł przepaści między nimi. Tymczasem to ona była na jej dnie. Szczególnie jeden moment był ohydny. Tańczyła sama, czasem z Janinką czy Józefką na murawie Staszek przyglądał się. Kazała mu przyjść, porwała go, tańczyli ze sobą, uczyła go kroków tanga.

Gdy Jastrzębiec przyjechał z Bezwodów w odwiedzinach przeczytał im w Biuletynie Informacyjnym wiadomość o likwidacji bandy „Rosy”, Łukasz wykrzyknął do Stefanii:

-Twój narzeczony poległ!

Jastrzębcowa przestraszyła się. Prosiła, by dzieci nie okazały ojcu, że wiedzą od matki to, co kazał trzymać w tajemnicy, a Łukasz ją zdradził. Zaniepokoiło ją, że Jastrzębiec niczego nie zauważył. „Kuna” radził, by sprzedał ziemię, nawet na kredyt, zostawiając sobie mniej niż pięćdziesiąt hektarów, podsuwał nawet nazwiska nabywców. Gdy to nie pomogło, prosił Jastrzębcę, by rozlokował u zaufanych ludzi inwentarz, maszyny, meble. Dane o reformie dochodziły z Bugu, z wywiadu organizacji. Potwierdził je „Siewierin” z rozwiązki sowieckiej. Jastrzębiec koniec 1944 roku spędził w S. osowiach i zobojeźniach. Siedział w kuchni, nie chciał jechać do Bezwodów, jakby obraził się. Nauczył się palić

papierosy, siedział w kuchence i palił „Junaki”. Z okna kuchni widać było Szlakowe Góry, dziwną miniaturę Tatr, wyrastającą w środku miasteczka.

Wkroczenie wojsk rosyjskich zastało ich siedzących na poddaszu mimo strzelaniny artyleryjskiej. Śledzili smugi rakiet nie znanej im broni.

Komisarzem w Bezwodach został mianowany Jan Kos, robotnik warsztatów w S., zwanych hutą, mimo że wielki piec został wygaszony przed pół wiekiem z powodu wyczerpania się rudy w okolicy. Był to człowiek, który przeżył okupację niemiecką w pokoiku opalonym piecykiem z rurą, nie dojadając. Z paru pobytów na wsi przed wojną i w czasie wojny, gdy chciał kupić trochę żywności, zachował złe wspomnienia. W domu takim jak dwór w Bezwodach był pierwszy raz w życiu. Ogarnęło go oburzenie, gniew, silniejszy od niechęci, jaką żywił do chłopów. Chodził po pokojach i wygrażał meblom. Gdy zobaczył, że sypialnia jest pusta, wpadł we wściekłość i chciał wzywać Urząd Bezpieczeństwa, ale dworscy - jak ich tu nazywano - powiedzieli, że Jastrzębcowie uciekli rok temu przed bandytami i zabrali te meble ze sobą. Pierwszej nocy położył się w łożu zniesionym ze strychu, ale w miękkiej pościeli miał wrażenie, że się zapada w przepaść. Śmiali się z niego żołnierze z wydziału politycznego, którzy przyjeżdżali go nadzorować, więc kazał rozłożyć sobie wojskowe łóżko polowe w pokoju gościnnym. Przyjmował ludzi ze wsi, do wsi nie wychodził, narzekając na ślizgawicę i śnieg, a w czasie odwilży na błoto. Uważał, że ziemię należy podzielić między służbę dworską i ludzi najmowanych przez Jastrzębców, by dokonać aktu sprawiedliwości nad obszarnikami. Rozdał im krowy, konie, uprząż. Nie mieli ich gdzie trzymać, stały więc dalej w pańskich stajniach i oborach. Po kilku tygodniach konie zaczęły chudnąć, bo nowi właściciele nie przykładali się do ich karmienia. Żołnierze z wydziału politycznego przywieźli inne instrukcje - należy pozyskać chłopów biednych i średniorolnych. Jan Kos pod wpływem rozgoryczenia upił

się. Dostarczono mu bimbrow, uważano, że komisarza trzeba mieć za sobą. Przypomniano sobie, jak Kurski zjednął tak geometrę.

Jastrzębcowie zgodnie z dekretem mieli prawo do wywiezienia urządzeń dwu pokoi. Jastrzębiec nie mógł przewyciężyć się, by po to pojechać. Powiedział do Łukasza:

- Masz piętnaście lat, jesteś mężczyzną. Jedź, pożycz nasze konie i wozy i przywieź meble.

Łukasz przeszedł przez lasy. Zjawienie się Łukasza rozdrażniło Kosa. Po pierwsze, obiecywał sobie od dawna i układał w myśli, co powie jaśnie panu. Tymczasem on wzgardził robotnikiem. Po drugie, wysłanie, dziecka wziął za oznakę lekceważenia i potwierdzenie, że plemię panów jest od małości chciwe i drapieżne jak wilki. Łukasz skłonił się z daleka.

- Miło mi pana poznać - odezwał się tonem, który Kos wziął za wzgardę. Łukasz nauczony był okazywać uprzejmość starszym.

- Nic miłego z tego nie wyniknie - odparł szorstko Kos.

- Meble wzięliście uciekając z majątku. Nic wam się nie należy.

- To było rok przed wydaniem dekretu o reformie - powiedział spokojnie i uprzejmie Łukasz. - Konfiskacie zaś podlega to, co jest obecnie w majątku. Także wolno nam wypożyczyć środek transportowy.

Na wiadomość, że panicz Łukasz jest w majątku, ludzie biegli z dołu, z Bezwodów.

- Konie są rozdane między ludzi. Jak wam pożyczą, ich sprawa, ale pojedą z pustym wozem. Są tu ludzie, którzy szafy nie znają i śpią na barłogu zbitym z desek. Między nich rozdadam meble.

Łukasz nie chciał wrócić nie wykonawszy pierwszego, złeczonego przez ojca, samodzielnego zadania. Stały mu lzy w oczach. Kos ucieszył się z tego, ludzie, którzy zebrali się na podwórku, spostrzegli to.

Chłop nazwiskiem Biedrzycki, noszący przezwisko Lisek,

podszedł do komisarza i powiedział:

- Należy się, to się należy. Oni wzięli na jeden pokój, teraz wezmą na drugi.

Lisek-Biedrzycki zniechęcił Kosa od chwili, gdy naśladując Kurskiego zjawiał się z bimbrem u Kosa, zaczął badać możliwości dogadania się z nim i przejęcia, ile się da, majątku. Pił z Kosem kilka wieczorów, aż Kos przyznał się, że nic dla niego nie może zrobić, bo naprawdę nic tu nie znaczy. Kiedy rozdał inwentarz, omal go nie aresztowano.

Komisarz Kos speszył się. Pamiętał, że dużo wygadał temu wstrętnemu chłopu. Machnął ręką.

- Jeden wóz i ile jeden koń pociągnie, bo konie potrzebne są do siewów - zdecydował. - Koń i wóz mają być dziś wieczór zwrócone.

Chłopi rzucili się wynosić rzeczy i wybrali inne, niż nakażał stary Jastrzębiec: wielki kredens, lustro do ziemi, kanapę. Nic mogli odzależać, że nie da się upchnąć fortepianu. Jeden z nich, Bągrowski, muzyk wiejski, wszedł do salonu i zaczął grać „Zielony mosteczek ugina się” na pożegnanie paniczowi.

Gdy Łukasz przejechał mostek i znalazł się w wąwozie, koń stanął - Łukasz musiał biec z powrotem do dworu i przyprowadzić chłopów. Stękając z wysiłku wyładowali dębowy kredens i porzucili go na polu. Niejaki Jurga, który najwięcej nadźwigał się, szepnął do Łukasza:

- Chciałbym mieć po państwu święty obraz. Ten w złotej ramie.

Łukasz pomyślał, że i tak by go nie miał, gdyby go nie załadowano, i wiedziony impulsem, darował mu siedemnastowieczną kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. „Z Bogiem, z Bogiem!”- krzyczał za nim Jurga.

Oglądając się Łukasz zobaczył dwór za drzewami, kredens w polu i Jurgę tulącego obraz w ramionach. Tego dnia, nocą, zjawiał się drugi raz na górze, naprzeciw dworu, odstawiając konia z wozem. Nie chciał nikogo widzieć. Ale nowi lokatorzy dworu kładli się spać wcześniej i był ciemny, tak

jak i wieś. Znał tego konia. Klepnął go w zad i koń sam ruszył w dół, posłuszny i obojętny.

Odwiedził ich „Kuna”.

- Panie Jastrzębiec, co było, nie wróci. Niech pan ratuje, co się da.

Niepokoił go los Jastrzębców, czuł się wobec nich winny. Radził im, by wyjechali.

- Gdybym wyjechał, byłoby to przyznanie się, że czegoś się boję. Ale ja niczego, jednego słowa, nawet gestu czy myśli nie mam do ukrycia przed nikim.

- Panie Jastrzębiec, tym gorzej. Będzie pan zaskoczony zarzutami, które mogą panu postawić. Poza tym dekret o reformie przewiduje, że nikt z właścicieli ziemskich nie może zostać na terenie swojego powiatu.

- Niech mnie sami wysiedlą.

- Czasem mi się wydaje, że pan, panie Jastrzębiec, czuje ulgę, że zabrali panu majątek.

Jastrzębiec nie odpowiedział.

- Skoro pan zostaje, niech pan wszystko zwała na mnie, cokolwiek panu zarzucą - powiedział „Kuna” odchodząc.

Nie więcej niż dziesięć dni potem niespodziewaną wizytę złożył Jastrzębcom Ryszard Kurski, w mundurze kapitana.

Przyjechał willysem z kierowcą, który wniósł na górę wielką puszkę wołowiny amerykańskiej, po czym zszedł na dół, by czekać w samochodzie.

- Odziedziczyłem majątek po stryju Kurskim, bo tam nikt nie przeżył - powiedział, gdy ustały kroki szofera na schodach.

- Boże, wyjaśnij nam, jakimi drogami działasz - wzruszyła się Jastrzębcowa.

Złożyła ręce i poruszyła wargami, jakby się modliła. Łatwo się teraz wzruszała.

- Rysiu, to jesteś dziesięć razy bogatszy niż wtedy, gdy stryj pozbawił cię ziemi.

- To dla mnie zmartwienie i kłopot. Nie chcę tej ziemi, nie chcę być posiadaczem nieruchomości. Chcę zostać w wojsku. To byłoby źle rozumiane. Ja odczytuję to inaczej

niż pani Jastrzębcowa: jako nowy figiel stryja. Najpierw wyzuł matkę i mnie, a teraz obdarza mnie majątkiem, gdy może mi to zaszkodzić.

- To co zrobisz?

- Już przekazałem komisarzowi jako dar. On rozparceluje tę ziemię. Myślałem, by darować panu Jastrzębcowi - skłonił się lekko - ale to byłoby niebezpieczne.

- Bóg zapłać za intencję - rzekł Jastrzębiec. - Panie Rysiu, cieszymy się z pana wizyty, ale czy w pana sytuacji to panu nie zaszkodzi? Ten szofer to widzi, ktoś może zanotować numer samochodu.

- Nie. Wiem, co robię.

- Co naprawdę stało się ze Staszkiem?

- Rozwalili go na strzępki granatami. W tej sprawie przyszedłem. Gdyby państwo mieli przykrości, proszę powołać się na mnie. Zznam, że państwo Staszka ukrywali. Gdyby państwo chcieli mu w jakikolwiek sposób szkodzić, nie byłoby lepszej okazji.

- A co my za przykrości możemy mieć? - spytała Jastrzębcowa.

- Tam zabito trochę ludzi. Ich rodziny za każdą cenę będą chciały zatrzeć prawdę rzucającą na nich cień. Zbierają oświadczenia, że „Rosa” był niezależnym oddziałem, który walczył o niepodległość Polski, i na skutek zemsty oddział został wybity. Zwracali się także do mnie. Odpowiedziałem im, że oświadczenie mogę złożyć tylko na ręce mojego dowódcy i na jego rozkaz.

- Mój Jezu, co dalej?

Ryszard Kurski milczał. Siedział szczupły, w mundurze berlingowskim, który miał więcej guzików i nieco inny krój kołnierza niż regulaminowy mundur polskiej piechoty w 1939 roku, przepasany koalicijką, z baretkami orderów polskich i rosyjskich, z gładko zaczesanymi w tył głowy włosami. Po chwili odezwał się:

- Nie wiem, czy państwu jest wiadome, że gdy był napad na państwa, Stach stał na mostku, dowodził, ale sam nie śmiał wejść. Nie miał odwagi na pełną zemstę nad pań-

stwem. Wydał rozkaz, by państwo byli pewni, że idą na śmierć, i by tak państwa trzymać godzinę.

- Zemsta? Za co?! - wykrzyknęła Jastrzębcowa.

- Państwo ubliżyli mu i jego ojcu, w każdym razie on tak uważał. Uważał też, że pan Jastrzębiec nienawidził jego ojca.

- Chryste, jaka to nieprawda! - wykrzyknęła Jastrzębcowa. Znów zapadło milczenie.

- Pewnie państwo chcą sobie wiedzieć, jakie były moje losy - odezwał się Ryszard Kurski i dotknął ręką piersi z baretkami. - Widzą mnie państwo nagle w stopniu kapitana. Gdy Staszek, mój stryjeczny, spędzał wszystkich z pola, kazał i mnie opuścić budkę, gdzie mieszkałem. Zaproponował, bym wszedł do jego bandy. Pewnie po to, by przy okazji strzelaniny rąbnąć mnie z tyłu. Przeszedłem Wisłę, Bug i front, do Rosjan, i z powrotem aż do Berlina. Teraz jestem odkomenderowany do szkoły sztabu generalnego.

- Rysiu kochany, czy my się obudzimy z tego snu? Pan mi się śni jako kapitan, że siedzimy w jakimś obcym pokoju, pana stryj, pana stryjeczny brat nie żyją, ich pola i nasze pola zarastają chwastami.

- Proszę, niech pani z takimi rzeczami nie igra - odezwał się Ryszard Kurski. - Widziałem w Meklemburgii Niemkę, która potraçała żołnierzy rosyjskich, bo chciała przejść przez nich na wskroś, jak przez zjawy senne. Były różne drogowskazy, jeszcze niemieckie i nasze, ona pytała, w którą stronę iść w kierunku przebudzenia.

- I zastrzeliliście ją z litości? - spytała Jastrzębcowa.

- Rosjanie też byli jak w malignie: „Na zapad, na zapad!” - Kurski wstał, obciągnął mundur i zaczął się żegnać.

- Zawsze lubiłam cię. Rysiu, i strasznie żałowałam - odezwała się Jastrzębcowa. - Niech los panu sprzyja, bo w Boga pewnie pan już nie wierzy, niech pan pozna smak wielkiego triumfu, który daje przeznaczenie - pocałowała go w czoło.

Dzieci przyjęto do miejscowego liceum, Stefania miała w czerwcu zdawać maturę. Jastrzębcowie otrzymali

zawiadomienie, że przyznano im niewielką rentę jako odszkodowanie za majątek. Chłopi z Bezwodów przysłali delegację. Był tam dawny sołtys Bania, Lisek-Biedrzycki, Jurga, niejaki Ciura i chłop, jedyny, jaki we wsi nosił brodę, zwany dlatego Mosiek-Odmieńczyk. Jastrzębcowie nie pamiętali jego nazwiska. Chłopi chcą zgody państwa na branie ziemi. Jak wrócą dawne czasy, spłacą ratami.

Jastrzębiec wysłał Łukasza po wódkę. Dopóki nie wrócił, rozmawiali o błahych sprawach. Potem nalał chłopom i powiedział:

- Nie chcę wracać do Bezwodów. Za wiele bólu, goryczy tam przeżyłem. Gdy wszystko jeszcze raz się zmieni, rząd nam wypłaci odszkodowanie, a wy zostaniecie przy ziemi. Tylko dbajcie o dwór, drzewa w parku i w alei, by zostały dla potomnych.

- Panie dziedzicu - odezwał się Mosiek-Odmieńczyk - w Bezwodach dokuczali panu Kurscy i wyłącznie Kurscy. Janinka życie poświęciła za państwa, a Józefka aż do Niemiec przez państwa poszła, czy jeszcze dalej. Niech pan będzie tak sprawiedliwy, jak pan był, kiedy pan był silny.

- Skoro pan oddaje Bezwody - powiedział uroczyście Lisek-Biedrzycki wstając - to zebraliśmy we wsi pożegnalne sto tysięcy złotych, wszyscy się opodatkowali, nawet ksiądz na posąg dla państwa na nowe życie, oby Bóg dał, nie na poniewierkę .

Jastrzębcowa płakała, odwinęła „Głos Ludu”, w który pieniądze były zapakowane, i oglądała banknot po banknocie. Chłopi z Bezwód nie zmienili ich. Była więc ich masa, nawet dziesięciozłotowych, całkiem nowych, bo kościuszkowskie pieniądze od niedawna były w kursie.

- Odwiedzać państwa czy nie? - spytał Mosiek-Odmieńczyk.

- Jakiś czas nie - odrzekł Jastrzębiec.

Łukasz dolał wszystkim wódki i drugi raz jego ojciec zauważył, że chętnie pije. Jastrzębcowi wydało się, że chłopi popatrują, jak to się mówiło w Bezwodach, na Łukasza. „Złe rodzi złe” - tak mówiono w Bezwodach.

Chłopi przywieźli mu kilka listów, które listonosz rzucał na ganek dworu i tam poniewierały się. Znaczki ktoś poobdzierał, kilka było otwartych. Jeden był z Krakowa. Hipolit Buczyński, kolega Jastrzębca ze studiów w Dorpacie, z którym nie widział się od 1938 roku, pisał: „...w sklepie komisowym z wyrobami złotniczymi w Rynku zauważyłem sygnet z krwawnikiem, przedstawiający Jastrzębca o formie tak rzadkiej i pięknej, że nie mogę się mylić, iż jest to pański sygnet, który pamiętam od lat. Może Pan sam go wstawił, wtedy przepraszam za wtrącanie się i przypomnienie bolesnego wydarzenia, że rodowego klejnotu musi się Pan pozbywać, jeśli jest inaczej...” itd., itd.

Jastrzębiec z synem wyjechali pociągiem odchodzącym w nocy. O świcie byli w Krakowie na Rynku, odnaleźli sklep. Pierścień zobaczyli z daleka, za kratą, jaką opuszczano na noc na szybę; coś boleśnie znajomego wołało ich, ciągnęło ich wzrok. Pobiegli do Buczyńskiego, obudzili go, a on, przywitawszy ich radośnie, zgodził się iść jako świadek. Czekali kilka godzin przed sklepem. Dwaj tędzy mężczyźni, obaj w okularach, którzy dźwigali kratę, a potem otworzyli sklep, zamknęli go za sobą i kazali Jastrzębcowi i Buczyńskiemu czekać jeszcze piętnaście minut.

Buczyński powiedział:

- Chyba im się nie spodobaliśmy, podejrzewają napad i zadzwonili po milicję. Zaraz nas mogą zamknąć.

Ale drzwi sklepu się otwarły, oni weszli. Jastrzębiec przedstawił sprawę pierścienia i wtedy jubilerzy zatelefonovali po patrol. Przyjechali willysem, trzech z pepeszami i jeden cywil. Sklep znowu zamknięto. Cywil długo spisywał dane, nazwiska, wygląd pierścienia, wypytywał Jastrzębców i Buczyńskiego. Nie pozwolił Jastrzębcowi zajrzeć do karty, na której zapisane były dane osoby, która oddała pierścień do sprzedania. Potem kazał im opuścić sklep i zgłosić się nazajutrz o dwunastej w komendzie. Buczyński przyprowadził tam swoją żonę i jej brata, którzy też pamiętali wygląd pierścienia. Po wypisaniu wszystkim pięciu osobom przepustki pozwolono im wejść. Długo czekali, aż zjawił się

ten sam cywil i skinął na Jastrzębca.

- Państwo tu zostają - powiedział do pozostałych osób.

Jastrzębiec wszedł do pokoju. Stało tam kilka biurka, przy których nie było nikogo. Cywil podszedł do jednego z nich, usiadł, poprosił Jastrzębca, by usiadł, otworzył kluczem szufladę biurka, wziął coś w rękę, zamknął dłonie w pięści i uniósł w górę.

- Zgaduj, zgadula, w której ręce złota kula? - po czym wrzucił z powrotem do szuflady coś, co stuknęło uderzywszy o dno szuflady, zamknął ją na klucz, który schował do kieszeni marynarki.

- Wydałbym panu pierścień - powiedział - na swoje ryzyko, bo czy pan wie, jak wygląda w świetle prawa kwestia własności pierścienia? Czy przypadkiem nie należy do skarbu państwa, skonfiskowany automatycznie wraz z majątkiem jako zabytek kultury? Powinienem oddać go do depozytu. Czy pan by go wtedy odzyskał? A jeśli tak, to kiedy? Każde głębokie dochodzenie w sprawie, skąd pierścień się wziął w komisie, wymagałoby tego, a pewnie do niczego by nie doprowadziło. Kenkarta, którą legitymował się oddający pierścień, była sfalszowana jeszcze w czasie okupacji na nazwisko osoby nieżyjącej od marca 1939 roku. Dlatego proponuję panu, że podpisze pan oświadczenie tej treści: „Przyjąłem do wiadomości, że komisant składający mój pierścień - tu opis - podał fałszywe dane personalne. Podpis, data”.

- Ale zawiadomiwszy komisanta, że pierścień jest sprzedany, ściągnęłoby się go w zasadzkę i doszłoby się, kto dokonał rabunku i na resztę rzeczy-zaoponował Jastrzębiec.

- Bez żadnych ale. Chce pan pierścień?

- Chcę - odrzekł Jastrzębiec.

Podpisał oświadczenie, cywil powtórzył operację z kluczami, podał mu pierścień i podyktował pokwitowanie odbioru.

- Odzyskanie sygnetu to znak, że wszystko pójdzie lepiej - powiedział a Jastrzębcowa. - Teraz musisz odpisać szkole.

Drugi list, przywieziony przez chłopów z Bezwodów, był

wysłany jeszcze w styczniu przez wyższą szkołę rolniczą, gdzie wykładał Jastrzębiec. Pytano, czy przeżył wojnę, wyrażano nadzieję, że tak jest i na pewno przeczyta te słowa. Proszono go o natychmiastowe zgłoszenie się w rektoracie.

- Odpiszę im, że wojny nie przeżyłem, i złożę własnoręczny podpis - powiedział Jastrzębiec.

- Bo nie uszliśmy z życiem. My nie żyjemy - odrzekła jego żona. - Często mam wrażenie, że w czasie napadu wszystkich nas zabito, teraz błakamy się i przeżywamy straszliwą formę nieśmiertelności. Czasem zdaje mi się, że gdzieś widziałam płytę cmentarną z piaskowca, szerniałą i zarośniętą mchem, z zatartą przez deszcze datą, którą odczytuję, dopiero gdy wodzę palcem jak ślepa po literach: „Przeszli do innego bytu 11 listopada 1943 roku”.

Jastrzębiec nie zwrócił uwagi na słowa żony.

- Są już pewni, że umarłem. Bo dlaczego nie odpisuję tak długo? Znaleźli innego profesora. Szkoda trudu pisać. A może specjalnie wysłali list na adres Bezwodów, wiedząc, że nie mogę tam być?

- A gdzie mieli wysłać? Słusznie rozumowali, bo list w końcu doszedł - tłumaczyła Jastrzębcowa.

Jastrzębiec cały dzień układał odpowiedź, to telegraficzną, to listowną, darł i pisał nowe wersje. Dzieci patrzyły na siebie z niepokojem.

- Co jest z ojcem? - szepnęła Jastrzębcowa.

Ledwie wypowiedziała te słowa, rozległo się pukanie, jednocześnie klamka została naciśnięta i dwóch mężczyzn weszło do pokoju. Byli w brązowych, filcowych kapeluszach o szerokich rondach i w długich płaszczach z szarej gabardyny. Jeden wyjął małą legitymację w celuloidowej oprawce.

- Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa. Pan Jastrzębiec to pan? Prosimy z nami. Proszę się nie denerwować. Chodzi o wyjaśnienie. Nie musi pan brać nic ze sobą.

Jastrzębiec wstał i machinalnie, jak stał, chciał iść.

- Niech pan coś na siebie włoży. Dziś jest zimno - powiedział jeden z pracowników Urzędu Bezpieczeństwa.

Żona, córka i syn pomogli włożyć płaszcz Jastrzębcowi i

przytulili się do niego, a on przygarnął całą trójkę. Zrobił ruch, jakby coś sobie przypomniał. Zdjął sygnet i włożył go żonie na serdeczny palec. Był za duży i Jastrzębcowa przełożyła go na środkowy.

W drzwiach Jastrzębiec uśmiechnął się, był w lepszym nastroju, niż kiedy pisał list, jakby tamto zadanie było ponad jego siły, a teraz, pozbywszy się odpowiedzialności, w rękach innych, uczuł ulgę.

Patrzyli na zaczęty list, strzępy poprzednich wersji, na odkręcone pióro nędznej marki, które miał na miejsce Parkera - bandyci ukradli je niepostrzeżenie z jego biurka - żalosne, bezbronne, jakby gotowe było napisać samo, bez ręki Jastrzębca, jakieś tragiczne, ostrzegawcze słowo.

Pani Jastrzębcowa powiedziała do córki:

- Stefanko, przygotuj mi łóżko. Muszę się natychmiast położyć.

Stefania pomogła się jej rozebrać. Ledwie Jastrzębcowa oparła głowę o poduszkę - lubiła wysokie posłania - usnęła. Mimo chłodu rozpętała się burza. Jastrzębcowa spała nie słysząc grzmotów. Stefania kazała Łukaszowi zostać przy matce, a sama ubrała się, poszła do przyjaciela ojca, byłego dyrektora banku. On jedyny ich odwiedzał i jeszcze kilka dni temu wspominali, jak w 1938 roku odmówił, mimo przyjaźni, Jastrzębcowi kredytu, bo Bezwody dawały za małą gwarancję spłaty procentów.

-Jeśli zwracacie się do mnie w takiej chwili, to źle z wami. Znaczę mniej niż nic - mówił rozgoryczając się swoim losem, a nic ich. - Zamykaliście się w sobie, żyliście na wyspie. Wyspy najgorzej znoszą trzęsienia ziemi, nie ma z nich gdzie uciec. Mówiłem panu Jastrzębcowi jeszcze przed wojną: „Niepodległość to cud, to nie może trwać długo, trzeba się zabezpieczyć, ratować”, ale wy... Dwie potęgi u dwu najdłuższych granic, obie odrzucające Boga. A wy...

- Przeżyliśmy trochę szczęścia - powiedziała Stefania. - Nie mamy sobie nic do wyrzucenia. Wykorzystaliśmy tamten czas.

- Przepraszam cię, dziecko - dyrektorowi stanęły łzy w

oczach. - Grozi mi aresztowanie, sprawa o kolaborację. Rozkaz organizacji, na mocy którego nie opuściłem przedwojennego stanowiska, może nie być uznany. Nawet lepiej, żebyście się ze mną nie widywali. Jedyńm ratunkiem dla was jest Ryszard Kurski. Do niego jedźcie.

Jastrzębiec, gdy wprowadzono go od podwórka do budynku urzędu, stwierdził, że pierścień pomógł mu. Zdażył się już oswoić z tym typem pomieszczeń, typem twarzy, ubiorów, jakich przedtem nie było. Choć uparcie odmawiał temu, co się działo, rangi i nazwy rewolucji, była to rewolucja wbrew masom. Przyszła mu myśl, że sam naród stwarza te najniższe, wyklęte warstwy i jak je traktował i urobił, tak one, wyrócone pługiem historii, będą formowały naród. „Moja nowa rola. Poznam coś, czego nigdy bym nie doświadczył i umarł w niewiedzy”.

Wprowadzono go do pokoju, którego okno - Jastrzębiec zawsze, nim obejrzał jakieś wnętrze, spoglądał, co widać przez okno - wychodziło na małe, ponure podwórze.

- Proszę me wyglądać - powiedział jeden z mężczyzn.

Drzwi się zamknęły i Jastrzębiec został sam. Po trzech godzinach oczekiwania Jastrzębiec upewnił się, że chcą, by się bał, i stał się spokojniejszy. Otworzyły się drzwi. Nie spojrział w tamtą stronę. Ktoś wszedł, otworzył szufladę biurka, pogrzebał tam, zasunął szufladę i wyszedł. W rogu pokoju stał oszklony kredens, wypchany skonfiskowanymi książkami. Jastrzębiec bezceremonialnie otworzył drzwiczki, wyjął tom trzeci „Pism” Trockiego i zaczął czytać. Minął jeszcze jakiś czas i Jastrzębiec ocknął się z głębokiego snu, usłyszawszy nad sobą głos:

- Tylko ktoś niewinny może usnąć w tym budynku!

Był to mężczyzna o czarnych włosach, ze starannym rozdziałkiem, wypomadowanych brylantyną, z małym, czarnym, przystrzyżonym wąsem.

- Dziwił się pan, panie Jastrzębiec, że dotąd nie wzywaliśmy pana? - powiedział.

Jastrzębiec poprzysiągł sobie jak najmniej się odzywać. Siedzący za biurkiem mężczyzna wstał i wyjął z kasy pance-

rnej - podręcznej, staromodnego typu, jakie bywały w młynach, tartakach - teczkę oprawioną w niebieski karton. Potrzymał ją w ręku.

- Waży z pół kilo. Ale nie waga papieru, tylko rzeczywista waga zawartych tam danych jest dla pana groźna. Zaczniemy od pozornego drobiazgu: nielegalnie, wbrew dekretowi, zamieszkuje pan powiat, w którym miał pan majątek ziemski.

- Z majątku wyprowadziłem się, porzuciłem go jeszcze w jesieni 1943 roku i od dwu lat jestem mieszkańcem S.

- Miał pan majątek 17 stycznia 1945 roku na terenie powiatu S. i po tej dacie pozostał pan w powiecie. Reszta to wykręty. My wiemy nawet takie rzeczy - zajrzał do akt i zaczął czytać czyjeś zeznanie: „...Jeszcze w 1939 roku Jastrzębiec wymuszał pańszczyznę, i to od studentów rolnictwa, którzy odrabiali w majątku profesora zaliczenia i stopnie”. Jest pan podejrzany, że wymusił pan korzyść materialną od chłopów ze wsi Bezwody, strasząc zemstą na wypadek powrotu dawnych czasów. Już samo kontaktowanie się z mieszkańcami Bezwodów nasuwa podejrzenia, które upoważniają mnie do aresztowania pana. To są trzy najłżejsze zarzuty. Teraz współpraca z osobnikiem używającym pseudonimu „Kuna”, poszukiwanym pod szeregiem zarzutów. Wzmowie z panem i w odwecie za rekwizycję, jakiej dokonała grupa „Rosy”, „Kuna” sprowokował wymordowanie tej grupy.

- To byli bandyci! - wybuchnął Jastrzębiec.

- Można spojrzeć inaczej. Byli chłopskimi, anarchistycznymi buntownikami. „Rosa” był chłopskim mścicielem, oderwanym od ruchu klasowego, który odbieranie siłą panom uważał za rewolucję. Uważamy, że szedł błędną drogą, ale jego intencją było wywłaszczenie panów. Wybicie oddziału miało charakter zemsty, nieproporcjonalnie krwawej, za to, co zdarzyło się w Bezwodach. Wyście się nie upominali o zabita służącą. Jeden policzek wymierzony jaśnie panience i zabranie kosztowności przypląciło życiem dwunastu ludzi. Wielu z nich znalazłoby dobrą drogę.

- Pan to mówi, nie ja - odezwał się Jastrzębiec.

- Sięgnijmy głębiej. „Rosa” - to Stanisław Kurski. Na początku 1941 roku doszło do nieporozumień i otwartej wrogości między panem a rodziną Kurskich. Potem nastają jeden po drugim dwa fakty, ale w rezultacie dziwnie podobne: pacyfikacja, w której ginie cała rodzina Kurskich, a potem atak na ocalałego Stanisława Kurskiego i jego ugrupowanie, podczas której ginie on z całym oddziałem. Czy między tymi faktami był związek? Czy tym czynnikiem łączącym nie był pan, panie Jastrzębiec? „Rosa”, czyli Stanisław Kurski, nie napadał na nikogo w swojej wsi, ba, nawet w okolicy. Ochraniał ją. Nie chciał się narażać na przyszłość czy być rozpoznany. Ryzykuje ten jeden raz. Mężcą go podejrzenia, niejasne przypuszczenie. A może już wiedział i dlatego musiał zginąć?

- Rozstrzelajcie mnie, ale nie chcę tego słuchać - powiedział Jastrzębiec.

- Zaraz napiszemy i pan podpisze. Musi pan zachować spokój, inaczej zmusimy pana do tego. Stanisław Kurski robi napad na państwa, by dowiedzieć się, co było przyczyną śmierci całej jego rodziny i kto był tego sprawcą. Uważa, że klucz jest w pana rękach. Pamięta bowiem nienawiść, jaka wybuchła między jego ojcem a panem.

Jastrzębiec zerwał się.

- Zarzut o denuncjacji jest potworny, straszliwy. Nie zniosę go, odbiorę sobie życie! - krzyczał.

- Pan tak się przejmuję zarzutami, które stawia Urząd Bezpieczeństwa? Myślałem, że pan jest dumniejszy i nami gardzi. Niech pan podpisze jeden papierek. Potem pan powie, że nam można wszystko podpisać, że pan nie przywiązuje żadnej wagi do zeznań złożonych tu i nie uważa za grzech i przestępstwo kłamać, albo powie pan, że wymusiłmy je na panu.

-Nie rozumiem.

- Podpiszemy mały cyrografik. Pakt z szatanem. Ja będę pana ochraniał, a pan mi odda jedną przysługę. Miałem tu niedawno pana sąsiada z Sążnisk. Jechał aż z Wrocławia, bo

lojalnie się wyniósł. Opowiadał, że od kiedy żył, widział na podwórzu, latem i zimą, furę z gnojem. Gdy gnój wysychał i sypał się, uzupełniano go nowym. Nigdy go nie użyto ani tej fury. Rodzice powiedzieli mu, że jeden z przodków zawarł pakt z szatanem. Szatan miał wykonać mu wszystkie prace w gospodarstwie w zamian za duszę. Fura z gnojem przypominała szatanowi, że nie skończył pracy. Dopóki stała, potomkowie rodu nie bali się o siebie. Gdy myśmy nastali, gnój zabrali chłopci na pola, a szatan, uwolniony, zawładnął ich majątkiem i teraz nie mają tam wstępu.

- Po co mi pan opowiada to wszystko?

- Żeby pana zaciekawić. Byłem pana ciekaw, tyle o panu słyszałem i napotykam kogoś innego, niż sobie wyobrażałem, mniej wyniosłego, a raczej krętacza, spryciarza. Mamy telefonogram - zajrzał do akt. - Z Krakowa. Ładnie to pasuje do reszty. Stara się pan o odzyskanie tego, co pan stracił. Jak pan wpadł na trop sygnetu?

- Mój kolega zauważył go na wystawie u jubilera w Krakowie.

- Wiedziałem, że pan tak odpowie. Ale rozumie pan nas, że nie ufamy tej odpowiedzi. Pan jest na tropie osób, które mają pana kosztowności.

- To nieprawda.

- Nie przyszedł pan do nas z sygnetem na palcu.

- Wiem, że protokoły depozytowe operują takimi określeniami: „żółty metal” zamiast złoto, „biały kamień” zamiast, powiedzmy, brylant. Potem zwraca się odpustowe świecidelka.

- Celowo pan pomylił nas z inną policją. Jesteśmy wrogami? Tak?

- Nie jestem niczym wrogiem - odrzekł Jastrzębiec. - Nie nienawidzę nikogo.

- Nawet Niemców? - zapytał szybko oficer.

- Nawet Niemców.

- Możemy to zaprotokołować?

- Jak pan sobie życzy.

- To zapiszemy: „Niemców nie nienawidziłem”. Dobre

zдание na początek. Czeka nas poważna praca, to śledztwo. Dla mnie bardziej męcząca niż dla pana. Powiedział pan, że nie jesteśmy wrogami. Niech pan rzuci na żer tego „Kunę”. On był wrogiem. Zbierał informacje o komunistach. Po co? No, po co?

Jastrzębiec milczał. Oficer wstał, podszedł do okna, uchylił firanki i wyjrzał, wrócił za biurko i usiadł.

- Nie wypiera się pan kontaktów z „Kuną”? To byłoby wygodne dla nas, bo wtedy podważylibyśmy pana zeznania w każdym punkcie.

Jastrzębiec westchnął.

- Nie wypieram się.

- Zabłysło światelko pana wolności na końcu ciemnego korytarza. Nie zależy mi na zniszczeniu pana. Niech pan mnie tylko do tego nie zmusza. Potrzebny nam jest „Kuna”.

- Jeśli zajmuje się pan „Kuną”, to przypuszcza pan, że powiedział mi, gdzie się udaje?

- Kiedy pan widział się z nim ostatni raz?

- Jesienią zeszłego roku.

- A nie zimą tego roku, już po wkroczeniu armii sowieckiej? Wiemy, że był w S.

- Nie widziałem go od jesieni zeszłego roku.

- Był u pana tu, w S.?

- Tak.

- Co mówił?

- Ostrzegał mnie, prosił, bym wyjechał, ratował się.

- Co pan odpowiedział?

- Że mam czyste sumienie i nie muszę uciekać.

- Ach, te wasze sumienia. Proletariat mówi prosto: zgodne z sumieniem jest to, co służy klasie robotniczej i jej partii. Gdybym wiedział, że to służyłoby partii, zastrzeliłbym pana bez wahania. Ale nie służy, oby, tylko szkodziło, dlatego jest pan cały i zdrowy. Pana życie jest potrzebne. Nie wierzę, że nie widzieliście się panowie w lutym 1945 roku, gdy „Kuna” był w S. Ale to odłożę na później. Gdy Kurski vel „Rosa” dokonał napadu na pana, jakie informacje na ten temat przekazał pan „Kunie”?

- Dokładną relację.

- Rozłóżmy to na czynniki pierwsze. Mówiliście o tym, że szefem bandy, choć nie pojawił się osobiście, może być Stach Kurski?

- Mówiliśmy.

- Kto to poddał?

- To wynikło nagle. I byliśmy w tym jednomyślni.

- Kto pierwszy powiedział? To ważne.

- „Kuna”.

- Pana odpowiedź wskazuje, że „Kuna” przed wyjazdem w lutym tego roku pozwolił panu zwałać wszystko na niego. Myśl, że to jest banda Kurskiego, mogła przyjść tylko panu. A teraz, skoro służąca, która rozpoznała jednego z bandytów, została zabita, jakim sposobem „Kuna” zidentyfikował bandę i odnalazł ją?

- Mnie to też ciekawiło, ale nie miałem odwagi pytać „Kuny”. Nie chciałem za wiele wiedzieć.

- A pan ani nikt z pana rodziny nie rozpoznał przypadkiem kogoś z bandy? Powiedzmy, widzieliście go w kościele lub na jarmarku, czy tu, w S.?

- To była prawdopodobnie druga banda „Rosy”, sformowana na innym terenie.

- Obie informacje: kim jest „Rosa” i gdzie szukać jego bandy, „Kuna” dostał od pana czy, ogólniej mówiąc, we dworze w Bezwodach?

- „Kuna”, o czym pan wie, miał sieć informacji tak wielką, że insynuacja pana brzmi śmiesznie.

- Jaka insynuacja? W waszych oczach chodziło o likwidację bandyty.

- W pana oczach jest kimś innym.

- Tego „Rosę” byśmy zamknęli. Może poszedłby pod pluton. W takim plutonie żołnierz wie, że połowa dostała ślepe naboje, a połowa ostre. Żaden nie wie, czy on zabił, czy kolega.

- A naprawdę wszyscy dostają ostre naboje? - spytał machinalnie Jastrzębiec.

- Nie to co wasze granaty. Od wybuchów osunął się mur

pałacu. Jedyne ranny po waszej stronie to ten, któremu przywalił nogę.

-Nie wiedziałem.

- Użyto wiązek granatów, plastiku, mydełek trotylowych. Rzeź.

- Nic nie wiem o tym.

- Kazano nawieźć ziemi i zasypano piwnice. Jeden z waszych ludzi potajemnie wykrobał krzyż na murze zamku.

- Nie wiedziałem o tym.

- Więc „Kuna” namawiał pana do opuszczenia tych okolic? Bał się, żeby pan tu został, bo za dużo pan wie.

- Martwił się, co może mnie tu spotkać.

- A pan mu odpowiedział, że pan nic nie ma na sumieniu.

Wtedy on zdecydował, że lepiej, żeby pan wszystko zwał na niego, niż przyznawał się czy odmawiał zeznań, bo wtedy moglibyśmy za wiele od pana wyciągnąć. Tylko wróg ludu, wróg narodu może żyć z czystym sumieniem, obojętny na wymordowanie rodziny Kurskich, na masowy mord na grupie „Rosy”. - Tu przesłuchujący zmienił ton: - Więc kiedy była wasza ostatnia rozmowa? Mówić! - wrzasnął, aż Jastrzębiec podskoczył.

- Jak pan będzie ma mnie krzyczeć, nie powiem nic.

- Mam jaśnie pana całować po rączkach? - wyszeptał przesłuchujący. Jastrzębiec odniósł wrażenie, że udaje gniew, by go przestraszyć. - Niech my dostaniemy niejakięgo Jaeschkego w ręce. Szukamy go po całej Europie. Nasi sojusznicy amerykańscy i brytyjscy przyobiecali nam go wydobyć spod ziemi. Gelbera też szukamy. Ale to płotka. Jaeschke miał was, panowie, w ręku.

- Chce pan przejąć tę wiedzę o nas?

- Rozwietka pułkownika „Siewierina” za bardzo przemawiała się rozpoznawaniem Niemców zamiast miejscowego wroga. Teraz my się męczymy. „Siewierin” uzależnił się, powydawał zaświadczenia ludziom, którzy mu pomagali, nieraz najbardziej niewłaściwym, i ci ludzie stali się nietykalni. Na jakiś czas. Pan ma takie zaświadczenie?

-Nic.

- A „Kuna” ma?

- Nie wiem.

- Dawał dane o rozlokowaniu Niemców pułkownikowi „Siewierinowi”?

- Skąd mogę to wiedzieć?

- Widywał się pan z „Kuną” w sposób tajny, w konspiracyjnym mieszkaniu, specjalnie wynajętym na najważniejsze kontakty. Powiedzmy, że „Kuna” nic panu nie mówił. To przecież po coś te spotkania były. Musiał więc o coś pytać!

O co pytał? Co pan mu mówił?

- Takie spotkanie miało miejsce jedynie raz. Wtedy, po nieszczęsnym napadzie na nas.

- Nieszczęsnym? A cóż to się państwu stało? Nie zapowiedziana wizyta obraziła państwa? A „Kuna”? Wypytywał o „Siewierina”?

- „Siewierin” nigdy nie był w naszym majątku. Przysyłał oficera zaopatrzeniowego. Mam pokwitowania.

- Nie powiedział pan od razu. Jak pan kluczy! Jakie atuty ma pan jeszcze ukryte? Ucałowania od Żukowa czy Rokosowskiego? Albo kogoś w Warszawie?... Tacy jak pan są zawsze obstawieni. Nawet w piekle mają swojego diabła, który na nich czeka. Kogo pan ma w Warszawie? Tego profesora Żyda, co był u was w wojnę?

- Jezus Maria! Był Żydem? Niemożliwe!

- Niech pan nie udaje, że pan nie wie. Idzie w górę. Pisał do pana, ale listy zatrzymaliśmy, tylko listy pisane do Bezvodów wymknęły nam się. Milczy pan? Myśli pan, że badam grunt, bo się boję. My sprawdzamy lojalność nawet najwyższej góry. „Siewierin” już nie jest w armii. Mniejsza o to. „Rosa” mógł was wyróżnić, spalić dwór. Nie zrobił tego. Pan powinien go bronić przed „Kuną”. Nie zgodzić się na masakrę.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Kurski miał przedtem wiele poważniejszych wybryków. Dlaczego ukarano go, gdy ośmielił się zakłócić spokój państwu Jastrzębcom? Czy nie domyślał się czegoś na temat

pacyfikacji swojej rodziny i pierwszej swojej bandy? Na przykład, że pan i „Kuna” zwałaliście robotę na Niemców? No tak, ale pan mi nie pozwala o to pytać, bo pan grozi, że się pan zabije. Dlaczego pana to tak denerwuje?

Jastrzębiec milczał.

- Pan bił ludzi.

Jastrzębiec opuścił wzrok.

- Raz w życiu. Jedyńy raz.

- Michałak, uderzony w twarz, lato 1938 roku.

- Bił własnego konia, bezlitośnie, więc skarciłem go.

- Jego koń był słaby. Nie mógł uciągnąć wozu. Trzeba było mu dać swoje konie, zamiast bić go.

- Przeciążył wóz.

- To było kradzione drzewo z lasu?

- Tak.

- Nie zawiadomił pan władz?

- Nie.

- I jak mogło utrzymać się przedwojenne państwo?

- Zbieracie wszystko, absolutnie wszystko na mnie?

- Ma pan córkę chrzestną, Ciurównę, w Bezwodach. Co to znaczy?

- Jak to co?

- Co pana z nimi łączyło?

- Nic.

- Ma od pana złoty medalik z łańcuszkiem. Wysługiwali się panu specjalnie?

- Nie. Proсили mnie na chrzest i zgodziłem się.

- Dlaczego akurat oni? Gdyby pana wszyscy proсили, dawałby pan każdemu złoty medalik?

- Ale inni mnie nie proсили.

- Ciura jednak był u pana, gdy przywieźli panu pieniądze. Pan im powiedział, by brali pana ziemię? Co panem kierowało, że pan to powiedział? Nadzieja, że pan wszystko odzyska i tak?

- Mierzy mnie pan swoimi kategoriami, ja myślę swoimi. Zbrzydły mi Bezwody. Nigdy tam moja noga nie postanie.

- Niewielka laska. My tam nie pozwolimy panu przyjeź-

dzać.

- Dziękuję, nie mam ochoty wychodzić z pokoju.

- Zmęczenie posiadaniem, władzą, zużycie się sił?

- Oddanie ziemi chłopom uważam za sprawiedliwe w skali historycznej. Akurat wypadło to na moje pokolenie. Były wieki zła, zarządzali je moi przodkowie. Chłubię się nimi, więc muszę i brać za nich odpowiedzialność, za to, co robili złego. Na mnie spada kara, a ja czuję się, jakbym był jednym z nich.

- Rycerz? Szlachcic? Ta mała Ciurówna jest pana dzieckiem?

- Niech pan spyta Ciurów.

- Wydawałoby się, że jest pan bardziej uświadomiony niż niejeden z chłopów. Jest pewna zagadka. Na konferencji w Urzędzie Wojewódzkim trzy dni temu mówiono, że kłopotów z usuwaniem dziedziców nie ma. Po przeczytaniu zarządzeń w ciągu doby opuszczali majątki. Nie stawiali oporu. Nie było wypadku, by trzeba było uciekać się do pomocy Urzędu Bezpieczeństwa czy wojska. Wy zmówiliście się, bo chcecie podkreślić, że oddajecie ziemię sami, bez przymusu, by wytrącić nam broń przeciw wam z ręki, a przede wszystkim argument wobec chłopów. Ale was nikt o zdanie nie pyta. Jak pan sądzi, chłopci uwierzyli w pana intencje?

- Nie wiem. To pokaże czas.

- Zna pan powojenne losy Ryszarda Kurskiego?

- Coś słyszałem.

- Coś słyszał pan czy widział się z Kurskim po wyzwoleniu?

- Nie.

- Niech pan się zastanowi. To będzie sprawdzian pana szczerości.

- Nie widziałem się.

- Dlaczego się pan wypiera? Boi się pan szkodzić Kurskiemu? - wychylił się w przód. - Tak czy nie? Kiedy to było? Gdzie?

- Kurscy wyrządzili mi tyle krzywd! Nie mogę spokojnie

słuchać nawet brzmienia tego nazwiska.

- „Kuna” znał Ryszarda Kurskiego?

- Wątpliwe. Rysio Kurski był wyrobnikiem u stryja. Nie liczył się. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Potem znikł. Podobno idzie w górę przy rządzie lubelskim.

- Ten rząd od dawna jest w Warszawie. Nie ma powodu nazywać go lubelskim. „Kuna” pytał o Ryszarda Kurskiego?

- Nie.

- O czym panowie mówili w czasie tej godziny? Milczeliście, siedząc naprzeciw siebie? Czym „Kuna” się interesował? Pytał, ile ludzie „Siewierina” zarekwirowali bydła czy mąki? Co pan mu na to odpowiedział?

- Nic, bo nie było takiego pytania.

- To jakie były?

- Już mnie pan o to pytał.

- Będę dotąd pytał, dopóki pan nie odpowie.

- A ja będę odpowiadał to samo.

- Więc o co pytał „Kuna”?

- Nie zadawał mi pytań. Ja opowiedziałem o napadzie

- Więc przyznaje się pan do spotkań z „Kuną” w wynajętym mieszkaniu? Był pan jego podwładnym?

- Do jednego spotkania w tym mieszkaniu. Do organizacji nie należałem.

- Mamy następne dwa zdania do protokołu: „Do organizacji podziemnych nie należałem. Z «Kuną» spotkałem się w pustym mieszkaniu, wynajętym do spotkań organizacyjnych, by opowiedzieć mu o napadzie grupy uzbrojonych osobników na mój dom”. Zgoda? Nie wymuszone, nie spreparowane?

- Nie.

- Jak doszło do spotkania „Kuny”?

- Sam zgłosił się do mnie.

- To też wpiszę do protokołu: „«Kuna» sam zgłosił się do mnie”. Teraz pan poda swoją relację o napadzie i reakcję „Kuny”.

- Oświadczyłem „Kunie”, że powiedziałem bandytom, gdy chcieli powiesić moją żonę, że „Kuna” wypytywał mnie o

powiązania Kurskiego z Gelberem.

- A dlaczego dopytywał się?

- Chciał dojść przyczyny pacyfikacji.

- Co pan wiedział o powiązaniu Gelbera z Kurskim?

- Prawie nic. Kurski powiedział mi, żeby Gelbera się nie bać, tylko załadować mu pełną bryczkę, to odjedzie.

- A „Kuna” wiedział więcej?

- Tak sędzę.

- Czy nie było tak, że postanowił rękami samych Niemców wykończyć Kurskich?

- To nieprawdopodobne.

- A teraz: Kurski przez Gelbera jest powiązany z Jaeschkem. „Kuna” dysponuje oddziałem dywersji bojowej, może tym samym, który potem wytłukł w zamku ludzi „Rosy”. Każę im ubrać się w mundury niemieckie i dokonuje likwidacji pierwszej grupy młodego Kurskiego, a przy okazji jego rodziny.

- To byli Niemcy kilkoma samochodami, których taki oddział nie mógł mieć.

- To była tylko taka luźna myśl. Ryszard Kurski był tu oddać państwu ziemię po stryju i nie odwiedził pana?

- A cóż nas łączy?

- Czy naprawdę między nim a stryjem była taka nienawiść?

- Podobno. Był skrzywdzony.

- No, to już łączyło pana z Ryszardem Kurskim.

- Panie, ja byłem obszarnikiem, panem, a to był bosy, wiejski sługa.

- No właśnie.

- Co właśnie?

- Znosił panu ważne wiadomości o Kurskim, nienawidząc go i licząc na pana niechęć do Kurskiego, a pan przekazywał je „Kunie”.

- Pan zmyśla za nas nasze życie, tworzy fakty, które w głowie by nam nie powstały.

- Panie Jastrzębiec, że Stanisław Kurski ocalał i żyje pod innym nazwiskiem, to pan słyszał?

- Nie.

- Mam pana zamknąć czy jeszcze zaufać panu i wypuścić?

- Niech mnie pan wypuści. Moja żona jest chora, mam dwoje dzieci.

- Wiem, wiem. Powinienem panu wytoczyć sprawę za pozostawanie w tym powiecie, ale również mogę objąć wstecz pana nielegalny tu pobyt moim nakazem nieopuszczania powiatu. Jest pan nam potrzebny i musi się pan meldować co dzień na wartowni naszego urzędu.

- Kim pan był przedtem, panie...

- Nazwisko nieważne. Tylko dla pana to jest ważne. Pan uważa, że każdy był przedtem, że był przedtem kimś. Ja byłem nikim. Mnie nie było. Nie istniałem. Narodziłem się, gdy armia radziecka zajęła pewną wieś nad Bugiem. Jakbym się nie narodził z matki i nie miał ojca.

Napisał coś na kartelusku i przystawił pieczętę.

- To przepustka. Ale nie ma jeszcze mojego podpisu. Nie może pan zniszczyć bytu swoich dzieci. Pozwolimy im uczyć się, iść w górę, zaczynać od początku. Miały czterech czy iluś tam nauczycieli. Pan nie jest młody. Pan może nie wyjść z więzienia. Trzy lata będzie dla pana dożywociem.

- Nie będę z panem omawiać przyszłości moich dzieci.

- Podpisze mi pan zobowiązanie tej treści... - Pisał i czytał, co pisze: - „Zobowiązuję się niniejszym do natychmiastowego powiadomienia PUBP w S. o swoich kontaktach z

Eugeniuszem Sadowskim, pseudonim «Kuna», listach od niego otrzymywanych, wiadomościach telefonicznych itp. Zobowiązuję się też w wypadku zapowiedzenia kontaktu lub w czasie jego trwania powiadomić urząd telefonicznie lub przez osobę trzecią, nie wprowadzając jej w treść informacji, a przekazując umówiony sygnał: «Dziczyna do odebrania u gajowego». Zobowiązanie niniejsze zachowam w tajemnicy. Podpis”.

Jastrzębiec pokręcił głową.

- Musi pan mieć czas do namysłu-rzekł przesłuchujący.

Spiął nie podpisaną przepustkę i zobowiązanie spinaczem i włożył do akt.

Po utracie Bezwodów zamiast bólu i żalu Jastrzębiec odczuł przypływ niewytłumaczalnej ulgi, a zamknięcie w celi dało mu jeszcze większe natężenie tego uczucia. Bał się o swój los na wolności, teraz czuł się wyzwolony, wolny jak nigdy w życiu. „Jaką męką dla mnie było posiadanie, a nawet życie” - myślał Jastrzębiec. Ogarnięty ciekawością, rozmawiał w celi z ludźmi, z którymi dawniej bałby się zamienić słowa, że zachowają się w sposób grubiański i urażą go. A jeśli już z nimi mówił, każda wymiana słów męczyła go, aż się pocił. W swoich okolicach jeździł bocznymi drózkami, jakby nie był panem (i nie czuł się nim), lecz wygnańcem. Sam sobie tego nie uświadamiał. W nocy w celi modlił się za komunistów w dziwnym uniesieniu, że połączyli go ze światem, z Bogiem, od którego odciął się w swojej wyniosłości, że uświadomiono mu, iż jest niczym, i że on zawsze to przeczuwał i był trochę bardziej pański, uniemożliwiając komukolwiek zbliżenie się do siebie, aby mu nie powiedział: „Jesteś odrobiną kału. gnoju”. Dzięki Ci, Boże, za to, że to wiem!

Uniesienie trwało wiele dni, aż jakiś funkcyjny więzień, pracujący w kuchni, zastąpił mu drogę, potrącił, popchnął, chwycił za rękę, wykręcił i puściwszy zaśmiał się ordynarnie. Jastrzębcowi przebiegła myśl: „Ci ludzie są ohydni, brutalni, miałem zawsze rację” - gdy zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku karteczkę. Przeczytał ją pod kocem w nocy. „Podpisz, co ci każą. Wyjaśnienie na wolności”.

Podpisanie dokumentu odbyło się w pośpiechu, zażenowaniu i obustronnych uprzejmościach. Jastrzębiec wiedział, że gryps mógł być fałszywy, a jednak podpisał. Teraz naprawdę musiał szukać kontaktu z „Kuną”, by go ostrzec, że musi trzymać się od niego z daleka.

Jastrzębiec, znalazłszy się na świeżym powietrzu, wietrze i słońcu, czuł się jak oślepiiony i ogłuszony. Potknął się - nie mógł odtworzyć potem, o co, jakby o własną nogę - i poleciał naprzód biegiem. Nie upadł, ale nogi się pod nim uginały, niezdolne utrzymać ciężaru ciała. Dowłókł się do skrzyni, w której zimą przechowywano piasek do posypywania ulic, i

usiadł na niej. Wróciło uczucie ulgi, doznawane ostatnio, jakby i możliwość chodzenia była mu nie uświadomionym ciężarem. Nie myślał, jak dostanie się do domu. Siedział długo. Mijali go ludzie, którzy znali go z widzenia i on ich znał. Przyglądali mu się, ale nie podchodzili. Wiedział, że myślą: „Na co to przyszło Jastrzębcowi?” Zatrzymał się wóz, siedział na nim Mosiek-Odmieńczyk.

- Panie Jezu, co to panu Jastrzębcowi?! - zawołał.

- Chłopie, odjeżdżajcie, i to szybko. Nie mogą nas widzieć razem. Będzie to złe dla pana i dla mnie.

- A co to szkodzi, panie? - powiedział Mosiek-Odmieńczyk i powoli zszedł z wozu, wziął pod ramię Jastrzębca, uniósł. - Z nogami cosik? - spytał tonem lekarza. - Podniesiemy - dźwignął Jastrzębca na ręce i usadził na końcu wozu, tyłem do kierunku jazdy, by nogi zwisały swobodnie. Jastrzębiec zauważył, że dyndają jak nogi szmacianej lalki.

- Trzymajcie się, panie - powiedział Mosiek-Odmieńczyk i mruknął coś do konia.

Łukasz i Mosiek-Odmieńczyk wnieśli Jastrzębca na górę. Jastrzębcowa leżała w łóżku.

- Mój ukochany! - zawołała radośnie do męża. - Zachorowaliśmy razem, to może Bóg da i umrzemy jednego dnia, w jednej chwili.

Mosiek-Odmieńczyk usiadł na krześle, rozejrzył się gładząc brodę, która z żydowskiej stała się ostatnio inaczej przycinana, hetmańska, i powiedział:

- Żyjecie państwo biedniej niż Jezusik w stajence, tylko meble pańskie, ale tu wyglądu nie mają.

- Tylko nic nie mówcie o Bezwodach! - krzyknął Jastrzębiec.

- A dlaczego nie? Jeździli po wsi i u wszystkich spisywali, co kto wie o panu Jastrzębcu, pani Jastrzębcowej i dzieciach. Poszła wieść, że pan Jastrzębiec jest w więzieniu. Chłopi zebrali się pod dworem i mówią do komisarza: „Wynocha, wracaj ziemię Jastrzębcowi. On w więzieniu, to nie honor brać”. Komisarz na to, że Jastrzębiec nas podburzył i nie wyjdzie z więzienia, jak się nie uspokoimy. To wściek-

łość chłopów ogarnęła. Co było, nie powiem, bo w końcu komisarz przysiągł, że nie poskarży, że go trochę poturbowali. „Nie damy wziąć nikomu, jak Jastrzębcowi spadnie włos z głowy. Nie damy z siebie zrobić bandytów i złodziei” -- mówią chlōpi. Na to komisarz: „Nie wy sobie dajecie ziemię, tylko państwo wam daje, i nie wy robicie państwu łaskę, że bierzecie, a państwo wam”. Po prawdzie wszyscy skapnęli się, że najwyżej dostaliby tyle co po grządce na kwiatki, bo i co - za przeproszeniem - ten pan Jastrzębiec miał ziemi na sto osiem numerów wsi, do tego dworaki. Wszczęła się walka między wsiowymi a dworusami, straszna niezgoda, jakiej nie było.

W tym czasie dzieci rozebrały Jastrzębca, umyły go przy Mošku-Odmieńczyku całego i położyły do łóżka. Jastrzębcowa wyciągnęła do męża rękę i cały czas trzymała, ścisłała, bardzo szczęśliwa.

Chłop patrzył na Jastrzębca z dumą. Przekonany, że wieś ocalała go, dopił herbaty i życząc lepszego losu poszedł. Łukasz zrelacjonował pobyt w Warszawie. Dotarł z wielkimi przeszkodami do profesora, z jeszcze większymi do Rysia Kurskiego. Obaj obiecali pomoc, ale Łukaszowi wydawało się, że nie wierzą w jej skuteczność. Uprosił ich, by wydali zaświadczenia Jastrzębcowi. Ryszard Kurski potwierdził, że jego kuzyn Stanisław Kurski ukrywał się we dworze, ale pisząc dodał: „Ale przed kim naprawdę?” Po czym wpisał: „Przed Niemcami”⁷. A profesor napisał: „Jako Żyd ukrywałem się całą wojnę w majątku Bezwody i byłem traktowany jak członek rodziny”.

Jastrzębcowie uśmiechali się do siebie, leżąc w nocnych koszulach o podobnych wrąbkach. Dzieci nie zauważyły ich porozumiewawczych spojrzeń: „Zobaczymy, czy nas kochają”.

Dzieci, które były do roku 1941 najważniejszymi osobami w Bezwodach, na kilka lat zostały usunięte w cień. Mówiło się częściej o Kurskich, „Kunie” czy „Siewierinie” niż o ich nauce. Teraz weszły znów na widownię, tylko w zmienionym charakterze. Nie uświadamiały sobie wagi tej chwili. Łukasz

pisał za ojca list do wyższej szkoły rolniczej, a Stefania poszła po lekarza.

Doktor przyszedł ze Stefanią, słyhać było ich głosy na schodach. Badał nogi Jastrzębca pół godziny.

- Spotkał pana nagły wstrząs, który wywołał rodzaj paraliżu. Ma on wyłącznie psychiczne źródło. Żadnych zmian, które wskazywałyby na inną przyczynę, nie znalazłem. W każdym razie w tej chwili się nie ujawniają. Czasem ludzie tracą władzę w nogach, czasem słuch, wzrok, zaczynają się jąkać lub przestają umieć czytać. Nie mogą z liter złożyć najprostszego słowa.

- Spotkało mnie straszne, potworne posądzenie, choć z ust człowieka, na którego zdaniu nie powinno mi zależeć, ale że ktoś ośmielił się je wypowiedzieć...-Jastrzębiec zająknął się i stracił głos.

- Widzi pan! - zawołał radośnie lekarz. - Podobny objaw wystąpił w głośni. Nie ma na to lekarstwa. Niech pan pomyśli, że w pana postawie jest sprzeczność. Niby panu nie zależy na zdaniu tego kogoś, gardzi pan nim, a uważa jednocześnie cios zadany przez takiego człowieka, stojącego o tyle niżej od pana, za bardziej obraźliwy, niż gdyby spotkał pana od kogoś panu równego. Wolałby pan sytuację, że ten ktoś myślałby to samo, ale bałby się otwarcie wypowiedzieć przy panu. Woli pan spokój wynikający z pana przewagi od prawdy. Gdy traci pan przewagę, woli pan umrzeć, niż zostać na świecie, gdzie pan jest zagrożony.

- Doktorze, gdyby ktoś to powiedział mężowi przed trzydziestu laty, nasze życie inaczej by się potoczyło.

- Wtedy pani mąż wyrzuciłby mnie za drzwi, te słowa byłyby częścią prawdy, której nie mógł znieść. Pani to samo wiedziała, ale nie mówiła mężowi. Byłoby to zbyt ryzykowne. Nie mam mocy Chrystusa, by nakazać panu wstać. A czy Chrystus na widok pana chciałby zrobić cud bez wiary w Niego, wbrew panu? Nie wiem. Jedyne leczenie to: wstać i chodzić.

Wydał zaświadczenie, które Stefania zaniosiła na wartownię Urzędu Bezpieczeństwa. Dyrektor banku, wezwany na

naradę, odradził szukać „Kuny”, by trzymał się od Jastrzębców z daleka. O to może chodzić, by Jastrzębiec poszukując „Kuny” naprowadził na jego ślad.

- Kto mógł wysłać gryps? - dopytywał się Jastrzębiec.

- Przesłuchujący pana oficer chciał, by pan to podpisał. Sam napisał.

Jastrzębiec wysunął spod kołdry nogi.

- Niechże pan nie rozczyła się nad sobą i zasłoni nogi - powiedział dyrektor. - Niech pan zajmie się dziećmi.

- One teraz są naszymi rodzicami - odrzekła Jastrzębcowa.

- Nas już nie ma.

Podzielili się z Łukaszem - Stefania zajmowała się matką, on ojcem. Matka wydawała się wahać - czy jest chora, czy nie. Potem jednak oboje zajmowali się rodzicami, wyznaczając sobie dyżury, które wypisywali na kartce na tydzień i wywieszali na framudze drzwi. Gdy pomagała bratu myć ojca, dziwiło ją, że ojciec się nie wstydzi.

Zwracało uwagę dzieci, że wróciwszy Jastrzębiec nie odebrał żonie sygnetu. Dalej tkwił na środkowym palcu matki. Zwyczajem rodzinnym nic zdejmowała go na noc. Ojciec zrzekł się pierwszego miejsca w rodzinie? Wycofywał się z życia? Świadczyłby o tym fakt, że nie chciał podpisać ułożonego przez Łukasza listu do szkoły rolniczej, gdzie odkładał podjęcie jakichkolwiek zajęć do wyzdrowienia. Jednak pochwalił list. Poprosił żonę, by oddała sygnet Łukaszowi.

Stefania dopiero w S. była pierwszy raz w sklepie spożywczym. Kupowanie żywności było dla niej absurdem. W Bezvodach wszystko „skądś się brało”. W sklepach nie można było prawie niczego dostać. Była ciągle głodna, pod wpływem strachu, że zabraknie jedzenia. Pierwszy raz w życiu chodziła do szkoły. Był to ostatni rok liceum. Zaskoczyło ją, że od choroby rodziców chętnie wraca do nauki. Zetknięcie się z masą obcych twarzy, konieczność przebywania w tłumie męczyła ją. Było trochę spóźnionych w nauce konspiratorów i partyzantów; sentymentalni i nie wyżyci erotycznie, prześladowali uczennice swoją adoracją. Jednego

aresztowano. Zamieszany był w to kolega z niższej klasy, który wygadał się, że widział u niego broń. Nikt nie podawał ręki temu chłopcu i omijano go, jakby był przezroczysty. Po tygodniu chłopak powiesił się.

Stefania biegła do domu. Wydawało jej się, że tylko oni we czwórkę coś rozumieją, że są lepsi od innych. Podobnie Łukasz wracał po szkole do domu i spędzał cały czas w pokoiku na poddaszu. Rozmawiano tam bez końca. Przeuczony i przemądrzały - łatwiej porozumiewał się z nauczycielami niż z kolegami. Koledzy podziwialiby go za jego umiejętność jazdy konnej, fechtunku, strzelania, języka francuskiego, ale on do tego nie dopuszczał. Machał ręką, wyśmiewał swoje umiejętności, koledzy czuli się dotknięci. W tajemnicy przed rodzicami i siostrą podjął się zrobić maturę rok wcześniej, przerabiał dwa lata w ciągu roku. Materiał zdawał przedmiotami. Nauczyciele utrzymywali dyskrecję, nie wiedząc, dlaczego mu na tym zależy; takie były czasy. On miał drugi cel: zobaczyć minę Stefanii, gdy spotkają się na sali w dniu matury.

Pewnego dnia na początku lata, w czasie którego nie wyjeżdżali i prawie nie opuszczali pokoju na poddaszu, usłyszeli czyjeś kroki i pukanie. Drzwi się otworzyły, nim odpowiedzieli. Był to oficer prowadzący sprawę Jastrzębca, „Kuny” czy Kurskiego - trudno było dojść, co było jej przedmiotem. Mimo upału był w długich butach, bryczesach i marynarce, pod którą rysował się pistolet. Usiadł koło łóżka Jastrzębca. Stefania nie wiedziała, czy zrobić herbatę i traktować go jak gościa. Ile razy chciała zza pleców porozumieć się z ojcem wzrokiem, oficer nagle się odwracał, wreszcie poprosił, by nie kręciła się i usiadła.

- Panie Jastrzębiec, niech pan pokaże nogi.

Jastrzębiec odsłonił kołdrę. Jego nogi wyglądały jak nogi woskowej figury czy umarłego.

Musi pan je rozruszać - powiedział oficer prowadzący sprawę. - Niech pan wyjdzie przed dom, to porozmawiamy. Albo niech wszyscy wyjdą.

- Przed żoną nie mam tajemnic.

- Ale ja mam.

- I tak powiem żonie.

- Pan stosuje przebiegłe formy obrony. Dawniej nie mógłbym nawet marzyć, by choć chwilę rozmawiać z panem Jastrzębcem, ale mnie na tym nie zależy. Nawet sprawia mi to przykrość, choć nie taką jak panu. Dla pana lepiej, by nikt nic słyszał naszej rozmowy.

- To brzmi nieprzyjemnie.

- A czy ja przyszedłem tu dla przyjemności?

Zapadło milczenie.

- Każę zabrać pana do szpitala więziennego. Pan położył się, bo pan nie umie zwyczajnie chodzić między ludźmi ulicą. Czuje pan obrzydzenie do tłumu, bo nie ma pan koni i bryczki. Panu trudniej opanować obrzydzenie niż strach. Gdy będę chciał wyrzucić na pana presję, nie będę pana straszyć, ale wsadzę do jednej celi ze szczurami i pajakami, oczywiście w przenośni. Chętnie spełnią swoją rolę.

- Niech się pan odwróci - powiedziała Jastrzębcowa. Wstała z pomocą dzieci, włożyła szlafrok i wyszła do kuchni, prowadzona przez nie pod rękę.

- To wszystko panu się nie uda - zaczął pracownik urzędu.

- Powiniennem pana zamknąć i rozpuścić wieść, że to przez „Kunę”, by zwabić go do S. Będzie chciał zorganizować odbicie pana czy rozbitcie więzienia. Co by dzieci powiedziały, gdybym im pokazał pańskie zobowiązanie? Im pan nie powiedział, jak się domyślam. Zacznie go pan szukać?

- Będziecie iść za mną - odrzekł Jastrzębiec.

- Zacznie pan działać, gdy się pan upewni, że nas nie ma. Był pan w Krakowie. Nie wchodzę w tę sprawę, która sama w sobie jest ciekawa. Ten kierunek, południe. Nie jak wszyscy, co wyjeżdżają za Wrocław, w tę zdziczałą przestrzeń w trójkącie Złotoryja-Lubin—Zielona Góra, czy do Szczecina, ale w Karpaty, przestrzeń, jak myślą, słabo przez nas kontrolowaną, też blisko granicy. Nie chcemy, by go ujęto w Czechosłowacji, ponieważ nie chcemy go w ogóle aresztować. Powie mu pan, że szukam z nim kontaktu na honorowych, wyznaczonych przez niego warunkach, w miejscu,

które wybierze, jak równy z równym, tylko my dwaj, tak by „Kuna” mógł sprawdzić, że jestem sam. Będę bez broni, a on może zachować swoją. Po spotkaniu pójdzie, gdzie zechce... Pan przecież chce go ostrzec, zawiadomić, że interesują się nim. Więc powtórzy mu pan wszystko, co mówiłem, łącznie z ostatnimi słowami, dobrze? To mi wystarczy.

- Ale ja nie mam władzy w nogach.

- Spodziewam się, że „Kuna” przed próbą wydostania się na Zachód jeszcze tu będzie.

- „Kuna” tu nie wróci.

- A ja panu mówię, że niedługo się zjawi - powiedział pracownik urzędu, wstał, skinął głową i wyszedł.

W tym okresie odbyła się „historyczna” - jak to potem określano u Jastrzębców - rozmowa na temat przyszłości Stefanii. Zauważyła, że nikt nie zapytał jej, dlaczego nie wysłała papierów na uniwersytet ani nie jedzie na egzaminy. Poruszyła sama ten temat, by zwrócić uwagę na swoje poświęcenie:

- Odkładam dalszą naukę do wyzdrowienia rodziców - oznajmiła.

- Ale czy my kiedy wyzdrowiejemy? - zaniepokoiła się pani Jastrzębcowa.

- Poświęcę swoje studia, by Łukasz mógł je skończyć. Najwyżej Łukasz przygarnie mnie, gdy będę stara.

Pani Jastrzębcowa rozplakała się, ale z innego powodu. Wolalaby, by usługiwał jej syn. Była na Stefanię trochę obrażona, córka drażniła ją. Przyglądała się jej uważnie, z odcieniem złośliwości. Stefania wydawała się jej piękna - przyznawała to, jakby nie była jej córką - i zarazem odpychająca. Skóra jej twarzy naciągnięta, gładka jak u lalki, która kosztowała przed wojną 90 złotych, lekko zadarty nos, szeroko rozstawione oczy, miała nieprzystępny, a nawet odpychający wyraz dla kogoś, kto nie znał Stefanii, a raczej dla kogoś, kogo ona nie знаła. Po maturze ścięła warkocze i sprzedała włosy. Jak mężczyzna włosy rozdzielała przedziałkiem. „Męska, oschła - myślała o niej matka. - Poświęca się nie z dobroci i miłości, ale z poczucia obowiąz-

ku. Do kogo podobna? Do kogo? Kogo mi przypomina? Kogoś mało znanego, może raz widzianego w życiu?”.

Sprzedawczynie w sklepach, klienci i przechodnie w S. odnosili się do Stefanii z mieszaniną triumfu, litości i ciekawości. Ona jednak najlepiej znosiła kontakty ze światem zewnętrznym. Traktowała to miasteczko jak obcy kraj, którego wygląd podawał w wątpliwość jej zdrowe zmysły. Gdy była mała, przyjeżdżała tu z rodzicami po zakupy, do banku, do dentysty, do kina. Teraz ukazało jej swoje rynsztoki, gruby bruk, uschnięte drzewka, podwórza, których istnienia nie podejrzewała. To harmonizowało z jej nastrojem, stanowiło tło dla prawdy, którą dopiero teraz poznawała, a której rodzice i Łukasz nie chcieli uznać. Zaczynały się między Jastrzębcami tajemnice z miłości, ze współczucia. Stefania wiedziała o wysiłku Łukasza w szkole i zdawała sobie sprawę, że Łukasz wierny jest postanowieniu rodziców co do jego losu, gdy był jeszcze dzieckiem. Milczano na temat wyboru kierunku jego studiów. Rodzice sądzili, że i on zostanie z nimi. Czy uważali, że żadne z nich nie będzie przyjęte na studia z powodu pochodzenia, i poświęcenie Stefanii było przyjmowane jako ozdoba, którą przesłaniała straszną konieczność?

Jastrzębcowa raz wspomniała, żeby lepiej Łukasz nie szedł na romanistykę, bo boi się, jak wypadłby jego francuski. Myśl, że syn właściciela ziemskiego mógłby być przyjęty na dyplomację, a potem wysłany na placówkę komunistycznego państwa, była szaleństwem. Nadzieję Łukaszowi dał Ryszard Kurski, gdy rozmawiał z nim o sprawie ojca, a także jego dawny profesor, pracujący w Ministerstwie Sprawiedliwości. „Już pod koniec wojny bałem się o wasz ród - mówił dawny profesor - że będziecie wypędzeni we własnym kraju i czeka was poniewierka emigrantów, którzy nigdzie nie wyjechali”.

Poradzili mu obaj, niezależnie od siebie, by zaświadczenia, które wydali ojcu, złożył przy papierach na wydziale dyplomacji oraz podał, że majątek opuścili już w czasie wojny, że była to resztówka, że ojciec akceptuje reformę. „Mu-

siałby pan z czasem wstąpić do partii. W zależności od mojej pozycji może mógłbym panu dać rekomendację” - powiedział Ryszard Kurski.

Łukasz brzydził się zyciorysem, który przygotował dla uczelni, ale wysłał go. Ojca przedstawił jako naukowca-rolnika, utrzymującego resztówkę dla celów doświadczalnych. „W czasie wojny przechowywaliśmy z narażeniem życia Żydów, ofiary terroru hitlerowskiego z pobliskich wsi oraz udzielaliśmy pomocy radzieckiej rozwietce płka «Siewierina»”. Tydzień przed egzaminem czytał gazety, by poznać język epoki.

Jadąc drugi raz w życiu do Warszawy w ślad za papierami, które wysłał w tajemnicy (rodzice nie wiedzieli, że zdał maturę, sądzili, że ma jeszcze przed sobą rok chodzenia do liceum), myślał: jego porażka wróci go rodzinie. Nienawidził Warszawy. Pamiętał prowadzone jak w malignie poszukiwania Ryszarda Kurskiego w zamkniętych gmachach wojskowych, próby dostania się do profesora. Warszawa nie była już wielka, wydawała się miasteczkiem kleconym na pustyni, wśród przepalonych skał.

Do akademii nauk politycznych z dworca były dwie ulice. Łukasz o tym nie wiedział i czekał długo na taksówkę. Taksówkarz wściekał się na niego, ale nie powiedział, o co, w dodatku zacinęły mu się drzwi w ponemieckim opłu i musiał wyjść, by je Łukaszowi otworzyć. Z ironicznym i pogardliwym uśmiechem ukłonił się, parodiując przy tym ukłon szofera, a Łukasz skinął głową, udając, że bierze to poważnie, i nie zamknął drzwi za sobą. Wtedy taksówkarz trzasnął nimi z całej siły.

Były jeszcze dwie godziny do rozpoczęcia się egzaminu. Mżył drobny deszczyk. Ruiny pachniały spalenizną. Ludzie, biednie ubrani, chodzili szybko jak nakręcone za mocno zabawki. Tłum zebrał się przed aulą. Łukasz nie zabrał nic, nawet płaszcz, by nie wyglądać na przyjeźdnego. Był to ostatni rok mody długich butów i bryczesów, Łukasz miał ojcowskie oficerki i spodnie ze zrzutowego brytyjskiego kamgarnu, do tego kanadyjską bluzę z UNRRA. Siedzący

tryb życia w czasie nauki spowodował, że przytył, był potężny - kwintesencja siły - i zwracał tym uwagę innych kandydatów, także swoim odosobnieniem, żołnierskim drylem. Prawdziwie mocni kandydaci byli w zwykłych garniturach z domów towarowych, z wełny mieszanej z bawełną i białych tenisówkach - to był styl komunistycznych organizacji młodzieżowych.

W wielkiej auli zebrały się setki - Łukasz nie widział nigdy tylu ludzi naraz - kandydatów na trzy wydziały uczelni. Rozsadzono ich według jakiegoś porządku. Łukasz otrzymał numer 146. Nie spodobało mu się numerowanie ani miejsce, dalekie, w ciemnym kącie. Gdy zapalono światła, było za jasno. Funkcjonowało przedwojenne urządzenie - ekran, na którym wyświetlono tematy. Obcość tego miejsca była niewysłowiona. Łukasz zdał sobie sprawę z tego, że nie nadaje się na dyplomantę. Nie wytrzyma dnia w obcym kraju. Wydawało mu się, że nie rozumie tematów. Przytłoczony tą myślą, nie zdążył ich przepisać. Ekranik zgasł. Wszyscy wokół Łukasza pochylili głowy i z gwałtownością zaczęli pisać. „Muszę stąd uciekać” - zdecydował, wstał i zaczął wędrować ku wyjściu przez wielką salę. Od stołu komisji, przykrytego zielonym sukniem, patrzono na niego. Jak sędziowie potwierdzali w milczeniu wyrok, który wydał na siebie. Nikt nie zatroszczył się o niego, nikt go nie zatrzymał. Jakiś chłopak, zobaczywszy go idącego, zerwał się i też ruszył ku drzwiom. Za drzwiami nie spojrzeli na siebie, Łukasz szedł długimi krokami gdzieś na oślep, a tamten zobaczywszy, jaki kierunek wybrał Łukasz, poszedł w przeciwną stronę. „Czy wyprawa warneńska była wojną krzyżową?” - przypomniał sobie pierwszy temat. Wrócić? To z łatwością napisałby na piątkę. Znał szczegóły, włącznie z zaginięciem ciała króla i dziwnymi wieściami, jakie krążyły na polskim dworze. Opowiedział mu o tym jego profesor w czasie wojny. „Dlaczego wydało mi się na sali, że wszystko przepadło? Mógłbym pójść do komisji, wziąć tematy, gdy zgasła tablica, wytłumaczyłbym, że nie zdążyłem przepisać, zmęczony podróżą”. Zawrócił, szedł szybko, ale przed szkołą przypo-

mniał sobie, że był zakaz wychodzenia, nawet za własną potrzebą. Jeszcze raz zawrócił. Nauczony chodzić na przełaj przez las, trafił z tego miejsca wprost na dworzec. Od początku był pewien, że go nie przyjmą. Chciał przeżyć klęskę, ale stchórzył przed dodatkowymi drobnymi cierpieniami, które miały temu towarzyszyć, więc je skrócił i wymierzył sobie karę, która i tak miała go spotkać. „Sokrates mógł uciekać, ale mógł też wzbraniać się przed wypiciem cykuty, odwracać głowę, szarpać, a i tak by ją mu włali”.

Gdy nadszedł rok szkolny, wychodził z domu rano, punktualnie, przepelniony szczęściem, że przegonił czas i teraz ma darowany, w formie czystej, wydestylowanej, bez zdarzeń, najcudowniejszy rok od wybuchu wojny. W kwietniu powiedział rodzicom, że jest przerwa w szkole dla intensywnej nauki własnej przed maturą, a on wyjeżdża do kolegi, będą się uczyć i przepytować.

Na rynku w S. była nieoficjalna giełda robotników. Łukasz zatrudnił się w ekipie cieśli, dekarzy, gontarzy, studniarzy i murarzy, którzy ruszali na wieś w kierunku Wisły budować domy. Odbudowywano całe wsie, spalone w czasie wojny, rząd przydzielał kredyty i materiały. Łukasz pracował we wsi Niskolasy jako pomocnik dekarza, na wysokości - jak mówiono - wśród zapierających dech krajobrazów przypominających ukochaną wieś. Majstrowie nocowali po chatach, pomocnicy w stodole. Pracowali po czternaście godzin dziennie. Nikt nie pił, wszyscy składali pieniądze. Łukasz już w drodze przewano paniczem. Poważanie zdobył sobie swoją siłą, mógł dużo znieść, ale uważano go za trochę głupiego, bo się nie oszczędzał, jakby praca sprawiała mu przyjemność. Wszystkich zadziwiał pierścień na jego palcu. „Falszywy czy prawdziwy?” - zgadywali. Do pracy Łukasz zdejmował go i nosił w woreczku na piersiach, uszytym mu przez córkę gospodarza, w którego stodole mieszkali. Pytała Łukasza: „To pan pewnie już zaręczony?” - oglądając pierścień i dotykając lekko jego ręki. Gospodarz zamykał ją na noc na klucz. Nie miał siły wyrzec się zysku za nocleg w stodole, a obecność siedmiu młodych mężczyzn w obejściu

przerażała go. Dziewczyna skarżyła się Łukaszowi, że zamknięta w dusznym pokoju z okiennicami nie może spać. „Ja wiem, że pierścień jest prawdziwy. Pan jest pan z pańów”.

Na końcu wsi było wesele, ale pomocnicy nie mieli się w co ubrać, by iść, popatrzeć z daleka. Mieli tylko drelichy. Łukasz zabrał garnitur, ale skoro koledzy nie poszli, nie poszedł i on. Śmieszne byłoby Jastrzębcowi gapić się na chłopskie wesele. Słuchali dalekiej muzyki, smutni, rozdrażnieni. „Tak lepiej, zabiliby nas miejscowe chłopaki” - mówił jeden. Dziewczyna z ich obejścia poszła. W owych czasach w tych okolicach cała wieś była zapraszana.

Nad ranem obudziła ich eksplozja. Wybiegli przed stodołę, muzyka ucichła, tam, gdzie było wesele, wybuchł pożar i potem zaraz seria ciężkich detonacji szarpnęła powietrzem. Pobiegli w tamtą stronę. „Amerykanie lądują! - wołał ktoś. - Trzecia wojna światowa!” W drodze zderzyli się z uciekającymi gośćmi weselnymi. Wśród nich była córka gospodarza. Pomocnicy pobiegli dalej, Łukasz wrócił z nią. Bała się, chowała głowę w jego ramię, jak małe dziecko.

- Co to było? - pytał.

- Dziewczyna rzuciła chłopca, z którym chodziła w czasie wojny, bo wrócił z Niemiec, z robót, jej dawny ukochany. Z nim brała ślub. Tamten nagle zjawił się i krzyknął: „Cisza, orkiestra! Ja chcę spać, a wy hałasujecie”. Wyprowadzono go. Nawet się nie opierał, a potem wrócił z pancerfaustem i rzucił. Trafił w dom, który zapalił się. Tam było pełno granatów, zaczęły wybuchać, odłamki zraniły dużo ludzi.

- Gdzie twoi rodzice? - spytał Łukasz.

- Są przy rannych ludziach.

Ostatni kawałek drogi biegli trzymając się za ręce. Dopadli sadu. W łunie pożaru Łukasz całował jej piersi. Dziewczyna odepchnęła go, położyła się i szepnęła:

- Szybko, szybko, bo ojciec wróci i sobie o mnie przypomni.

Pożar trwał długo. Nie gaszono go widać, bojąc się zbliżyć. W miesiąc skończyli dom i dostali wypłatę. Po trzech

dniach urlopu mieli się spotkać w innej wsi, przy nowej pracy. Tego wieczoru było pijaństwo koło nowego domu. Zajrzała dziewczyna z ojcem.

- Ty możesz zostać - powiedziała. - Dom, w którym było wesele, chcą odbudować.

Łukasza pociągała myśl, że na całe życie zostałyby we wsi Niskolasy, zginąłby dla rodziców i siostry na zawsze. „Zapusiłbym brodę i wąsy, jak Mosiek-Odmieńczyk, i nikt by mnie nie poznał”. Zauważył, że gospodarz pozwala dziewczynie z nim rozmawiać. Zaniepokoił się, że może dziewczyna jest w ciąży. Przepił do niej parę razy, do kolegów, którzy o świcie opuszczali wieś. On nie spieszył się. Gdy obudził się koło południa, był sam w stodole, chłopcy już odeszli. Ale odczuł jeszcze jakąś inną zmianę, której początkowo nie mógł umiejscowić, a potem dotknął piersi i zerwał się nagle: nie miał woreczka z sygnetem i całym zarobkiem. Jego podejrzenie padło na chłopaka, który dopytywał się ciągle o pierścień. Pobiegnął do chaty. Gospodarz z rodziną jadł obiad. Powiedział Łukaszowi:

- Nasza wieś nie ma nic do tego. Jesteście wędrusy, to się okradacie.

Łukasz, zrozpaczony, usiadł na ławeczce na podwórzu.

Wyszła dziewczyna.

- Powiem ci coś, ale jak przysięgniesz, że wrócisz mi opowiedzieć, czy odzyskałeś wszystko.

Łukasz przysiągł.

- Jeden z was oświadczył mi się. Powiedział, że da mi piękny pierścień, mówił, że ma gospodarkę we wsi Ludna Szlachcka. To jest dziesięć kilometrów stąd. Przy drodze na rozstajach, w dawnym biurze cukrowni mieszka milicjant. On może ci pomóc.

Łukasz biegiem dotarł do rozstaju dróg, gdzie stał niski, murowany, na biało malowany dom. W ostatnim pokoju, na żelaznym łóżku, spał milicjant. Na krzeselku leżała pepesza. Milicjant zerwał się, chwycił za pepeszę i wycelował w Łukasza. Łukasz powiedział, o co mu chodzi. Milicjant wstał, ubrał się w wojskowy mundur z granatowymi wyłoga-

mi, przewiesił pepeszę przez szyję i z głębi domu wyprowadził rower. Kazał Łukaszowi usiąść na ramie i pojechali polnymi drogami. Z gór zjeżdżali na rowerze, pod góry szli. Koło wsi Ludna Szlachecka czekali, aż zapadnie zmierzch. W ciemnościach obudzili gospodarza, który mieszkał w pierwszej chałupie z brzegu. Milicjant spytał go, który ze wsi jest pomocnikiem budowlanym i wrócił dziś z robót. Chłop wybiegł na drogę, by pokazać im dom. Milicjant powiedział:

- Najpierw sprawdzimy w stodole.

Odłączył od roweru latarkę na baterię i podał Łukaszowi.

- Pan świeć mu w oczy, ja zrobię resztę.

Otworzyli wierzeje. Na zapolu rozległ się szelest słomy, Łukasz zaświecił tam i zobaczył rozczochraną głowę chłopaka, którego szukał. Wskoczyli z milicjantem na zapole i Łukasz przystawił chłopakowi lampkę do oczu, a milicjant pepeszę do ust. Chłopak rozplakał się. Woreczek miał w skrytce. Trzeba było przejść na czworakach tunelem między snopami żyta. Na końcu była skrytka wielkości pokoju, duża, ciemna. Barłóg, kozuchy, zapasy jedzenia z UNRRA, karabiny, skrzynki z trotylem, amunicja, granaty, wyprawione skóry; pod nimi leżał woreczek Łukasza. Był sygnet, zwitek jego pieniędzy i kilka innych - ze sto tysięcy złotych. Łukasz schował to wszystko szybko do kieszeni. Odczuł radość, dziką, niewysłowioną, że był do tego zdolny, więc mógł wrócić do normalnego życia, nawet zacząć studiować, wszystkie drogi są przed nim otwarte!

Wyczołgał się korytarzem, zostawiwszy milicjanta i złodzieja.

Szedł polami. Nad ranem doszedł do potoku. Woda była lodowata, głęboka. Łukasz zanurzył się, próbował pływać. Przebrał się w garnitur, roboczy strój wepchnął pod kamień, i ruszył w kierunku dwu rzędów topoli na horyzoncie. Tam była droga na południe, ku węzłowej stacji. W nocy odjechał do Wrocławia.

Pod wpływem pobytu na wsi, przebywania w rozległych przestrzeniach wróciła tęsknota za światem, za dalekimi

krajami, ustąpił lęk przed obcością, który nawiedził go w auli akademii.

Na placu Nankiera za zebrane pieniądze kupił dolary. Z Wrocławia zabrał się ciężarówką do granicy czeskiej. Był pewien, że „Kuna” jest we Włoszech z Andersem. Chciał dostać się do Czech, a dalej do Niemiec i Włoch. Uważał, że mówi po francusku jak Francuz. Nauczył się układania dachów. Znal swoje przyszłe życie: będzie dekarzem, Francuzem. Miał kapitał na pierwsze tygodnie. Jako turysta i urlopowicz, przedstawiając się jako student z Warszawy, wynajął pokój we wsi, która leżała dwa kilometry od granicy.

Zapędził się spacerowym krokiem, udając, że tego nie zauważył, przekroczył miejsce, które było granicą, i szczęśliwy szedł w dół, gdy prosto na niego wyszedł strażnik i krzyknął: „Wracaj, bałwanie! Szybciej, bo puszcze serię”. Właściciel domu powiedział:

- Wiem, po co pan przyjechał, a jak ja wiem, domyślą się i inni. Nic pan tak nie zdziała, tylko pana aresztują. Albo przestanie pan łazić w stronę granicy, albo wracaj pan, skąd pan jest.

Po kilku następnych dniach Łukasz ubłagał gospodarza, by podał mu sposób, jak przejść granicę. Miał czterdzieści tysięcy na ten cel i gospodarz uznał, że to wystarczy. Przywodził przemytnika, który wziął zadatek i spytał:

- Jak pan przejdzie drugą granicę, do Austrii albo Bizonii?

- Mam bezcenny pierścień.

- Nie wolno panu tu wrócić i szukać tego przejścia od czeskiej strony. Mogą pana ciuknąć jako szpiega.

Trzykrotnie nocą wyruszali i wracali. Po chmurnym wieczorze jaśniało, czerwcowe gwiazdy świeciły silnie. Potem na granicę przyjechały wojska wewnętrzne i rozstawiono żołnierza przy żołnierzu, a okoliczne wsie przeczesywały patrole. Gospodarz w imieniu przemytnika oddał zaliczkę i kazał Łukaszowi się wynosić. „Boże, dzięki ci za znak. Jak zuchwały byłem, chcąc opuścić najbliższych w nieszczęściu”.

Wrócił do S. Matka, ojciec i Stefania przyjęli go radośnie,

o nic nie pytając, dobrzy dla niego, jak nigdy nie byli.

Łukasz nie wiedział, czy myślał, że rzucił szkołę nie zrobiwszy matury, czy Stefania powiedziała wszystko rodzicom. Matka szczególnie cieszyła się z jego powrotu i prosiła, by był stale przy niej. Łukasza bolało, że matka nie interesuje się jego nauką, przyszłością.

- Boję się-szepnęła.

Nie wyjaśniła, o co chodzi. Powstrzymywała się całą siłą, by nie wyjawić mu podejrzeń, skojarzeń czy złudzeń, które ją dręczyły. Długo nie mogła uświadomić sobie, kogo przypomina jej córka Stefania, czy nie chciała dopuścić tej myśli: córka Stefania wydawała się jej podobna do bandyty, który kazał jej wejść na krzesło i założyć sobie stryczek na szyję. Do Łukasza zwracała się po francusku. Recytowała pierwsze strony „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta, „Iluminacje” Rimbauda. Powtarzała ukochany wiersz „Panienska z prowincji” Claude’a Mercanta:

Cudna panienska z prowincji,
nie odnaleziona, nie odgadniona
przez nikogo, a przede wszystkim
przez was, próżnych i ślepych.
Nie odkryta, zapomniana, nie pamiętana
przez kogoś, dla kogo,
narodziła się i była stworzona.
Boże, dlaczego nie wejrzałeś
na moją prośbę i nie
pozwoliłeś mi jej odnaleźć,
nim stała się stara i umarła?

- Zanosilo się, że tak będzie ze mną - mówiła matka do Łukasza. - Drżałam recytując ten wiersz. Wracając z kościoła ściszałam książeczkę do nabożeństwa, aż stała się wilgotna. To było po wczesnej mszy, z której jechało się w cieńcu alei ogromnych lip. Byłam szczęśliwa z powodu jaskrawego słońca, młodości, powiewnej sukienki, koni, które rżały i prychały, i dziękowałam Bogu za milczenie woźnicy,

że nie przerywa mi tego szczęścia i cierpienia. To było ostatnie lato niedoli. Następnego roku wasz ojciec przyjechał na praktykę do nas. Teraz, synu, podaj mi nocnik i będę spała.

Cichutko szeptała „si-si-si-si”, a potem powiedziała:

- Synu, mów „si-si-si”. Będzie mi łatwiej zrobić.

Stefania objęła pracę w fabryce, przy ważeniu wagonów.

Łukasz stał się oficjalnie jedynym opiekunem rodziców, by uniknąć wojska. Synowie obcych klasowo wcielani byli do brygad roboczych w kopalniach. Pracowali pod ziemią i wielu z nich ginęło. Chwyтали się przewodów pod wysokim napięciem, jadąc taśmociągami, zmęczeni usypiali i walili się z węglem w dół, padali pod źle podstemplowanymi chodnikami, nieudolnie wysadzanyścianami.

Wydawało się, że Bezwody zapomniały o nich, gdy zjawił się Mosiek-Odmieńczyk z prezentami: bimbrem, jajkami, śliwkami, chlebem i dwoma żywymi kogutami. Po dwugodzinnym kołowaniu - tyle w Bezwodach przygotowywano obojętną rozmową do poruszenia ważnych spraw - Mosiek-Odmieńczyk wypalił wszystko bezwodziem zwyczajem nagle i bez osłonek:

- Pola Kurskich ugorzeją, tarniny się zapuszczają. Wielu chce kupić, ale mówią, że Staszek Kurski w zamku wcale nie zginął od granatów, bo nocował w pokoiku na wieży, nawet wiadomo, że żyje jako Stanisław Górski i podobno napisał do panienki Stefanii list... Ale... wstydzę się dalej mówić... jakoby z oświadczynami, że panienki nie zapomniał, przepraszając za to, co było w czasie wojny, błagając, by go już nie odrzucała. Więc jeśli podał adres zwrotny, prosimy uprzejmie, by podać w dyskrecji albo by państwo napisali, że ludzie w Bezwodach chcą kupić ziemię.

Łukasz wybuchnął śmiechem. Było w tym echo śmiechu starego Jastrzębca, który spowodował tyle zła. Stefania spurpurowiała.

- Jak pan może w coś takiego wierzyć! - krzyknęła na Mośka-Odmieńczyka.

- Podobno na poczcie odkryli list do państwa i odczytali.

- Taki list nigdy do nas nie dotarł. Ziemia przypadła Ryszardowi Kurskiemu, który jest w wojsku w Warszawie. Miał się jej zrzec, ale czy mu się udało, nie wiem - powiedziała Stefania.

- Pan by nie pojechał z nami? - zwrócił się Mosiek-Odmieńczyk do Jastrzębca.

- Mam sparaliżowane nogi, bez czucia, mięśnie mi zanikają. Nie umiem już chodzić.

- Ale jak mierniczy skrzywdził Kurskiego, ojca Ryśka, pan przemawiał za nim, broniąc go przed własnym bratem. Teraz pan mógłby wpłynąć na Ryśka.

- Źle zrobiłem, że się wtrąciłem. To mogło być początkiem żalu Kurskich do mnie. Zrozumiałem to po dwudziestu latach, kiedy na nic mi się nie zda.

- Ojciec - wtrąciła Stefania - miał Chrystusowe, samozwańcze poczucie odpowiedzialności za innych. Nie upoważniony, martwił się, gryzł czymś nieszczęściem. Uważał, że odpowiada za całą Polskę, za Europę, za świat.

- Pan Jastrzębiec zawinił, bo za szlachetny był - rzekł z odcieniem krytyki Mosiek-Odmieńczyk, nie dostrzegając, że mówi jak o umarłym. - Powiedzieć, co z drzewami i dworem państwa?

- Nie! Nie trzeba! - zawołał Jastrzębiec.

Chłop poszedł, a Łukasz zwrócił się do Jastrzębca zmienionym głosem:

- Ojczy...

- Słucham - odrzekł Jastrzębiec.

- Jeśli tam coś wstrętnego dzieje się z naszym domem ... Coś z nim wyprawiają, pójdę w nocy i spałę.

- Ani się waż, synu! Co mamy na tym świecie, dostajemy nie na własność, a w użytkowanie. Komuś dom nasz służy pewnie resztkami sił, ale jest i jego dach chroni kogoś przed bezdomnością. Choćby to byli twoi wrogowie. Gryzie cię mucha; pomyśl, ona chce żyć, a nie ma innego wyjścia, tylko musi pić twoją krew.

Stefania spostrzegła, że nie wypowiedziane słowa Mośka-Odmieńczyka zrobiły na nich bardziej przygnębiające wra-

zenie, niż gdyby dowiedzieli się, co się stało. Była przekonana, że ojca dobrymi wiadomościami nie można pocieszyć, bo odgania je i pograża się w smutku. Tylko inna nieprzyjemna wiadomość odrywała jego uwagę od pierwszej i prawem kumulacji: „Nareszcie jest beznadziejnie”, skłaniała do uśmiechu.

Zapomnieli o istnieniu Kosa i że Stefania może go spotkać w hucie. Stefania opowiedziała im, jak Kos inwigilował ją, podsłuchiwał, o czym rozmawia z robotnikami, odwoływał ich na bok i mówił, by jej nie ufali.

Rodzice kazali Stefanii się zwolnić, by uchronić ją od szykan. Stefania przejęła opiekę nad rodzicami. Niebezpieczeństwo powołania Łukasza do wojska minęło, ale dosięgnął go powszechny obowiązek pracy. Przyszły nakazy i Łukasz objął - nie bez ukrytego zamiaru - pracę robotnika w hucie. Chciał zemścić się na Kosie za prześladowanie siostry. Nie musiał nic robić, by poczuć smak zemsty. Kos został zdegradowany na placowego za krytykę „obecnych porządków” i namawianie robotników do buntu w imię twardszej linii politycznej.

Gdy zobaczył obok siebie Jastrzębca, dostał napadu wściekłości. Krzyczał, że trzeba Polsce Dzierżyńskiego, by wyrwał z korzeniami wrogie nasienie. Łukaszowi trudno było coś zarzucić: silny, milczący, doprowadzał Kosa do szaleństwa, aż kazano Łukasza zwolnić „dla zażegnania konfliktów na terenie zakładu”. W uzasadnieniu napisano, że powodem są zbyt niskie kwalifikacje zawodowe Łukasza, choć był zatrudniony jako robotnik niewykwalifikowany. Wydział zatrudnienia, ze względu na umiejętność Łukasza jazdy konnej, skierował go do obsługi beczkowozu jeżdżącego w górę miasta, gdzie nie było wodociągów, a studnie przez lato były suche. Jeden z koni obsługujących beczkowiez był znarowiony. Bez jeźdźca na grzbiecie nie chciał ciągnąć. Był kiedyś wierzchowym koniem i mścił się za swój los. Łukasz dosiadał go i w zgodzie jechali z wodą w górę miasteczka. Gdy przeprowadzono wodociąg, beczka wozila gnój, ale były to czasy, gdy przymus pracy zelżał. Po dymisji

Łukasza trzeba było oddać konia do rzeźni.

Dzieci otrzymały niewielką subwencję na pielęgnowanie rodziców. Stefania zaczęła tkąć dywan, siedząc przy chorej matce. Całe tygodnie trwało, nim ukazał się chaber, kąkol, dziewanna, mak, znienawidzone przez ich ojca chwasty, które tak zwalczał, a które one tak kochały, że aż stały się symbolem ich samych, uosobieniem zła. Matka czasem podnosiła się z poduszek i patrzyła na Stefanię podejrzliwie:

- Ale ty mnie nie pilnujesz? Czasem odnoszę wrażenie, że udajesz, że nie wierzysz w moją chorobę, tylko trzymasz mnie w łóżku...

Jastrzębcowa słyszała czasem szeptę dochodzące z korytarczyka. Przychodził były dyrektor banku. Jastrzębcowie spali w dzień i nie wolno było ich budzić. To znów wybuchła epidemia grypy i jako długotrwale izolowani, zarażali się wirusami, które przynosili ze sobą odwiedzający. Ciągłe obawiali się zapalenia płuc. Tak długo już leżeli. Czasem były dyrektor musiał czekać jak na posłuchanie. Przypominało to czasy Bezwodów, gdy osiemnastoletni Wałek, awansowany ze stajennego na pokojowego i swego rodzaju sekretarza, nie dopuszczał do państwa gości, by okazać, jak jego państwo są ważni. Przed wejściem dyrektora do pokoju za każdym razem instruowano go, by nie wymieniał nazwy Bezwodów, nazwiska Kurskich, nie mówił o „Kunie”, Urzędzie Bezpieczeństwa, sytuacji politycznej w kraju ani na świecie.

- To o czym mam mówić? - pytał były dyrektor.

- Z mamą o poezji francuskiej. Ojciec się nie odzywa.

Gdy wchodził, Jastrzębcowa witała go żartując z dzieci:

- One mają nas w pełnej władzy, przenoszą nas jak lalki, wmawiają, że jesteśmy chorzy, by terroryzować nas swoją dobrocią.

Były dyrektor zapytał, nie upewniwszy się przedtem, czy wolno:

- Kiedy łaskawi państwo mają nadzieję wyzdrowieć i zacząć po trochu wstawać?

Dzieci zaczęły mu dawać gwałtowne znaki, by dał spokój.

Było za późno. Jastrzębiec, leżąc nieruchomo, zareagował niecierpliwie, z gniewem:

- To nie zależy od nas, drogi panie. Ja nigdy nie wstanę. U mojej żony widać powolną poprawę.

- Mój kochany, jaki jesteś dobry - szepnęła pani Jastrzębcowa i dawała dyrektorowi znaki, że nie można rozpraszać złudzeń Jastrzębca.

Były dyrektor wychodząc od nich poczuł pokusę, by się też położyć i do końca życia zostać w łóżku. „Nowa, piękna forma życia” - myślał. Zatelefonował do doktora i umówił się na późny obiad w miejscowej restauracji. Niby mieli coś postanowić w sprawie Jastrzębców.

- Byłem przerażony egoizmem starych Jastrzębców - mówił były dyrektor banku - i chciałem ratować dzieci. Potem zrozumiałem, że Jastrzębców nie wolno ratować. Byłoby to zbrodnią. Czy dzieci tak bezgranicznie się poświęciły i oddały życie rodzicom, czy rodzice dostarczyli im pretekstu, by mogły chronić się przed tym, co im zagraża?

- Początkowo - odrzekł doktor - Jastrzębcowie w ten sposób protestowali. Karali świat tym, że nigdy ich nie ujrzy. i oskarżali świat czy ustrój o to, że ich zabija.

- Gdyby pan cofnął swoje zaświadczenie, czy to by mogło zmienić sytuację? - spytał dawny dyrektor.

- Nie. Jastrzębcowie doczekali się, że choroba, której pragnęli, naprawdę nastąpiła.

- Jak długo mogą żyć?

- Mogą trwać latami. Jeśli umrą, dla dzieci byłaby to klęska. Podświadomie stwarzają im idealne warunki, bo ich wyizolowany byt jest dalszym ciągiem odcięcia w lasach Bezwodów.

- Kiedyś ośmieliłem się młodemu pyszałkowi powtórzyć słowa jego własnego ojca: „Szlachectwo zdobywa się w każdym pokoleniu od nowa”. Żeby być godnym klejnotu, którym się pyszni, we wrogich czasach powinien przebijać się pod prąd, by jak pstrąg złożyć swoje jajo. „Ty jesteś mniej szlachetną rybą, która dobrze się czuje, gdy płynie z prądem. Prąd, któremu dajesz się znosić, jest brudny i zraża cię

do życia”. Odpowiedział: „Tak, tak jest”.

Paraliż postępował u Jastrzębca w górę, obejmując dół jamy brzusznej i narządy wydzielania, w wyniku czego wskutek ogólnego zatrucia Jastrzębiec zmarł. Na pogrzeb męża Jastrzębcowa wstała. Trzymała się świetnie, choć dzieci nie tyle ją podtrzymywały, co unosiły za ramiona. Wypatrywała ludzi z Bezwodów. Bolało ją, że było ich mało. Przyszli ci, którzy przenieśli się do S. Dziwiło ją, że z jej i męża rodziny jest mało osób. Nie wiedziała, że jej siostry nie żyją. Dzieci ukrywały tę wiadomość.

W grupie pogrzebników, stojących z dala, pod drzewami, Jastrzębcowa zauważyła oficera Urzędu Bezpieczeństwa, który kiedyś był u Jastrzębca. Wyglądał młodo, tyle że utył i zaczął zdradzać pewną skłonność do ekstrawagancji w ubiorze. Miał pomarańczową koszulę, śliwkowy krawat, piaskową marynarkę i spodnie w biało-czarną pepitkę. Podszedł jako ostatni ze składających kondolencje.

- Tak mi przykro... Robiłem, co w mojej mocy, by uchronić pana Jastrzębca.

- Dziękujemy - rzekła Stefania. - Do widzenia panu.

- Widzę, że „Kuny” nie było na pogrzebie i chyba nawet nikogo nie przysłał.

- Nie widzieliśmy „Kuny” od lat - odrzekła Stefania.

Po pogrzebie pani Jastrzębcowa wypila w kuchni herbatę, oglądała z zadowoleniem, jak dzieci urządziły kuchnię dla siebie. Była tu dwanaście lat temu.

- Nie czuję, że wasz ojciec nie żyje-powiedziała. - Przeciwnie, mam wrażenie, że jeszcze go nie znam, jestem młoda i wszystko jest przede mną. Nie, że odszedł z mojego życia, ale jeszcze nie przyszedł. Nie jest to zapomnienie o ojcu, ale stan nieznania go, wielka nadzieja.

Gdy zaprowadzili ją do pokoju i zobaczyła puste łóżko, wybuchnęła płaczem, płakała niepokojąco długo, tuliła się do córki. Ale potem spała dobrze. Obudziwszy się, wołała do dzieci:

- Kiedy słyszę, jak krzątacie się w kuchni, wydaje mi się, że to wstała moja matka i chodzi, wydając rozporządzenia

służbie, i zaraz wejdzie. Gdy wchodzicie wy, choć jeszcze nie może być was na świecie, również się cieszę: nie ma zmartwienia, bo nie ma różnicy między kimś, kto umarł, a tym, co jeszcze się nie narodził.

Kilka miesięcy po śmierci Jastrzębca zaczęło się ustalać, że Jastrzębcowa budziła się wcześniej rano jako małe dziecko, radosne, rwące się do życia. Umiała już mówić, ale była jeszcze niesamodzielną. Stefanię traktowała jako pokojówkę Franię i wołała, by odsłaniać okno i myć ją. Bliżej południa uważała się za dużą dziewczynkę, bardzo kochającą swą matkę i Stefania z Frani zmieniała się we własną babkę.

- Mamo, jakaś ty dobra dla mnie! Pozwalasz mi dłużej być malutką - całowała Stefanię w rękę. - Mamo, ile rzeczy wydarzyło się po twojej śmierci. Będę miała dwoje dzieci. Będą dobre dla mnie. Mojej córce nie ułoży się życie. Była bardzo młodziutka, gdy pewien fakt rzucił na nią cień, nie mogę mówić, bo boję się, że ona tego słucha, choć nie wiem, skąd by się wzięła.. Jak długo będziesz znowu żyła, mamusińku najdroższa? Już nie umrzesz? Na stałe wróciłaś? - płakała i tuliła się do ręki Stefanii. - Ile ty masz lat, skoro ja już jestem stara? Czy nie męczy cię to, że twoje dziecko jest stare? Czy ci nie ciąży? O Boże, znowu się zlałam. Zmień mi pieluchy. Ale jak to jest, że ja znam słowa, mówię, a jestem niemowlęciem?

„Co będzie, gdy matka zacznie uważać mnie za samą siebie, widzieć siebie z zewnątrz? - myślała Stefania. - Co stanie się ze mną samą?”

Dzień stawał się miniaturą życia Jastrzębcowej, z biegiem godzin posuwała się w czasie o lata. Koło drugiej oświadczał się jej student, który przyjechał w jej strony na wakacje. Wiedziała, że w studencie kocha się jej przyjaciółka, Konstancja. Miała jednak pokusę, by przyjąć jego oświadczenia, tak pusto było w tych stronach, gdzie żyła, i nieciekawie.

- Panie Józefie - mówiła do Łukasza matka - dla pana dobra muszę powiedzieć, że jest ktoś piękniejszy i lepszy ode mnie. To Konstancja-i wskazywała na Stefanię.

Dzieciom wydawało się niemożliwe, by ów student oświadczał się ich matce przy przyjaciółce, ale знаły dalszy ciąg. Usłyszawszy tę rekomendację, student zadziwił się, że nie dostrzegł Konstancji, i pokochał Konstancję. Oddała go przyjaciółce. Dzięki swojej wspaniałomyślności była wolna, gdy poznała ojca. „Wiecie, czego się boję? Że nie zniosę szczęścia i umrę w dzień ślubu i suknię szyją mi, by mnie położyć w trumnie”. Rano, gdy goście zaczęli się zjeżdżać, dostała wysokiej gorączki. Ślub odłożono na kilka miesięcy, tak była wyczerpana chorobą. Czas jej choroby Jastrzębiec spędził przy niej, opiekował się nią nie dopuszczając służby.

W tonie Jastrzębcowej zaczęło ujawniać się zmęczenie powtarzaniem życia, które już raz przeżyła. Tylko w środku nocy, gdy doganiała rzeczywisty czas, poznawała Stefanię i Łukasza, pytała ich, co robią obecnie, czy się uczą, czy może mają ciekawą pracę, czy dalej ją kochają. Przyjechali do niej w odwiedzin. Wątpiła, czy ich naprawdę widzi.

- Czy tu był mój syn Łukasz? Teraz go nie widzę, więc musiało mi się wydawać.

Stefania wybiegła po Łukasza i zaskoczyła go, gdy jadł kleik matki z kaszy manny. Popijał go wódką z butelki. Szarpnęła nim i zaciągnęła do pokoju. Matka mamrotała:

- Hokus-pokus i już jest Łukasz... Jak z pudełka... Powiedz mi, Łukasz, to ty jesteś, jesteś u matki? Twoje świadectwo zadecyduje. Wiem, że odpowiesz, że jesteś. Wszyscy tak odpowiadają. Mogę cię nawet dotknąć i będę pewna, że naprawdę dotykam, czuję materiał koszuli.

Łukasz uściśnął jej małą, delikatną rączkę.

- Mów wiersz, którego cię nauczyłam, wtedy będę miała pewność. Nikt inny nie może go znać. No, ale nieprawdziwy Łukasz, który mi się zdaje, może wiedzieć wszystko to co ja.

Stefanii przeleciała myśl, że poety Mercanta nie było i że matka w chwili melancholii wczesnej młodości, urzeczenia obcym językiem sama go napisała.

- Skoro raz byłeś i okazało się, że cię nie ma, to i teraz ciebie nie ma. Męczy mnie ta zjawia. A kysz, wyjdź! Won, zjawo!

Lukasz posłusznie wyszedł.

Nad ranem matka przeganiała czas. Nadchodziły późniejsze lata, wydawało się jej, że już nie żyje, że jest niewidzialna.

- Dawno nie żyję, ale wy się dowiecie, gdy umrę, a nie z góry, jak ja. To wy umieracie, gnijecie na moich oczach, malejecie. Nie opuszczajcie mnie.

Nic można jej było obudzić z tego snu, była w nim uwięziona, dopóki nie przeszedł w prawdziwe uśpienie, którego zjawy, marzenia i majaki wprawiały ją w stan błogości, aż ze szczęścia budziła się jako dzieciątko.

- Wiem, jestem poważnie chora, ale wyzdrowię i ceremonia odbędzie się w drugim terminie. Wpadnie chłopiec na oklep, który na górze wypatrywał, i zawoła: „Pan Jastrzębiec jedzie! Poprzedza go brat konno i służący jako chorąży. Trzyma sztandar z Jastrzębcem”. Podjeżdża w małym wolancie. Powoli wychodzę, jeszcze słaba, na ganek. Mam nową suknię. Tamtą kazałam spalić. Ta jest leciutko złotawa, z koronek. Stoły idą przez cały dom w koło, zaczynają się w kuchni, przez kredens, pokój śniadaniowy, jadalnię, salonik, sieni, mój ojciec kazał wyciąć ścianę między sienią i swoim pokojem, więc przez jego pokój, sypialnię rodziców, do drugiej sieni i kuchni. Nie wszyscy przyjechali, zrażeni tamtymi wydarzeniami. Stoły w kilku pokojach zostały puste, jak dla umarłych. Służąca przez pomyłkę naląła do tych talerzy zupy i topiły się w nich muchy.

Z przebiegłym, nie znanym u niej uśmiechem powiedziała patrząc porozumiewawczo na Stefanię:

- Dawno nie widzę waszego ojca, ale nie okazuję tego. Wiem, kto to zrobił. Dwaj bandyci, którzy ciągle tu się kręcą. Dlaczego nie zabiliście, panowie, męża i mnie jednocześnie? Chcecie dowiedzieć się, gdzie jest biżuteria? Przecież wam powiedziałam. Prosiłam, żebyście za to wykonali wyrok na mnie. Widzę u was biżuterię, ale skąd tak długi sznur pereł? Dlaczego ściskacie mi nimi szyję? Dusić kogoś sznurem pereł? To głupie. Rozsypią się. Wam chodzi o sygnet. Sygnetu nie dam. Proszę rąbać palec. Siekiery są w

drewutni po lewej stronie. Palec mi do niczego niepotrzebny. Klejnot i tak wróci z nieba. W 1863 roku, w marcu, Kozacy otoczyli powstańczy skład amunicji. Dziadek męża nie myślał poddać się żywy, przyłożył lont do prochu. Ten wybuch wyrwał drzewa. Coś spadło z wielką siłą do ogrodu w sąsiedztwie, jak meteoryt. Zaczęli szukać, znaleźli. Metal spłaszczyło, ale kamień był cały. Przechowywali go, dopóki nie odebrała go rodzina Jastrzębców.

Umilkła, a Łukasz wyszeptał do Stefanii:

- Tak było, czy w tej chwili jej się przywidziała taka historia? Ojciec mi opowiadał co innego. Stryj ojca przegrał sygnet w karty w salonie pewnego hotelu. Gdy się zorientował, że nieznajomy pokerzysta był szulerem, przystawił mu rewolwer do głowy i odebrał sygnet. Tamten bał się wezwać policję, tylko lżył stryja, a stryj się śmiał. Potem stryj zgubił pierścień w zimie na podwórzu. Rozpalono dwanaście ognisk i w dwunastu kotłach przetopiono cały śnieg z podwórka, aż natrafiono na sygnet. Wtedy dał go naszemu ojcu.

- Zdarzyło się sygnetowi i to, i to - powiedziała cicho Stefania.

Znów odezwała się matka:

- Schowałam się na chwilę. Bandyci mnie nie widzą - objaśniła spojrzawszy w oczy Stefanii i dodała: - A ja ich widzę doskonale.

- Mam dziwne uczucie, że matce wydaje się, iż jest w pokoju bez okna w Bezwodach, który nazywaliśmy Ciemnym.

Nagle pani Jastrzębcowa poderwała się i patrząc w oczy Stefanii mówiła z ukrytą groźbą w głosie:

- Pan kocha ponad życie moją córkę. Ale to zły sposób zalotów zakładać jej matce sznur na szyję. Nie warto jej kochać. Opuściła mnie w chorobie. Pan udaje osobę opiekującą się mną, chce się wślizgnąć w moje łaski i być bliżej córki. Ty morderco! Upodabniasz się do mojej córki, żeby moja śmierć była straszniejsza. Sama zeskoczę z krzesła.

Chwyciła się oburącz za szyję, dusiła. Gdy dzieci odciągały jej ręce, walczyła z nimi.

- Przestańcie się mścić! Ile może trwać zemsta? Bierzcie

mnie jako ofiarę, męża i dzieci zostawcie i załatwmy sprawę. Nie wiecie, jak mało możecie mi zrobić. Najwyżej odebrać mi życie, a na tym zależy mi najmniej. Pragnę tego, czym chcecie mnie ukarać.

Zerwała się z łóżka, podbiegła do szafy, wkładała futro na nocną koszulę. Była gotowa do ucieczki. Po chwili, mokrą od potu, trzeba było wycierać, myć.

- Mamo, mammo! - mówili próbując przedrzeć się przez straszną zasłonę. - Żaden z bandytów nie ocalał. Wszyscy wybici do nogi. Niemożliwe, byś ich widziała.

- Jak to niemożliwe! Co dzień obrabowujecie mnie ze wszystkiego i znowu wracacie, by rabować. Nie mam Jastrzębca. Ach, co myśmy u ojca tak nazywali, nie domyślacie się - zaśmiała się. - Nie chcę być wulgarna. Chcecie przetopić wszystko w kulę złota nafaszerowaną drogimi kamieniami jak rodzynkami, taką, jaka zrobiła się po pożarze u Kurskiego? *Monsieurs les bandits, tuez nous immédia- tement. Vous serez gentils, si vous faites ce travail. Je vous l'ordonne! Personne ne vous connait. Je vous oublierai. Vous resterez inconnus et introuvables. Dieu vous en remerciera* *.

Krzyki budziły właścicielkę willi, mieszkającą pod nimi. Stukała w sufit szcztoką, przybiegała, waliła pięścią w drzwi.

- Dobijają się! - krzyczała matka.

Łukasz wybiegał, by uspokoić właścicielkę, jednak nie umiał się opanować i krzyczał:

- Wyrażam pani najgłębsze ubolewanie, że jest pani właścicielką tej willi, ale nie mogę na to poradzić i nie wiem, jak pomóc pani się jej pozbyć.

Jastrzębcowa słyszała gniewny głos tej kobiety i komentowała:

- Naradzają się, co z nami zrobić.

*Panowie bandyci, zabijcie nas natychmiast. Okażecie się mili, jeśli wykonacie tę pracę. Ja panom rozkazuję! Nikt panów nie zna. Ja panów zapomnę. Pozostaniecie nieznanymi i nie do odnalezienia. Bóg wam za to podziękuje.

Była bliska prawdy. Właścicielka postawiła ultimatum: albo Jastrzębcowa przestanie krzyczeć po dziesiątej wieczór, albo wymawia mieszkanie.

Zaczęły się nocne wizyty patroli milicyjnych. Ich dowódcy nie wiedzieli, co przedsięwziąć przeciw chorej.

- Ta biedna policja za wszystko odpowiada w tym państwie. Nikt nie wie, co robić, i wtedy wzywają nas - skarżył się Stefaniu dowódca radiowozu. - Czy nie wszystko jedno, gdzie ta chora jest, jeśli i tak nie wie, gdzie jest? - pytał uprzejmie, ale w notatce służbowej napisał: „W zapuszczonym mieszkaniu dwoje bezrobotnych. Opieka nad chorą ma służyć za pretekst do unikania pracy i odcinania się od społeczeństwa”.

Stefania musiała iść do pracy. Wróciła do huty. Stanowisko na wadze zostało rozdzielone na dwa etaty: robotnika i urzędnika, który zapisywał wyniki. Stefania awansowała na to drugie miejsce. Jan Kos dalej snuł się po placu, zgarbiony, zgorzkniały, pełen nienawiści. Zobaczywszy Stefanię, odwrócił głowę. Nie mógł znieść jej widoku. Czuł palącą krzywdę, że jest robotnikiem placowym, a Jastrzębcówna urzędniczką. Słyszał jego krzyki z otwartych okien budynku, gdzie mieściły się organizacje polityczne.

- Możemy was zapewnić, towarzyszu, że niezmiennie idziemy w tym samym kierunku co dawniej - zapewniła go młoda sekretarka w komitecie PZPR - Waszym obowiązkiem jest ufać. To wy się załamujecie, towarzyszu, i wasze niezadowolenie może zwrócić się w niewłaściwym kierunku, nawet przeciw partii.

Do tego stopnia nic nie znaczył, że nie mógł wpłynąć na usunięcie Stefanii, mimo że kierownik zaopatrzenia surowcowego zraził się do niej pierwszego dnia.

- Pani Jastrzęb - celowo zniekształcił jej nazwisko - pani jest w aptece czy waży pani wagony? Musi pani zaokrąglić. Nam głowa pęknie od tych końcówek.

Zadanie Stefanii polegało na odliczaniu od wagi naładowanego wagonu jego ciężaru własnego.

- Surowiec im dalej jedzie, tym go mniej. Musielibyśmy pisać raporty, zdrzeć z koleją. Dla pani tego nie zrobię.

Dowiedziawszy się od Kosa historii Jastrzębców, używał wulgarnych słów, by ją dotknąć, i plątał się w tym, bo Stefania zachowywała nieodgadniony wyraz twarzy.

Opiekę nad matką przejął Łukasz. Był wysoko kwalifikowanym pielęgniarzem. Umiał jednym ruchem łyżeczki wlać lekarstwo do gardła, zrobić zastrzyk, przetaczając matkę jak przedmiot zmienić jej bieliznę, trzymając w ramionach nad miednicą umyć. Był zręczny, umiał ciężkie ciało wyrwać z bezwładu. Matka tyła. I jemu przybывało ciała.

Łukasz z litości nad właścicielką i nad sobą dawał matce czasem proszek, a czasem pozwalał possać ze swojej butelki. Dla siebie miał kieliszek w kieszeni marynarki. Butelkę trzymał pod łóżkiem matki. Często upijał się do nieprzytomności, budził matkę, prowadzili długie rozmowy, bełkocząc, śmiejąc się z siebie.

Matka coraz dłużej sypiała. On początkowo mówił do siebie, a potem kładł się na dawnym łóżku ojca i usypiał. Tak zastawała ich Stefania i czasem nie mogła wymóc na Łukaszu, by wstał.

Właścicielka wytoczyła im sprawę o eksmisję. Łukasz bronił siebie i siostry sam. Poznał prawo lokalowe, kodeks karny, cywilny i przygniatał argumenty adwokata właścicielki, zawsze nie przygotowanego lub przysyłającego zastępców, a ci czasem przysyłali swoich zastępców. Stefania przejmowała się tym. Ze strachem przechodziła przez furtkę, bała się spotkać właścicielkę, która patrzyła na nią z nienawiścią. Wróciwszy z pracy, już nie wychodziła. Do Łukasza należało wylewanie brudów i nabieranie wody ze studni.

- Czuję się tak obco na tym świecie - skarżyła się Jastrzębcowa. - Nikogo nie znam. Moje dzieci zaginęły. Co robią bez mojej opieki?

Oddalała się od nich w przedłużającym się śnie. Nie przeskadzali jej, nie budzili nawet na karmienie, tak że nie wiedzieli, kiedy umarła, nie znali prawdziwej daty jej śmierci.

Na pogrzebie była jedna osoba, siostra cioteczna Józefki, mieszkająca w S. Były dyrektor banku od dawna nie żył. Nie wiedzieli, gdzie jest jego grób. Wyszli z cmentarza zrozpaczeni, zaniepokojeni. Sens ich życia, przyczyna, dla której je poświęcili, przestała istnieć. Z przerażeniem myśleli o jakiegokolwiek zmianie, o tym, że mogliby teraz zacząć studia, znaleźć sobie małżonków, mieć dzieci. Tak strasznie pragnęły czuć to samo, że bali się odzywać do siebie.

Stefania od nowa zapaściła warkocze, ciasno splecione, okręcała je w koronę wokół głowy. Dalej chodziła w białych bluzeczkach, białych skarpeteczkach i pantoflach na płaskim obcasie. W zimie pożyczła - jak to określała - futro matki.

- Jedno z nas musi się rozchorować - powiedział Łukasz - wtedy drugie dostanie na pielęgnowanie.

- To ja powinnam się położyć, bo dostałabym rentę.

- Ale niższą niż twoja pensja.

- Musisz odpocząć - powiedziała Stefania. - Zaczynaj wychodzić na powietrze. Jesteś błydy, nalany. Ile ty lat nie byłeś na wsi, na wakacjach?

W ten sposób Stefania powiedziała: „Będę cię dalej utrzymywać”. Łukasz na drugi dzień przygotował, jak kiedyś matce, Stefanii śniadanie i gdy pobiegła do pracy, skrótami, w dół miasta do dawnej huty, ubrał się w swój jedyny garnitur, który donaszał po ojcu, spłowiwały do zieloności, cerowany przez Stefanię. Jedna cera na łokciu zjaśniała bardziej niż ubranie. Wypychający się brzuch i potężne ramiona rozsadały marynarkę. Łukasz włożył krawat, przyczesał brodę, która wyrosła mu do piersi. Gęste wąsy miały ukryć brak zębów. Biła z niego siła i obojętność na wszystko. Trzymał się prosto. Wysoki, barczysty, wydawał się olbrzymem. Ludzie patrząc na niego myśleli: „Ten to waży ze sto dwadzieścia kilo”. Z podniesioną głową, patrząc ponad głowami przechodniów, nieświadomie kierował wzrok ku lasom, za którymi były Bezwody. W brzydkiej siatce miał owinięte gazetami dwie półlitrowe butelki z wódką.

Ewaryst był najwyższym szczytem Gór Szlakowych. Z

niego widać było zamglony Opal, Małego Diabła i przełęcz Pistruna. W połowie ubiegłego wieku, gdy czynna była huta, wagoniki ze szlaką wjeżdżały po spiralnym torze wyżej i wyżej, aż huta wstrzymała wytopy. Po latach na skamieniałym żuźlu wyrosła trawa, pokazały się krzaki, skarłowaciałe drzewka. Tylko sam szczyt Ewarystu, poprzerzynany żlebami, turnie i piargi pozostały nie zarośnięte. Była to miniatura Alp czy Himalajów. Dyrektor dawnej huty nazywał go Mont Everestem, co ludność zmieniła na Ewarysta. Przed drugą wojną miejsce niedzielnej wilegiatury mieszkańców S., po wojnie - omijany z daleka i znienawidzony.

Płonęły tam dzień i noc ogniska. W grotach, na polanach jak dziki szczerp górski rozlokowali się pijacy zwani „cieniami”. Przed słońcem chroniły ich wspinające się po zboczach skarłowaciałe brzozy, akacje. Siedzieli grupkami, pozornie się nie znając, ale wszyscy mówili sobie „ty”. Przypiekali w ogniu chleb, w głębokich rozpadlinach w szlance, w których zbierała się woda, chłodzili wódkę opuszczając butelki na sznurkach i drutach. Rozmowy, dyskusje, awantury wybuchaly już od szóstej rano, gdy otwierano sklep monopolowy, i koło czwartej po południu, gdy mijał najsilniejszy kac i gdy dołączali „rezerwiści” - ci, co pracowali.

Gdy olbrzym o cichym, modulowanym głosie, pełen dystansu i wyszukanej grzeczności stanął przed ogniskiem, przy którym podgrzewali rybki w otwartej puszcze sławni zawodowi pijacy - „Lalek”, „Siedzący Pies”, „Twarz” - i rozwinął z gazet butelki, „Twarz” zebrał gazety, złożył i schował pod kamień. Nie pytali Łukasza, kim jest - kazali mu umoczyć przypalony chleb w przecierze pomidorowym z puszek. W S. był tak nieznany, że mówili mu potem, iż myśleli, że przyjechał rannym pociągiem z Warszawy, i stąd otrzymał pseudonim „Warszawiak”, którego nienawidził, bo nienawidził Warszawy. Gdy poprosił, by go tak nie nazywali, zmienili mu pseudonim na „Hetman”, „Syn senatora”, „Koniec szlachty”. Jeden z „cieni”, „Lawinka”, widział przybycie Jastrzębców późną jesienią 1943 roku do

S. Twierdził, że powiedział wtedy do żony - był żonaty, miał troje dzieci, teraz rodzinę spotykał na ulicy - „to już koniec polskiej szlachty”.

„Cieniami” nazwał ich emerytowany łacinnik z Wilna, który zobaczył raz, jak siedzieli wokół ogniska przy pieczarze i w górze na skałkach ze szlaki widać było kształty ich głów, ruchy, powiększone do ogromnych rozmiarów.

- Nawet jeśli mi się tylko wydaje, że jestem mądry - słuchaj mnie, „Synu senatora”. Poświęciłeś się dla matki i ojca, bo to było łatwiejsze. Nie umiałeś się poświęcić dla siebie. Czy jest jeszcze czas? Pewnie powiesz sobie, że nie możesz zostawić siostry samej.

Łukasz spojrział niezadowolony na „Lawinkę”, „Siedzącego Psa”, „Lalka” i „Twarz”. „Platfus” - tak nazywano łacinnika od przydomka, które sam sobie próbował nadać: „Platon” - powiedział surowo:

- Lekarstwem dla twojej pychy będzie roztrząsanie przy tobie twoich spraw przez byle kogo.

- Tak, bracie, jestem byle kto - chwalił się „Twarz”, waląc się pięścią w pierś - i szczył się tym.

Łukasz odkrył cudowność picia z innymi ludźmi, dzikich, bezsensownych, nie kontrolowanych rozmów, czasem było to tylko powtarzanie jednego słowa: „wiesz, wiesz...”, „bracie, bracie”, „rozumiesz, rozumiesz” i towarzyszące temu dogłębne, nie do uwierzenia zrozumienie. Łukasz stał się wielkim pijakiem i zdobył autorytet, kiedy zabrakło „Platfusa”, który runął ze skałek w dół i żył po tym tylko kilka godzin.

Gdy nie mogli już przełknąć kropli alkoholu, bo doznawali kurczu przełyku, Łukasz przynosił dwa kije jednakowej długości, zmuszał, by pojedynkowali się z nim, uczył ich zadawać i odparowywać ciosy, pokazywał sztychy, złożenia, wprowadzał w sztukę wytrącania broni przeciwnikowi.

Któregoś wieczora powiedziano mu, że ktoś na niego czeka pod Ewarystem. Młody mężczyzna, ubrany w garnitur, w krawacie uklonił się nieśmiało i powiedział, że ma interes

do pana hrabiego. Mimo że Bezwody były tak blisko, zrobiono z Łukasza hrabiego, a ze starego dworu - pałac.

- Dawna huta przechodzi na produkcję silników na licencji francuskiej. Jadę na szkolenie do Paryża. Profesor z liceum zna gramatykę i słówka, ale nie podejmuje się nauczyć mnie mówić. Pan jest moją nadzieją. Będę płacił, ile pan zażąda.

- Tak. Będę kosztowny, bo nie chce mi się pana uczyć. Przeszkadza mi to w moich planach.

- A jakie pan ma plany?

- Spędzać tu całe dni.

- Będę tu przychodził.

- Pół litra spirytusu, przyniesione tutaj, za lekcję. Nie będziemy liczyć na godziny, tylko kiedy nam się znudzi. Możemy zacząć natychmiast. Niech pan mnie pyta, jak co się nazywa.

Inżynier rozejrzał się bezradnie, przestraszył się nagromadzenia milionów rzeczy, które go otaczały, a o których nie wiedział, jak się nazywają po francusku. Poczul obcość świata.

- Niebo? - spytał nieśmiało, nie wiedząc, czy się nie ośmiesza.

- *Le ciel.*

- Drzewo?

- *L'arbre.*

- Nienawiść?

Łukasz spojrzal zaskoczony, zapadła cisza. Wreszcie Łukaszowi stanęło w oczach miejsce w słowniku na dole, po prawej stronie i odrzekł:

- *La haine. Hair-nienawidzić.* Moja matka używała słowa: „*detester*” „*detestation*„nie znoszę, brzydzę się”. Do czego panu to słowo potrzebne?

- Nie powiem.

Łukasz przykladał się do lekcji. Przyniósł podręczniki i słowniki matki, które wyjeżdżając zostawiła rozgoryczona nauczycielka w 1907 roku.

Czasem „cienie” otaczały ich i chórem powtarzały słówka

lub wyszydzały ich brzmienie. Łukasz robił dodatkowe godziny i wysyłał ucznia po wódkę w dół, do miasta. Po lekcjach inżynier zostawał, zjawiał się zamówiony przez niego harmonista, wszyscy pili zdrowie ucznia, czasem tańczyli. Łukasz uczył ich tanga i swinga.

Dwudziestu mężczyzn stawało naprzeciw siebie. Kobiety tu nie miały prawa wstępu. Była to zasada, której wymagała obrona przed matkami, żonami, córkami - próbującymi się wdzierać i zabierać bliskich. Nawet prześliczna córka „Siedzącego Psa” była wypędzana.

Łukasz klękał:

- Błagam was, uczcie się ode mnie, póki czas, tańców salonowych, jazdy konnej, fechtunku, francuskiego, łaciny, kodeksu honorowego, historii dyplomacji europejskiej, dobrych manier. Ukrywajcie swoje uczucia. Bądźcie zawsze mili, opanowani, uprzejmi. Pozwólcie się przyprzeć do muru i nie mrugnijcie okiem. Wtedy wolno wam zadać cios i ten cios może być śmiertelny. Bądźcie dumni, wyniośli, wspaniali, patrzcie nieustraszenie. Uczcie się honoru!

- Mistrzu! - krzyczał „Twarz”.

- Gdybym miał szczęśliwe życie, nie poznałbym was! - krzyczał w uniesieniu Łukasz. - Co by mi wtedy było po szczęściu?

Z przyczyn, których sam nie rozumiał, Łukasz był wytrzymały. Wypijał litr wódki robionej ze spirytusu i wody czerpanej z rozpadlin i nie był pijany. Brakowało mu tu tylko Stefanii. Przyzwyczał się być zawsze z nią i zastanawiał się, pod jakim pozorem ją tu przemycić. Pod wieczór, gdy był pijany, odczuwał tak gwałtowną tęsknotę za nią, że opuszczał przyjaciół - schodził w dół ku miastu. O zmroku Stefania czekała na niego pod Ewarystem. Obejmowali się w pół i szli w kierunku domu.

- Jesteśmy pełnymi sierotami. Mamy tylko siebie na całym świecie.

Przenieśli się z kuchni do pokoju rodziców. Wiedzeni jedną myślą, spojrzeli na łożo małżeńskie rodziców, a potem na siebie. Znali się tak dobrze, a jedno wiedziało o drugim, że

to drugie wszystko wie, iż przeglądali się w sobie jak dwa lustra stojące naprzeciw siebie. Pokój rodziców trzeba było pozostawić nienaruszony, ale coś wzbraniało im spać w małżeńskim łóżku obok siebie.

Nie porozumiewając się słowem, łóżko matki odsunęli od łóżka ojca na odległość pół metra. Dlaczego nie dalej? Cemu w ogóle ruszyli łóżka? Czego się obawiali? Nie obmowy, bo gości odtąd przyjmowali tylko w kuchni, a w dzień pokój był zamknięty na klucz, częściowo dlatego, że w nim nie przebywali, tylko przychodzili na noc, bo to był dla nich dalej pokój rodziców, święte miejsce. Kiedy dzielili między siebie łóżka rodziców, Stefania wzięła to, na którym zmarła matka, Łukasz to, na którym zmarł ojciec. W czasie choroby rodziców, gdy mieszkali w kuchni, ustalili się pewien rytuał. Stefania kładła się pierwsza. Łukasz gasił światło i ona rozbierała się przy swoim żelaznym łóżku, kładła się i wołała: „już”. Wtedy Łukasz zapalał małą lampkę, której abażur pookręcany był jedwabnym szalem, i jeszcze siedział długo w nocy, czytając, rozmyślając i czasem pociągając z flaszki za kredensem. Rano pierwsza wstawiała Stefania, gdy Łukasz był jeszcze pogrążony w głębokim śnie na materacu rozłożonym na podłodze.

Pierwszej nocy w pokoju rodziców Łukasz dopiero nad ranem się położył. Siedział jak dawniej w kuchni, a Stefania nie spała. Myślała, że teraz ona umrze w tym łóżku, i zgadywała, co myśli Łukasz. Stefania przez te lata nigdy nie pokazała się Łukaszowi w bieliźnie. W nocy, gdy wołał ją ojciec lub matka, zakładała w ciemności na nocną koszulę szlafrok, nie odkrywając kołdry. Nie wiedziała, że Łukasz widział ją raz nago, gdy się myła. Jej ciało, ukrywane przed bratem, było silne, białe, nabite. Ten najwyższy stopień ostrożności, jaki wobec siebie przejawiali, rodził czułe i zagadkowe, a czasem podniecające napięcie. Byli przy tym tak dla siebie delikatni, uprzejmi, a nawet ceremonialni, że osobom trzecim wydawało się to kokieterią. Często, gdy podawali to samo nazwisko, brano ich za małżeństwo. Do po-

dobieństwa fizycznego - czasem gdy trzymali się za ręce, ich dłonie były tak podobne, jakby wyrastały z jednego ciała - doszło owo podobieństwo, które tworzy czas, ciągle przebywanie ze sobą.

Zgodni nawet w niezgodności, chwyтали w lot wszystko w nagłych spojrzeniach, dla nich tylko zrozumiałych, wymawiali słowa, które w zależności od położonego akcentu znaczyły co innego. W miarę jak każde z nich zaczynało się upewniać co do siebie i co do tego drugiego, że nigdy nie znajdą sobie nikogo innego, że poświęcili sobie wzajemnie życie, widzieli w tym najwyższe spełnienie i drżeli, by tego nie zakłócić niebacznym gestem czy aluzją, nie zniszczyć tego delikatnego tworu, jakim była ich wspólna egzystencja.

Był jednak pewien wyjątek. Ci, którzy wiedzieli, że nie są małżeństwem, a mieszkają razem i ciągle są ze sobą, w brutalnym świecie owych lat pozwalali sobie na dwuznaczne aluzje. Stefania i Łukasz powtarzali sobie te historie pod pozorem, że omawiają swój los, swój upadek, ale te jedyne obelgi omawiali bez gniewu, nawet z przyjemnością. Uświadamiały im, że istnieje ciągle pewna możliwość, niedopuszczalna, występna, a jednak w myślach innych prawdopodobna, i że oni się jej wyrzekają.

- Bierzemy ze wszystkiego, co jest, najmniej - mówiła Stefania zagadkowo. - Jak owady: tylko pyłek, nawet nie kwiat, tym bardziej nie owoc.

Nie było koło nich miejsca dla nikogo. Dlaczego nigdy nie mówili o sprawie Zosieńki? Czy dlatego, że był to jedyny czyn, za który siebie potępiali? Zosieńka była córką przyjaciółki ich matki, wdowy, która w czasie wojny znalazła się w nędzy i rozdzieliła mniejsze dzieci między rodzinę. Najstarszą, piętnastoletnią Zosieńkę, przygarnęła pani Jastrzębcowa. Podówczas było już w Bezwodach wielu wojennych rezydentów. Gdy bryka przywiozła Zosieńkę ze stacji, Stefania i Łukasz nie wyszli na jej przywitanie. Poznali się przy obiedzie. Zosieńka mimo biedy przyjechała w zwiewnej sukience z jedwabiu w kwiaty. Przy Stefanii, ubranej w

białą bluzeczkę, białe skarpetki, z warkoczami owiniętymi wokół głowy, wydawała się przedwcześnie rozwiniętą kokietką. Pani Jastrzębcowa nazywała ją swoim „trzecim dzieckiem”. Łukasz, mimo że był tyle młodszy, wpatrywał się bez przerwy w Zosieńkę.

- Będziemy się przed nią chowali - nakazała mu Stefania.

Zosieńka początkowo udawała, że bierze to za zabawę w chowanego, i ciągle ich odnajdywała. Wtedy z wymuszoną uprzejmością z nią rozmawiali.

- Zrobimy ci zdjęcia. Będziesz miała na całe życie pamiątkę z Bezwodów - powiedziała Stefania. - Przebierz się w tę najładniejszą sukienkę. Włóż jedwabne pończochy.

Stefania poprosiła, by Zosieńka weszła na wielką gruszę. Krzyczeli: „Wyżej, wyżej”, a potem kazali jej konarem posuwać się ku jego końcowi. Jakim cudem nie runęła? Gdy zeszła z drzewa, jej pończochy były w strzępach. „To moje jedyne” - poskarżyła się. Potem zawieźli ją na kraniec ich posiadłości, nad rzekę Warkocz, gdzie znajdował się mały staw i młyn. Stefania pożyczyła jej kostium kąpielowy i kazała rwać nenufary. W tym miejscu płynął wartki prąd do kanału młyńskiego. W chwili kiedy Zosieńka wchodziła do wody, pomocnik młynarza zamknął spust. Wrócili do Bezwodów i kazali osiodłać Teksasa. „Łukasz nikomu nie pozwala go dosiadać” - poinformowała uroczyście Stefania Zosieńkę. Stajenny przystawił stółek i Zosieńka znalazła się w siodle. Patrzyła w dół, na ziemię, jakby czuła, że za chwilę tam się znajdzie. Stajenny mocno trzymał uzdę. Stefania kazała mu ją podać Zosieńce, ale ta kurczowo wczepiła ręce w grzywę konia. Zobaczyli lęk na jej twarzy, zaczęła wpatrywać się w Stefanię, jakby odczytując jej zamiar. Stefania trzymała uniesioną szpicrutę.

- Nie! Schodzę! - oznajmiła Zosieńka. - Nie wiedziałam, że to tak wysoko. To zwierzę takie ogromne! W dodatku nie widzę jego oczu.

W tym momencie Teksas szarpnął się w bok, zobaczywszy spadający liść, i Zosieńka poleciała w ramiona stajennego. Łukasz podniósł aparat i pstryknął. Teksas nigdy nie był na

szosie. Znał tylko miedze, leśne drogi, rżyska i ugory. Bał się obcych ludzi, cieni nisko lecących ptaków, wirujących liści. Zosieńka strasznie bała się Teksasa.

Po kolacji jeden talerz malin posypali w kuchni solą zamiast cukrem pudrem i podali Zosieńce. Ciekawi byli, co zrobi. A ona nie okazała niczym, że poczuła smak solonych malin. Wtedy Stefania powiedziała:

- Ach, Zosieńko, okazało się, że gdy robiliśmy ci zdjęcia, w aparacie nie było błony!

Zosieńka dojadłszy maliny wstała od stołu i wyszła z jadalni. Rano stwierdzono, że nigdzie jej nie ma. Jej walizka i rzeczy zostały na górze. Musiała wyjść z dworu jak stała i pieszo osiemnaście kilometrów szła do stacji. Jak odjechała nie mając pieniędzy? Jastrzębcowie uważali ucieczkę Zosieńki za wybryk. Napisali list wzywający Zosieńkę do powrotu, ale nie otrzymali odpowiedzi. Walizka Zosieńki z jej biednymi rzeczami, albumem fotografii, pamiątkiem została i ciągle zwlekano z jej odesłaniem. Gdy Jastrzębcowie pod koniec wojny opuszczali dwór i pakowali się, brakowało im walizek. Wysypali więc rzeczy Zosi na polepę strychu i zapełnili walizkę tak, że nie domknęła się i trzeba było ją okręcić sznurem. Jechała na samym szczycie wozu. Długo leżała w kuchni, aż pewnego dnia Stefania zobaczyła, że Łukasz cichaczem wyniósł ją na śmietnik. Widać nie mógł na tę walizkę patrzeć, dlatego że stała się przypomnieniem ich własnego losu.

Zosieńka nie mogła z nimi zostać. Już wtedy uważali się za przeznaczonych dla siebie i nie uznawali nikogo poza sobą, nikogo przy sobie nie znosili, nie było dla nikogo miejsca między nimi. Nie mogła być ani trzecim dzieckiem ich matki, ani ich przybraną siostrą. Wypędzili ją nie z Bezwodów, ale ze swojego życia.

Pewnego dnia, gdy Stefania przyszła pod Ewarysta, by zabrać Łukasza, „Siedzący Pies” zszedł z góry, wyjął z kieszeni mały, zmięty bukietik stokrotek, podał jej, uklęknął i pocałował jej pantofel, długo trzymając na nim usta. Przez skórę buta poczuła gorąco. Po kilku dniach „Siedzący

Pies”, nazwany tak dla swojego niskiego wzrostu, zaprosił Łukasza do swojego ogniska na wódkę. Odpędził wszystkich.

- Wiem, że to śmiałość - powiedział - ale podoba mi się twoja siostra. Zrobiłaby ze mnie człowieka. Wróciłbym do fachu. Moja pierwsza żona uciekła ode mnie. Dałem jej rozwód. Mógłbyś powtórzyć to pannie Stefci?

- Nie. Tematu małżeństwa nie wolno z nią poruszać.

- Jedno wiem, że nie chciałbyś, żebyśmy mieli dzieci. Ale czy panna Stefania jest jeszcze w takim wieku?

Łukasz milczał.

- Nie jestem godny?

- Nikt nie jest jej godny.

- Trzymasz ją przy sobie. Nie będę ci wchodzić w drogę - powiedział „Siedzący Pies” i odszedł, skulony, jakby naprawdę był psem.

Gdy przyjechał radiowóz, wysłano Łukasza na pertraktacje.

- Musicie zniknąć. Jest akcja porządkowa w kraju. Przede wszystkim musi zniknąć śmieć ludzki.

Łukasz poczuł ulgę: nie on gardził, ale nim gardzono. Był wolny. To, co nazywano rewolucją, jemu ofiarowało największy dar. Tęgi sierżant miał szyję i kark tak rozrosłe, że koszula pod krawatem się nie dopinała. Łukasz wypowiedział formułę „Platfusa”: - Ile kto odbiera człowieczeństwa innym, tyle sam traci. - Nazywa pan nas śmieciem, bo nie widząc w nas ludzi, zwalnia się pan od litości.

- Ej, ty! Najlepszy sposób na filozofa to przygrzać mu pałą. Czy ty nie jesteś ten, którego własna matka uważała za bandytę?

- „Twarz” - przedstawił Łukasz - miał odbite w gestapo nerki, wstrząs mózgu, gdy zepchnęli go z okna drugiego piętra. „Siedzący Pies” - syn nędzarza, który mieszkał w lepiance, pobity przez ojca, nie urósł; „Lalek”, piękniś nie w pełni rozwinięty. Nie wiadomo, co rozumie, a czego nie. „Lawinka”, porzucony przez rodziców, chował się w domu dziecka. Spostrzegł w nocy, że kucharka wyrzuca do śmiet-

nika cukier, makaron, mąkę, mięso w puszkach. Oburzyło go to marnotrawstwo. Chciał zabrać jedzenie i zanieść do sypialni. Spostrzegł, że podjechał samochód bez świateł i ktoś wybierał to ze śmietnika. Zawiadomił kierowniczkę. Powiedziano, że to on kradł. Pociął się żyłką. Walczył ze śmiercią. Nigdy nie wrócił do normalnego życia.

Mówił o nich z czułością, a oni słuchali, wzruszeni, gotowi stanąć w jego obronie.

- Ludzie boją się tędy przechodzić - rzekł sierżant.

- Wystawimy gwarancję, że są nietykalni.

- W takim razie znikajcie na dziesięć dni. W tym czasie będzie inspekcja. Potem przeniesiecie się wyżej, by was nie widziano. Dołem władze przeprowadzą drogę wykładaną trylinką.

Łukasz doprowadził sierżanta do granicy Szlakowych Gór, gdzie stał radiowóz. Na widok zbliżającego się Łukasza wysiadł z niego pracownik Urzędu Bezpieczeństwa, który kiedyś był u nich w domu. Przyjaźnie uśmiechnął się do Łukasza.

- Dawno pana nie widziałem - powiedział. - Unikacie państwo starych znajomych. Sierżantem niech się pan nie przejmuje. Załatwię to. Od roku jestem na emeryturze, ale działam. Współpracuję w szkoleniu, profilaktyce. Spotkałem w Warszawie Ryszarda Kurskiego. Został zwolniony z wojska, jest dyrektorem fabryki sprzętu sportowego. Na tym tle panu i pana siostrze jest lepiej, niż się wydaje. Niektórzy nawet mogą wam pozazdrościć. Otrzymaliście od matki i ojca tak wiele, a oni się na waszej dobroci nie zawiedli. O jednym „Kunie” nic nie wiadomo. Jakby zapadł się pod ziemią. Nie pisał do państwa? Choćby z Argentyny?

- Nie dał znaku życia.

- Ja pytam prywatnie. Pozostało mi zainteresowanie, dopóki ta sprawa się nie wyjaśni. Podobno na poczcie widziano widokówki z pozdrowieniami z Ameryki, przedstawiającą jakiś park. Na gałęzi siedziało zwierzątko. Niech pan zgadnie, jakie? Milczy pan?... Kuna! Może to jakiś znak?... No, musimy lecieć.

Utrata renty matki i zasiłku na jej pielęgnację postawiła rodzeństwo w trudniejszym położeniu. Usiłowali sprzedać futro. Na używane rzeczy nie było nabywców. Zdecydowali się na sprzedaż sreber. Wyzbywali się po jednej sztuce, licząc na cud. Co tydzień przychodziła handlarka. Stefania obliczyła, że uzyskane pieniądze wystarczą na siedemdziesiąt dwa tygodnie.

- Każda rodzina kiedyś była wielka - pocieszała ich handlarka. - Trzeba dwunastu pokoleń, by się wywyższyła, i dwunastu pokoleń, by upadła. Tak jest w Ewangelii.

- Dwanaście pokoleń temu nasz przodek spadł jak jastrzębczyk na bandę krzyżacką, bezkarnie jadącą przez teren Polski do Malborka. Sam z grupą nowicjuszy zakonnych, bo był nowicjuszem - starł ich na proch. Król uszlachcił go. Zachwycił sobą pewną szlachciankę, która wyjednała zwolnienie go z niższych ślubów zakonnych.

- To ciekawe - powiedziała handlarka i wyszła.

- Gdy mówiłeś o Jastrzębcach, patrzyła na sygnet.

- Dałby nam rok.

- Gdy handlarka mówiła o dwunastu pokoleniach, wydawało mi się, że odczytałam jej myśl: „Wy nie macie tej szansy za dwanaście pokoleń, bo na was wszystko się skończy”.

- Stefano, „Siedzący Pies” oświadczył mi się o ciebie.

- Do budynku wagi przychodzi wdowiec, kolejarz. Ma troje dzieci. Pokazał mi książeczkę oszczędnościową, książeczkę zdrowia, gdzie były zdjęcia dzieci. Słyszał, że mam pierścień, że z poświęceniem opiekowałam się rodzicami, nadaję się więc na macochę dla jego dzieci. Chciałby ożenić się ze mną, bo we dwoje osiągnęlibyśmy pełną kontrolę nad wagonami. Gdy wjeżdża pełny wagon, wskaźnik wykazuje fałszywą wagę. Mój starający się zabezpiecza sprawy od strony kolei. Nie donoszę, ale nie biorę udziału w zyskach. Starający się tłumaczył mi, że państwo zużyłoby to na nieświadome cele. Jest to patriotyzm złodziejski: odkradają dobro narodowe. Nie czuję się odpowiedzialna za funkcjonowanie wszechświata jak nasz ojciec.

- Wstydział się zła wobec ludzi niżej stojących. Teraz my stoimy najniżej. Jaka ulga. Gdy jestem na Ewaryście, czuję się ambasadorem nie istniejącego państwa w nie istniejącym państwie.

- Martwiłam się, że patologiczna duma Jastrzębców przybierze w tobie niebezpieczne formy. Za życia rodziców wychodząc z wiadrem brudów na podwórze wkładałeś marynarkę.

- Z pysznego stałem się dumny.

- Tak bardzo czułeś się upokorzony, biedaku?

- Tak bardzo.

- Dlaczego nikt z nas się tego nie domyślił?

- Nie chciałem, by ojciec wiedział. Uważałby to za niegodne. Duma to szaleństwo, ale bez niej zostają z ciebie strzępy i wiatr niesie cię ze śmieciami i zeschniętymi liśćmi. Dlatego odprasowujesz bluzkę do fabryki i jesteś uprzedzająco grzeczna dla ludzi, którzy mówią do ciebie „panno Jastrząb”.

- Niejaki pan Mowny powiedział, że to, co noszę na palcu, nie jest sygnetem. Sygnet musi być cały ze złota, a zamiast kamienia z obrazkiem powinien być monogram, żeby było wiadomo, iż należy do tego, co go nosi. Kiedyś zmusili mnie, bym urządziła imieniny. Wstrzymywali się z piciem, jakby krępowali się, więc podniosłam w górę kieliszek. „Ależ pani nic wychowana! - powiedział pan Mowny. - Na swoich imieninach nie podnosi się kieliszka, bo wygląda, że sama pani chce pić za swoje zdrowie”.

- Mój uczeń powiedział mi: „Państwo zdradzili swoją klasę schodząc niżej”. „Co pan ma na myśli?” - spytałem. - „Trzeba było przejść na stronę rządu i utrzymać się na swojej pozycji. Przyjeżdżalibyście z Warszawy i pomogliście rodzicom. Nie marliby w tak wielkim smutku”.

- Rodzice nie cierpieli patrząc na nas. Cieszyli się, że dzieci wyszły zwycięsko z „próby”, poświęcając im życie. To zastąpiło im wszystko, co stracili. A ty, braciszku, nie pracy się boisz, tylko ludzi.

- Nie mogłem znieść, że ktoś przyglądał się mojej twarzy.

Nikt nie ma prawa bezmyślnie i bezlitośnie gapić się na mnie. Za spojżenia chciałbym zabić.

- Wydałeś się sobie nagi, jak bywa we śnie, obdarty ze skóry. Chcąc się ukryć, zapuściłeś włosy, brodę, wąsy, dopuściłeś do takiej tuszy. A tym zwracasz na siebie uwagę.

- Brzuch przydaje mi się. Umieję nim uderzać. Cenię swoją wagę, taranuję, kogo chcę.

- Pijesz, bo bardzo się przejmowałaś.

- Teraz też się przejmuję.

- Nadwrażliwość, przeczulenie prowadzą do obłądu. Zaczyna się radośnie, gdy człowiek młody głębiej odczuwa życie, szczęście. Inni wydają się martwi i ciężcy. Pamiętam nas dawnych. Dostrzegaliśmy dwa razy więcej niż wszyscy. Dlatego byliśmy tak samotni. Szczęście odczuwaliśmy z mocą innym nie znaną, tak że nasz ogród, park i sad wydawały się rajem, byliśmy zdani na wiarę, że taki jest świat. Równie bezbronni byliśmy wobec nieszczęścia. Wnika w nas wszystkimi porami, a my, nie mając żadnej osłony, dusimy się od krzywd.

- Miało być inaczej?

- Nie do tego życia urodziliśmy się.

- A więc to co jest, jest halucynacją?

- Wierz mi, braciszku, gdy budzę się, wydaje mi się, że przechodzę ze snu w sen.

W myślach obojga pojawiły się Bezwody, odległe o 18 kilometrów, w których nie byli trzydzieści lat. Ich święty zakazany temat. Mówili o nich pierwszy raz.

- Wiesz - zaczęła Stefania, słowo „wiesz” pojawiała się, gdy musiała powiedzieć coś, co sprawiało jej trudność - mam znajomego taksówkarza, zanudza mnie, żebym z nim pojechała na spacer. Godzi się zabrać ciebie. Może pojedziemy do Bezwodów? Słyszałam, że żonkile, tulipany i narcyzy sadzone przez matkę dalej kwitną.

- O domu wiesz?

- Wiem. A co ty wiesz?

- Że dom rozebrali na opał ciężkiej zimy 1951, a potem kominy i podmurówkę, gdy ktoś budował dom.

- Została przybudówka.

- Spłonęła.

- Ktoś ją podpalił?

- Tak. A drzewa? Wiesz?... Aleja wyrębana. Park też. Tylko róże rozkrzewiły się, zdziczały i tworzą gęstwę nie do przebycia.

- Nie mówiliśmy sobie tego, choć wiedzieliśmy oboje. Dlatego nikt z Bezwodów nie był na pogrzebie matki. Czy będziemy tam kiedyś? Trzeba pojechać i zobaczyć, by nie wyobrażać sobie, że to jest jeszcze straszniejsze. Czym to w końcu jest wobec grobu rodziców?

- Nie mam tam nic do roboty. To nie należy do nas. Obca ziemia. Nieznajome miejsca.

- Co zawiniła ci ziemia na górcie w Bezwodach? Dokąd żyjemy, jest nasza, bo ją pamiętamy i kochamy. Może czeka na nas i tęskni? Boisz się, że nas wyproszą? Może czekają, że przyjedziemy?

- Nigdy. Przysiągłem sobie przy furze z meblami. Nie wróciłem z wozem, tylko puściłem konia, wiedząc, że dojdzie sam.

- Powinniśmy pojechać na grób Janinki.

- Pewno dawno go już nie ma.

- Do napadu byliśmy szczęśliwsi, niż wolno ludziom, naruszyliśmy jakąś równowagę. Nie zdaje ci się, że wyjechaliśmy z Bezwodów na wycieczkę? Że zwiedzamy obce miejsca, czyjeś życie? Jak matka. Gdzieś była. Gdzie, sama nie wiedziała. Raz próbowałam pokierować jej wizją. Gdy męczyła się, czekając na śmierć, nie tę, która ją czekała, a tamtą, z ręki bandytów, szepnęłam: „W fortepianie jest granat, pistolet, dubeltówka. Zejdź z krzesła i wybij ich”.

- Wszłaś w jej wizje?

- Odpowiedziała mi: „Jakiś głos mi mówi, że bandytów można wystrzelać. Ale przez to oni nas wymordowali. Przez to nas nie ma”.

Przegadali parę dni. Nadchodził termin wyznaczony przez sierżanta i Łukasz mógł wracać na Ewarysta. Sypiał do

dwunastej w południe. Nienawidził przesypiać tej granicy, więc nastawiał budzik na jedenastą pięćdziesiąt dziewięć. Zerwawszy się, wynosił śmieci. Zaczynał od tego, by najgorsze mieć za sobą. „Mam wolę” - myślał i szykował się, by wypić herbatę, czarną - tak mocną. Wracając zobaczył, że w dziurce od klucza tkwi zwinięta karteczka. Musiała tkwić od rana, po wyjściu Stefanii do pracy. Rozwinął papier: „Proszę nie chodzić na Ewarysta. Niebezpieczeństwo”. Podpisu nie było.

Łukasza ogarnęła ciekawość. Zawiązał krawat, włożył marynarkę i poszedł w kierunku dawnej huty. Budowano nowe hale. Wywłaszczano dzielnicę willową, burząc domy jeden za drugim. Łukasz nie wchodził bramą jak jego siostra. Przeszedł dziurą w betonowym płocie. Dał robotnikom butelkę krajowego wina i poprosił, by wygięli mu pręt zbrojeniowy, żeby wyglądał jak laska. Jeden z nich usłużnie pobiegł do malarzy i przyniósł tubę amerykańskiej farby, która pokrywając laskę tworzyła słoje bardziej przypominające drewno niż deska sosnowa. Wypił łyk z robotnikami, czekając, aż laska wyschnie. Odszedł, ciężko się na niej opierając.

Pragnął tego, co miało się zdarzyć, cokolwiek miałyby to być. Był ciekaw, jaką formę to przybierze. Wyprostował się, zrobił młynka stalową laską, aż zaświszczała.

Podchodził tak, by go nie widziano, mokradłem, które otaczało Ewarysta. W niższej części gór „cieni” nie było, ale poczuł swąd palonych śmieci. Coraz częściej ciężarówki zwały je tu, a „cienie” wybierały z nich, co było łatwopalne. Szedł za dymem, w górę, chwilami na czworakach, aż doszedł do jaru, który wypłukała woda. Tu kończyła się roślinność, a szlaka, nie przykryta warstwą gleby, kaleczyła ręce i zaczepiała o ubranie. Wąwóz kończył się małą platformą. Krajobraz przypominał tatrzański. Oświeceni czerwonym płomieniem małego ogniska, „Lawinka”, „Lalek”, „Twarz” i „Siedzący Pies” tłoczyli się i szeptali. Jastrzębiec pomyślał, że mówią o nim. Wśród nich był ktoś nieznamy, młody, o jasnych, krótko przystrzyżonych

włosach, starannie uczesanych, z przedziałkiem.

On pierwszy spostrzegł Łukasza, zerwał się, jakby go znał od lat i wracał do przerwanej z nim rozmowy, wyciągnął dłoń i powiedział:

- Dawaj fant.

Kiedy Łukasz, wsparty na lasce, z dobrotliwą miną, milczał, tamten powiedział:

- Łapę. Lewą. Dawaj paluch. Ukradłeś ładną rzecz. Porządnemu człowiekowi. Udajesz hrabiego, więc miej honor. Załatwmy sprawę bez złości.

Łukasz kątem oka zobaczył, że „Twarz” wyjął łańcuch, gruby i niezbyt długi. „Siedzący Pies” schylił się po dwa kamienie, które zawsze przy nim leżały. Jednym ciskał w przeciwnika, drugim, trzymanym w garści, uderzał go w twarz. „Lawinka” walczył starą, wyświeconą pałą do ubijania ziemniaków świniom.

Przygarbieni, zachodzili Łukasza od strony jaru, przecinając mu drogę ucieczki. Tylko „Lalek”, bezbronny, zdziwiony i jakby smutny, patrzył na Łukasza przeprasząco.

- Ciężko ci przychodzi myślenie - odezwał się ze smutkiem nieznajomy.

Była w tym prawda. Łukasz powoli oswajał się ze zdradą przyjaciół i zaczepką, której obelżywa przewrotność wyrażała cały jego los.

Nieznajomy dał znak ruchem głowy tym, którzy stali za Łukaszem. Zaświstał łańcuch, który „Twarz” rozkręcił wokół głowy i utrzymywał w ruchu, czekając na moment ataku. „Siedzący Pies” cisnął kawałkiem szlaki i trafił Łukasza w bok. Zamiast przybliżyć się, by uderzyć go drugim, też nim rzucił. Bryła spadła na stopę Łukasza. Poczul ból. „Lawinka” zamierzył się drewnianą pałą, chcąc jednym uderzeniem pokonać Łukasza.

- Teraz! - usłyszał Łukasz głos gwałtowny, gniewny i mściwy.

Kto był tym rozkazodawcą, którego posłuchał, chowając za plecy rękę i robiąc młynek laską, jak nakazywały prawi-

dła szermiercze? Mimo dziwnego gwizdu nie bali się jego laski. „Powiniennem ich uprzedzić” - pomyślał Łukasz. Ale w tej chwili przełamał swoje skrupuły „Lalek”. Wyciągnął rękę, by pochwycić laskę Łukasza, zawył i usiadł na ziemi ze zdziwioną miną. Jego ręka zwisała, patrzył na nią z żalem, chciał ją wziąć drugą ręką, ale wybuchnął płaczem. Teraz półobrót laski - i drewniana pała potoczyła się w dół po szlacie, jeszcze sztych ku dłoni, w której obracał się łańcuch, i łańcuch wyfrunął z warkotem ku przepaści.

Nieznajomy skulił się i wyszarpnął z kieszeni jakiś przedmiot. Łukasz przez sekundę łudził się, że to nóż. Ale to już nie były dawne, poczciwe czasy. Błysnął ciemny, oksydowany pistolet, strzelający gazem obezwładniającym, a Łukasz usłyszał ponownie głos:

- Bij! Natychmiast! - I zdał sobie sprawę, że ten okrzyk wydał on sam. Wykonał laską niedostrzegalny półobrót, tak że tępy koniec pręta uderzył w miejsce, gdzie było serce napastnika. Ten spojrział zdziwiony, oczy rozszerzyły mu się gwałtownie, pochylił głowę w głębokim skłonie przed Łukaszem i runął przed nim na twarz. Pistolet leciał w dół, brzęcząc i odbijając się o szlakowe głązy.

Łukasz postąpił krok, przerażony, że zabił człowieka, ale rozkazodawca odezwał się jeszcze raz:

- On czeka, byś się nad nim pochylił, by chwycić cię za gardło.

Łukasz zobaczył, jak „Lawinka”, „Siedzący Pies” i „Twarz” uciekają na oślep wąwozem, popychając się wzajemnie i przewracając. Chciał iść za nimi, wołać, by zostali, ale coś go zatrzymało. Była to jego własna stopa. Nie mógł iść. „Przyjdzie mi stąd wyczołgać się na czworakach” - pomyślał. Pochylił się, rozwiązał sznurowadła buta. Nieznajomy leżał nieruchomo. Wziąwszy but, podpierając się stalową laską, Łukasz ruszył powłócząc nogą w skarpetce w dół.

Dowlókł się do domu. Stefania już była. Zobaczywszy nogę Łukasza i laskę, krzyknęła:

- Co ci, braciszeńku?

- Nogi mi puchną i drętwieją.

- Jak ojcu? - zapytała z niepokojem.

- Nie nazwana choroba okazuje się dziedziczna.

- Polega na wypróbowywaniu miłości najbliższych. Ale ostrożnie, to wciąga. Rodzice ulegli pokusie, by badać, do czego jesteśmy wobec nich zdolni. Po to musieli dojść aż do końca w chorobie. A co to za laska? - wzięła ją w rękę i upuściła.

- Straszna broń - powiedziała. - Bądź ostrożny.

- Już nie byłem. Oddam ci sygnet. Nie noś go na palcu. To było szaleństwo chodzenie tam z sygnetem.

- Powiedz, co się stało? Zrobiłeś to, bym się tobą opiekowała? - powiedziała pokazując but, który trzymał w ręce.

- Za późno. Nie spytałeś mnie. Jestem chora. Nie mówię ci.

Łukasz zaczął się rozbierać. Od szoku miał gorączkę. Położył się.

- Odwróć się - powiedziała Stefania.

Była rozgniewana. Żałowała jego nogi. Nie domyślała się, że skłamał. Od dawna unikali najmniejszego nieporozumienia. Gdy zabrakło rodziców, których choroba ich łączyła, mogło się ono zamienić w kłótnię, która zniszczyłaby ich życie. Zerwania bali się bardziej niż śmierci.

- Możesz się odwrócić - powiedziała. Leżała w łóżku. - Będziemy tak leżeć, dopóki nie umrzemy z głodu.

Spojrzeni na siebie i roześmieli się.

- Od kiedy nie śmialiśmy się? - spytała.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Mówiłaś o chorobie, by mnie ukarać?

- Nie, braciszek. Nigdy cię nie okłamałam, jak i rodziców. Parę razy zemdlałam. Nie wiem, jak długo będę żyła. Boję się, co się z tobą stanie.

- Jeżeli umrzesz pierwsza, postaram się, by na ostatnie dni przyjeźli mnie do klasztoru. Historia rodu zamknie się na tym, na czym się zaczęła. Na co chorujesz?

- Lekarze nie są pewni.

- Jeżeli ja umrę pierwszy, wróć do Bezwodów. Zamieszkaż u Mośka-Odmieńczyka - powiedział Łukasz.

Mimo choroby Stefania na drugi dzień całą drogę z fabryki do domu biegła.

- Chciałam cię koniecznie zastać - zawołała wpadając do kuchni. - Zrób mi herbaty. Strasznie jestem spragniona. Zdarzyło się coś niezwykłego. Podszedł do mnie Kos. Powiedział szeptem, bym poszła do starej sortowni. To opuszczone miejsce. Nie wiedziałam, czy iść. Chyba jestem odważna, bo poszłam. Był tylko on. Mówił do mnie „towarzyszko”. On nie używa innych form. Zrobił coś, co mnie przstraszyło. Nagle podciągnął koszulę. Chciałam uciekać, ale on pokazał mi sine pręgi na ciele. Jego plecy są żółtawe, jak u umarłego, żebra widoczne jak u zabiedzonego kurczęcia. Zdjął mnie jakiś żal. I on mnie żałował, bo patrzył, patrzył, a potem powiedział:

- Z daleka towarzyszka wydaje się dawną panienką, a z bliska widać starość.

- Co to za pręgi? Dlaczego pan mi je pokazuje? - spytałam.

- Milicjant uderzył mnie, bo zwróciłem mu uwagę na ulicy. „Dzięki mnie masz władzę, szczeniaku!” - krzyknąłem. A on: „Szczeniaku?!” - i rąbnął mnie drugi raz. Nawet granatowy przed wojną mnie nie tknął. Podniósł pałkę, a ja spojrzałem tak, by poczuł, że po rewolucji zemsta go nie minie.

- Po co mnie pan tu zawołał? - spytałam.

Wtedy Kos opowiedział następującą historię: przed paru dniami przyszedł do niego jakiś nieznajomy. Rozpytywał go o nas. Czy to prawda, że Jastrzębcowie bezprawnie zatrzymali wiele po reformie? Kos, według tego, co twierdzi, odpowiedział: „Reforma była przeprowadzona tak, jak nakazano”. A na to nieznajomy: „A pierścień?” Na to Kos miał odrzec: „Myśmy pierścionków nie zdzierali”. Wtedy nieznajomy go spytał: „Czy możliwe, by młody Jastrzębiec nosił go na palcu?” Kos zaniepokoił się: „Rozumiem, że mówię z przedstawicielem tajnej służby?” „Może tak jest” - odparł zagadkowo nieznajomy i odszedł.

Kos nie umiał czy nie chciał więcej powiedzieć. Spieszył

się. Wstydział się, że rozmawia ze mną.

- Ktoś chce pokazywać nasz pierścień jako swój rodowy.

Uważa noszenie pierścienia za równoznaczne ze szlachectwem.

- To zamówiłby pierścionek u jubilera.

- Ale on chciał autentyczny. Nie chodziło mu o wartość muzealną, ale o zakłęta w nim przeszłość, moc. To może być ktoś tak potężny, że może mieć, co zechce. Odebranie nam sygnetu to dla niego drobiazg. Sam siebie nobilituje. Teraz on będzie Jastrzębcem. Może już dawno zmienił nazwisko, przybierając nasze? To kosztuje dwieście złotych. W urzędowych dziennikach województw są setki takich ogłoszeń.

- Skąd o nas wiedział? Dlaczego wybrał nasz sygnet?

- Pewnie to jest ktoś, kto już raz uważał pierścień bardziej za swój, niż my go uważamy, i gdy przyszedł czas, postanowił wrócić do jego posiadania. Może mieć dla niego znaczenie, którego my nie rozumiemy.

- Nigdy nie wymienisz pewnej osoby? Nawet do mnie?

- Ten ktoś, jeśli żyje, uważa, że mamy go za umarłego.

Szałeńczy bieg zaszkodził Stefanii. Musiała się położyć.

Nie chodziła do pracy. Nie wzywali lekarza, czując, że na ich choroby nie ma ratunku. Noga Łukasza stęchła, ale nie mógł jej stawiać normalnie, bo sprawiała ból.

Po kilku dniach koledzy z Ewarysta przyszli odwiedzić Łukasza i Stefanię. Wstydzili się, pochrząkiwali. „Lalek” demonstrował swoją rękę na temblaku i w łupkach. Podał Łukaszowi lewą dłoń, co miało oznaczać, że nie ma żalu do niego i liczy na to, że i on mu wybaczy, bo między ludźmi tej miary drobiazgi się nie liczą. Przynieśli wódkę, zapas jedzenia. Wynieśli brudne kubły, nanieśli wody, zrobili herbatę. Co się stało z nieznanym? Umarł?... Żył?... Wstał i odszedł? Czy wrzucili go do rozpadliny? Nie wspomnieli słowem. Może myśleli, że Łukasz wie, kim był? Może przyszli, by się czegoś dowiedzieć? Ale między nimi nie było pytań.

Oznajmili wreszcie:

- Ewaryst znika. W szlacie został wysoki procent rudy. Opłaca im się górę rozbierać. Wielka koparka dziś zaczyna.

Stracą swoją ojczyznę. Na sezon wyjadą na wieś. Od maja będą pilnowali plantacji truskawek, potem wiśni, pomidorów, tytoniu. Powstał nowy zawód. Pałą ogniska i z pałkami obchodzą teren. Nocują w sadzie, w namiocie. Można jeść owoców, ile się chce, i pędzić w krzakach bimber ze zgniecionych. Trzeba się strzec biegunki. Niektórzy złodzieje są wyspecjalizowani. Przyjeżdżają całą grupą samochodami. Nie oddaje się ich w ręce władz. Trzeba ich tylko bić i spalić im samochód.

- Łukasz najlepiej nadaje się na dowódcę - dukali.

Obiecał, że na wiosnę ruszy z nimi. Tymczasem będzie leżał. Leżeli ze Stefanią obok siebie, jak kiedyś rodzice, i troszczyli się o siebie, jak kiedyś o rodziców. Raz jedno wstawało, raz drugie, wynosiło nieczystości, prało. Zakupy robili ludzie z Ewarysta. Przez lata nie dostawali żadnych listów, teraz listonosz przychodził codziennie. Przyszło pismo wzywające Stefanię do pracy w terminie natychmiastowym. Sąd Najwyższy zawiadamiał ich o wyroku nakazującym ich eksmisję do lokalu zastępczego. Nazajutrz wydział planowania miasta S. nadesłał list zawiadamiający właścicielkę, która wygrała sprawę - z odpisem do jej lokatorów, Jastrzębców - że willa ulegnie rozbiórce. Cała willowa dzielnica oddana zostanie hucie na hale. Mieszkańcy będą przekwaterowani do nowych bloków. Następnego dnia przyszło wezwanie na nazwisko ich ojca. Z radością pokwitowali, obiecując listonoszowi, że dostarczą adresatowi. Dla kogoś ich ojciec żyje. Nie miało znaczenia, że był to obojętny czy wrogo nastawiony urzędnik. Prześladował ojca, ale żywego, pamiętał o nim, pisał do niego. Nie otworzyli listu, tylko ojciec mógłby to zrobić. Następne listy zawiadamiały ich o adresie, pod który będą wyeksmitowani, do dawnego baru strażnicy ogniowej, podzielonego na izby, i o jednoczesnym przydzieleniu im mieszkania w nowo budowanym bloku - z powodu rozbiórki willi.

Przyszła ekipa milicjantów i cywilów. Oglądali meble i

przykładali do nich naklejki. Łukasz złożył formalne oświadczenie, że są z siostrą chorzy, ale tamci nie słuchali i spisywali ich meble, każdy nazywając „starym”. Osiemnaściecenne łóżko i szafa budziły w nich obrzydzenie. Cenili meble wytwarzane ze sklejki i pokrywane plastykiem.

- To nieporozumienie. Państwo mają nas eksmitować, a nie zajmować meble - powiedziała Stefania.

- Wiemy, co mamy robić. Pan Jastrzębiec zalega od trzydziestu ośmiu lat z podatkiem gruntowym.

- Pan Jastrzębiec od siedemnastu lat nie żyje. Od siedemnastego stycznia 1945 roku nie posiada nieruchomości.

- Może o czymś zapomniał? - komornik otworzył akta. - Sześć tysięcy sto metrów. Wieś Bezwody.

Poprosili go, by zbadał, co to znaczy. Przyszedł nazajutrz. Otworzyli butelkę.

- W czasie parcelacji majątku państwa w 1945 roku nikt nie wziął parku. Wszystkie części podzielonego majątku zostały wpisane do księgi wieczystej na nazwiska nowych właścicieli. Park został wpisany panu Jastrzębcowi i dodano na marginesie: „do wyjaśnienia”. Cały ten obszar zakwalifikowano jako nieużytek, został więc zapomniany. Przy nowym przeglądzie ksiąg znaleziono tę ziemię. Nie wiedziano, kim jest Jastrzębiec. Ma ziemię, a nie płaci, więc go zlicytować.

- Cały czas mieliśmy tę ziemię? - spytała Stefania.

- Tak, mogą państwo w tej chwili jechać i karczować.

Komornik odszedł. Stefania płakała z radości. Mieli piękny dzień. Zasiedli do uroczystej kolacji. Ubywało sreber, ale komplet dla nich obojga, ciężki, pięknie modelowany, zostawili. Stefania położyła nawet nożyk do ryb. Wyjęła porcelanę, wytarła z kurzu i ułożyła przed nim i przed sobą talerze, talerzyki, salatereczki do przystawek. Nie było co w nie włożyć, więc otworzyli wszystkie konserwy, jakie mieli, weki i słoje z marynatami. Postawili duży bukiet kwiatów, zerwany na ulicy z czyjś ogrodu.

- Nie przyznałam się rodzicom i tobie, ale w latach pięćdziesiątych przyjechał raz Odmieńczyk, wywołał mnie na podwórze. To on powiedział o ścięciu alei. Dodał, że wycię-

to ją na opał, ale w tym czasie nadszedł węgiel i drzewa leżą i gniją. Jakbyśmy chcieli je zabrać, to on porąbie i zwiezie. „Nigdy nie będziemy palili ukochanymi drzewami” - odpowiedziałam. „Ale marzniecicie, też nie macie węgla” - upierał się Odmieńczyk. „Rodzice poznałoby te drzewa, nawet porąbane na trzaski, i umarliby od tego” - odrzekłam. I te drzewa, braciszeńku, zgniły.

- Cały ten nieszczęsny kraj w tym widać: prastare, potężne i dumne drzewa zrąbane w wielkim trudzie i zostawione, by zgniły.

- Polacy są wielcy w wielkich chwilach, mali w małych - powiedziała pocieszająco Stefania. - Skarleliśmy, braciszku, bo nasze nieszczęścia zmarniały, skarłały.

- „Polsko, tyś wolności niewolnicą”... Czy to ktoś powiedział, czy mnie przyszło na myśl teraz? - zapytał Łukasz.

- Czasem mówisz głosem ojca. Ojciec niedługo przed śmiercią musiał myśleć o tobie. „Polak to najwspanialsza duma zmieszana z najniższą pychą” - powiedział. To było wtedy, gdy zawiadomił nas, co mamy jeszcze zakopane w Bezwodach. „Polak ma tylko podziemny świat: zakopany pistolet, papiery powstańcze, kości przodków, szkielet wiernego konia, korzenie drzew, które kochał, pieniądze, których dawno nie ma w obiegu. Jego ziemia, rozgrodzona, zdeptana przez obcych, bezbronna, trzyma tajemnice”.

- Co tam mamy?

- Srebrne monety, amunicję, mapy.

- Pojedziemy odkopać.

- Niech ktoś po wiekach to znajdzie. Odmieńczyk wtedy mi powiedział, że w naszym dzieciennym pokoju nic złego się nie dzieje. Tam, gdzie było twoje łóżeczko, jest biurko buchaltera.

- Nasz ojciec przynależał nawet nie do osiemnastego wieku, ale do czasów, gdy Hiszpanie zdobywali Nowy Świat - powiedział Łukasz.

- Teraz myślę, że położył się do łóżka nie z rozpacz, ale z ulgi. Nareszcie wszystko przepadło. Przestał się bać bandytów, suszy, ulewnych deszczów, gradu, piorunów, obcych

wojsk. Po sześciu wiekach nareszcie za nic nie odpowiadał. Nie czuł się winien wobec bosych dzieci ani za wysokość dniówki. Jakie to błogosławieństwo dla nas, braciszeńku: wszystko toczy się bez nas. Kto inny budzi nienawiść.

- Mamy dziękować Bogu za to, że co było na dnie, znalazło się na szczytach?

- Weź choćby dzisiejszy dzień, wyjęty z naszego wieku. Dalej jesteśmy feudalami, hidalgami, samurajami czy bojarzynami, tylko samowystarczalnymi, wolnymi od powinności, orłami, jastrzębiami, jak ty byłeś na swoich górach ze szlaki i śmieci. Obojętne, co jest zamkiem. Może być ten dom, który lada dzień będzie zburzony.

- Na nas wszystko się kończy.

- Zabijamy nasz ród?

- Nie warto przywoływać do tego świata nikogo z Jastrzębców.

- Kto nie chce, by żyły jego dzieci, sam nie chce żyć. Gdybyś przyniósł swoje dziecko, chowałabym je.

- Nie ma dla niego matki.

Stefania zauważyła, że Łukasz patrzy niespokojnie w stronę kredensu.

- Oczywiście, braciszeńku - odpowiedziała na jego spojrzenie. Wyjęła kryształowe kieliszki. Łukasz wyjął zza kredensu butelkę w gazecie i nalał bimbrow, zwanego cukrówką.

- Łukaszku - spytała Stefania - jaka jest różnica w hierarchii: wielki pijak, zawodowy pijak, pijaczek i tak dalej?

- To są niuanse trudne do wytłumaczenia. Zawodowy pijak to taki, którego jedyną pracą jest picie. Wielki pijak go przerasta.

Nazajutrz odwiedził ich uczeń Łukasza. W papierze miał pół litra wiśniówki. Wyniósł śmieci, przyniósł wodę. Usiadł na łóżku przy Łukaszu.

- Panie Łukaszku, podejmując się lekcji ostrzegł mnie pan, że nigdy nie rozmawiał z Francuzem. Ja rozmawiałem. Państwo nie zauważyli, ale w mieście było oberwanie chmury. Woda z ulicy zaczęła zalewać mi posesję.

Budowałem tamę z błota, w starym płaszczu z kapturem i gumiakach. Nagle oślepił mnie peugeot z francuską rejestracją. Siedzący w nim ludzie wysunęli przez okno tekturkę z napisem: „Gdzie hotel?” Przemówiłem po francusku. Mnie wydawało się, że to cud, ale im też. Pan wie, jak dziko wygląda nasza ulica, a samo S. musiało ich przerażać. Wsiadłem na rower i jadąc przed samochodem poprowadziłem ich do hotelu. Chwalili mnie: „Pan mówi wyrafinowaną francuszczyzną, której już nikt nie używa. Dla nas to wielkie przeżycie, jakbyśmy nagle znaleźli się w roku 1890”. „Znam także terminy francuskie w zakresie budowy silników” - powiedziałem. Przynękli, że znajdą mi pracę w Paryżu. Panu to zawdzięczam - uczeń chwycił Łukasza za rękę i pocałował. - A karteczkę w dziurce od klucza pan znalazł? - spytał.

- To pan ocalił mi życie? Przyszedłem przygotowany.

- Pobiegłem na Ewarysta zawiadomić pana, że rezygnuję z lekcji. Nie jadę do Francji. Trzeba było się opłacić dużą sumą, a ja wydałem wszystko na naukę języka. Na Ewarystyście był ktoś obcy. Dopytywał się o pana w dziwny sposób.

Przyszedł dzień opuszczenia willi. Pierwszy raz od dwudziestu lat właścicielka się do nich odezwała. Ohydny, uboczny produkt choroby matki - nienawiść tej kobiety - miał się dziś skończyć.

- Z radością opuszczam ten dom. Te straszne krzyki! Zaczęłam się bać napadu. Budziłam się przerażona. Wy naprawdę wydawaliście mi się bandytami.

- My zostajemy - powiedziała Stefania. - Będziemy rozkoszować się życiem w opuszczonym domu, w wymarłej dzielnicy. Nikt nie będzie tu mieszkał poza mną i bratem. Wyjdziemy, gdy buldożer zacznie pchać ścianę domu.

- Boże, ja, właścicielka, odchodzę, a wy zostajecie?

- Tu umarli nasi rodzice. Meble nie zmieszczą się w nowym bloku. Zostaniemy wśród nich tak długo, jak się da. Będziemy dalej płacić pani czynsz.

Ucałowały się i właścicielka willi siadła przy kierowcy cięż-

żarówki wypełnionej meblami. Z jej domu, opustoszałego, z powybijanymi szybami, patrzyła na nią z okna Stefania, machając ręką.

- Szkoda, by wasz ród zaginął! - krzyknęła właścicielka i samochód ruszył, aż meble zachybotwały niebezpiecznie.

Łukasz pomyślał, że nie wiadomo, jak to jest. W miarę, jak mijały lata, coraz bardziej nabierał pewności, że ma co najmniej jedno dziecko, i czasem obliczał jego wiek, ale nie mógł przypomnieć sobie imienia, nazwiska dziewczyny, gdzie budował dom, ani nazwy wsi. Gdyby jednak układ dróg i ścieżek był taki jak wtedy, trafiłby. Pamiętał letnią noc we wsi, w czasie pożaru, łunę, i nawet wydawało mu się, że było im gorąco, bo leżeli na wyniesionej do sadu pierzynie.

- Zawiadomię ludzi z Ewarysta, że mogą zamieszkać w pustych willach - powiedział Łukasz do Stefanii.

- Wybaczyłeś im?

- Do takich ludzi nie można żywić żalu.

Listonosz przyniósł Stefanii wymówienie. Tego roku nie kupili kalendarza, nie nakręcali zegarków. Pory roku i dnia odczytywali po pogodzie i słońcu. Wieści ze świata, spóźnione o wiele tygodni i zniekształcone, docierały do nich przez ludzi z Ewarysta.

Stefania powiedziała:

- Powinniśmy żyć jak najdłużej, bo mamy cel w życiu: opiekować się grobem rodziców. Gdy nas zabraknie, uschną na nim kwiaty.

Sprzedali ostatnią srebrną łyżeczkę i podali handlarce adres bloku na wypadek, gdyby zburzono willę. Musiała wiedzieć, gdzie ich szukać, jeśli zdecydują się sprzedać sygnet, a wiedzieli już, że trzeba się go będzie pozbyć niedługo.

Krzysztof Kąkolewski urodził się 16 czerwca 1930 r. Zadebiutował w 1946 r. drukując wypracowanie szkolne. Jego pierwsze opowiadanie, *Nad brzegiem nieba*, wydrukowane zostało dziesięć lat później w „Twórczości”. Przez dwadzieścia następných lat pisał reportaże. Dopiero gdy miał 48 lat, wydał tom opowiadań *Na sto czterdziestym kilometrze w lewo*, potem powieści *Notatka*, *W złą godzinę*, a ostatnio tom nowych opowiadań *Lato bez wakacji*. Po *Sygnecie z Jastrzębcem* ukażą się dwie następne powieści, które autor przygotowuje do druku.